M P

CZWARTEK

PRZEGLĄD SPORTOWY

20 GROSZY

(bez względu na miejsce sprzedaży)

DOM PRASY

Nr 91 (1451) DNIA 10 LISTOPADA 1938 ROKU ROK XVIII

XX lat SPORTU w Niepodległej Polsce

M. K.



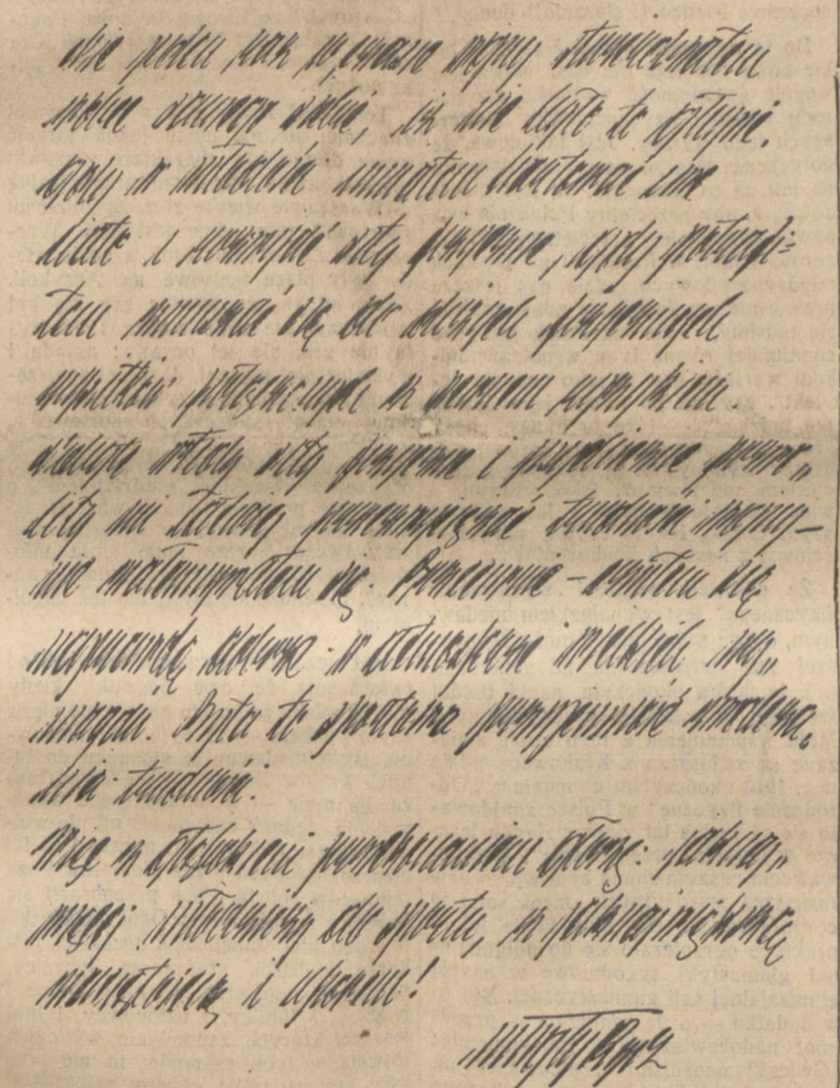
Czyżby nadszedł do Polski czas gdy wyrasta tężyzna siły i mocy



Powyższe zdjęcie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, opatrzone własnoręcznym podpisem otrzymał „Przegląd Sportowy" z okazji rocznicy 20-lecia Niepodległości.

Słowa Naczelnego Wodza:

Jak najwięcej młodzieży do sportu
Z jak największą zaciętością i uporem





Treść specjalnej dedykacji, zamieszczonej obok, którą p. Marszałek Edward Śmigły - Rydz zechciał skreślić dla Przeglądu Sportowego.

Nie jeden raz w czasie wojny stwierdzałem wobec samego siebie, iż nie było to głupie, gdy w młodości musiałem trenować swe ciało i rozwijać siły fizyczne, gdy potrafiłem zmuszać się do dużych fizycznych wysiłków, połączonych z pewnym ryzykiem. Nabyte wtedy siły fizyczne i psychiczne pozwoliły mi łatwiej przezwyciężać trudności wojny — nie załamywałem się. Przeciwnie — czułem się naprawdę dobrze w atmosferze wielkich wymagań. Była to sportowa przyjemność zwalczania trudności.

Więc z głębokim przekonaniem głoszę: jak najwięcej młodzieży do sportu, z jak największą zaciętością i uporem!

Minister Józef Beck mówi:

Ambitna i szlachetna walka sportowa jest świetną zaprawą charakterów do współzawodnictwa na szerokiej arenie świata, gdzie odbywa się wielki wyścig wysiłków o palmę pierwszeństwa w rozwoju cywilizacyjnym i kulturalnym narodów.

J. Beck



MINISTER JÓZEF BECK

Jak z woli Józefa Piłsudskiego powstał P. U. W. F. i P. W.

wspomina minister Juliusz Ulrych

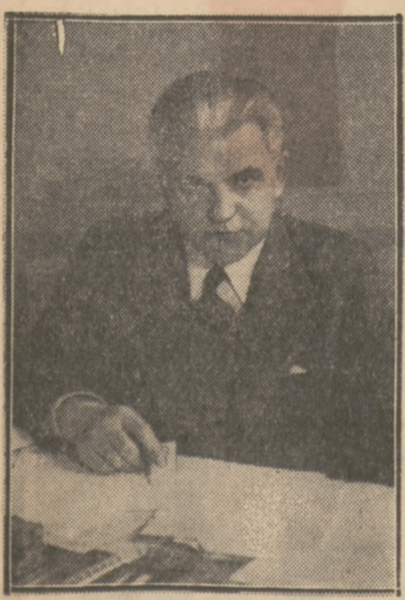
(na str. 2-ej)



KOMENDANT PIŁSUDSKI i PŁK. ŚMIGŁY-RYDZ
jako widzowie meczu drużyn legionowych nad Styrem (1917 r.)

Jak z woli Wielkiego Marszałka powstał Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego

Wspomnienia p. min. Juliusza Ulrycha



Prezes Związku Polskich Związków Sportowych, p. min. Juliusz Ulrych, który od 10 lat stoi na czele najwyższej magistratury sportu społecznego, był również pierwszym dyrektorem Państwowego Urzędu W. F. i P. W. oraz bezpośrednim realizatorem wskazań Marszałka Piłsudskiego, zmierzających do stworzenia tej instytucji.

Poniżej drukujemy wspomnienia p. min. Ulrycha z tych historycznych dla sportu polskiego dni, kiedy pod osobistym nadzorem Wielkiego Marszałka powstawały dekrety i ustawy, nadające ogólny kierunek ruchowi w. f. ku wzmocnieniu obronności Państwa.

Wspomnienia te spisane zostały podczas specjalnej audiencji, którą p. min. Ulrych udzielił naczelnemu redaktorowi Przeglądu Sportowego.

●

Gdzieś w ostatnich dniach października 1926 roku zawezwał mnie nagle Komendant do Belwederu i krótko oświadczył:

— Chcę Was powołać do pracy nad W. F. i P. W.!

Tu począł szkicować zarysy planów, a ja zwyczajem wojskowym — traktując to jako odprawę — notowałem wszystko ściśle. Dokument, który stąd powstał, leży w aktach P. U. W. F. i P. W. jako kamień węgielny budowy tej instytucji. Zasadnicze dyrektywy brzmiały:

Państwo nowożytne wymaga wielkich wysiłków dla dobra wszystkich. Jest państwo i są obowiązki wobec państwa. Trzeba rozstać się ze staroświeckim sposobem stawiania sprawy i staroświeckimi metodami działania. Trzeba iść wielkimi krokami do nowożytności. Trzeba odważnie zdobyć się na wielki wysiłek nowożytnego postawienia zagadnienia. Nabrać wiele tchu w piersi, rzucić wielkie hasło, wielkie hallo. Wielkie hasło, to — wysiłek dla dobra wszystkich, W górę piersi, nazad brzuchy, idą odważni, giną tchórze.

Nasze państwowe „do ut des" to: uszeregowanie organizacyjne w kierunku musu ewidencji i obowiązków wobec państwa. W zamian ze strony państwa, jako nasze „do", przyjdą pewne beneficja: np. place do ćwiczeń, ulgi w przejazdach kolejowych, potanienie nabycia przyrządów, lub pomocy przy inwestycjach, pomoc sanitarna, fundusze itd.

Chodzi o wielkie zagadnienie mobilizacji moralnej. Gdy wybucha wojna, zrzeszone organizacje cywilne dają pogotowie moralne narodu i pomoc realną, zastępując wojsko w instytucjach takich, w których mogą je zastąpić.

Centralizacja organizacyj społecznych nie ma decydującego znaczenia. Znaczenie takie posiadają silne organizacje lokalne.

W dalszym ciągu Komendant naszkicował mi bezpośrednie konkretne zadania, dotyczące realizacji jego wskazań.

Po dwóch tygodniach pracy zawezwany zostałem ponownie przed oblicze Marszałka i usłyszałem pytanie:

— No i cóż pan robi? Czym się pan właściwie zajmuje?...

Odpowiedziałem, że ująłem na piśmie dyrektywy, sformułowałem tezy zasadnicze i pracuję nad ścisłym rozplanowaniem zakresu działania.

— Bardzo ciekawa metoda pracy. Niech pan przeczyta!

Gdy odczytałem wygładzony tekst wspomnianej odprawy nr 1, oraz projekt odezwy, Komendant był wyraźnie zadowolony i rzekł:

— Jesteście na dobrej drodze. Nawet nie myślałem, że tak będziecie umieli... Widzę, że nie potrzeba Was więcej pilnować.

Aby mieć mnie w każdej chwili do dyspozycji, Marszałek Piłsudski wyznaczył mi mieszkanie w lewym skrzydle Belwederu. Później dowiedziałem się przypadkowo od gen. Gąsiorowskiego, że kandydatem do pracy nad W. F. i P. W. był obok mnie również płk Wieniawa-Długoszowski. Komendant zdecydował się jednak przeznaczyć go „do innych celów".

Tak to mając przed sobą dwa główne zadania: P. W. jako spółczynnik obrony państwa i W. F. jako spółczynnik odrodzenia fizycznego narodu, a przede wszystkim młodego pokolenia, rozpocząłem realizowanie planów Komendanta. Pracowałem początkowo na terenie M. S. Wojsk., gdzie był wydział w. f. przy departamencie piechoty, kierowany przez mjr. Drabika. Uprosiłem Komendanta, abym mógł do pracy „podchodzić z boku", tzn. z pominięciem normalnej procedury wojskowej, gdyż obawiałem się, że wpadnę w zależność formalną, która odbije się na wynikach pracy. Komendant zgodził się na to, mówiąc z uśmiechem:

— Jesteście chytrzy Ulrych, ale macie rację!

Na terenie bazy w M. S. Wojsk. przekuwaliśmy z płk. Burzyńskim zasadnicze myśli Komendanta na prawne formy życiowe, składając od czasu do czasu raporty.

— Jeszcze nie to! — wyraził się początkowo Komendant, a gdy projekt dekretu o powołaniu P. U. W. F. i P. W. do życia zyskał wreszcie Jego aprobatę, zapytał żartobliwie:

— No, więc jak to Wy się chcecie teraz nazywać?...

Meldowałem, że dyrektor jest chyba najwłaściwszym tytułem, choć niebardzo pachnie wojskiem. A gdy przypomniałem, że moja nominacja musi być uzgodniona z dwoma innymi ministrami (oświaty i spraw wewnętrznych), usłyszałem zapewnienie:

— Dobrze, dobrze, to ja już z nimi potrafię uzgodnić!

Dekret ukazał się w Monitorze Polskim dnia 3 lutego 1927 roku, a nominacja moja dnia 23 marca. Wtedy to złożyłem Komendantowi następujący meldunek:

— Melduję posłusznie, że faktycznie odchodzę od Komendanta. Czy muszę też opuścić i mieszkanie w Belwederze?

Ponieważ było to w obecności kilku osób, Komendant niby rozgniewany, sarknął nie patrząc na mnie:

— Cóż on sobie myśli ten Ulrych, że ja mu słowa nie dotrzymam?...

...i mieszkałem w Belwederze aż do śmierci Wielkiego Marszałka.

●

Wielką troską Komendanta było powołanie Rady Naukowej W. F. Niejednokrotnie mawiał do mnie:

— Z przysposobieniem wojskowym dacie sobie radę, ale jeżeli nie wprowadzę was na właściwą drogę, w sferę działania nauki, wejdziecie na złe tory.

Ten punkt widzenia decydował zapewne o uczestnictwie Marszałka we wszystkich posiedzeniach Rady Naukowej, a przy nominacji jej członków rozstrzygał jedynie i wyłącznie fakt, czy są to „fachowcy, znający się na swym zawodzie". Jakiekolwiek wątpliwości dotyczące politycznych przekonań kandydatów, Komendant rozgniewany wręcz przekreślał:

— Nic mnie to nie obchodzi!

Pamiętne było pierwsze posiedzenie Rady po którym odbył się bankiet w Hotelu Europejskim. Komendant siedział tam z nami cztery godziny, dyskutując zapamiętale przede wszystkim na tematy w. f. młodzieży szkolnej.

W lutym 1929 roku, po dwuletniej kadencji na stanowisku dyrektora P. U. W. F. i P. W., zawezwany zostałem dość nieoczekiwanie przed oblicze Komendanta.

— No i cóż, moje dziecko — rzekł — **czas chyba dowodzić pułkiem?**

Przyznaję, że oczekiwałem wówczas wszystkiego, tylko nie tej decyzji. Choć zaskoczony, odpaliłem bez namysłu: „Rozkaz Komendancie!" i dodałem zaraz: „Pochlebiam sobie, że będzie Komendant miał o jednego dobrego dowódcę pułku więcej". Widząc że zostało to przyjęte dobrze, prosiłem też o danie mi mojego macierzystego 5 pułku legionów w Wilnie.

Komendant pomyślał chwilę i tak rzecz rozstrzygnął:

— Dajcie mi dobrego następcę, a ja dam wam dobry pułk. Przygotujcie terno, ja sobie wybiorę jednego.

Po kilku dniach meldowałem się znowu, że jestem gotów. Tym razem Marszałek widocznie zaskoczony był moim pośpiechem, gdyż z gabinetu przez drzwi usłyszałem:

— Co on mi tu głowę zawraca, co jemu się tak śpieszy...

ale mimo to niebawem zostałem wezwany i przedstawiłem trzech kandydatów na stanowisko po mnie. Komendant wysłuchał referatu i zadecydował:

— Dobrze, ja dam wam Kilińskiego, a wy dostaniecie 36 pułk piechoty Legii Akademickiej w Warszawie.

Nominację tego rodzaju mogłem uważać za specjalny fawor Naczelnego Wodza.

Po objęciu P. U. W. F. i P. W. mówił mi płk Kiliński, że Komendant sprawdzał specjalnie, czy należycie przekazałem cały dorobek swej pracy, gdyż przywiązywał zawsze niesłychaną wagę do zazębiania się akcji przy podobnych zmianach ludzi.

●

Po najbliższym posiedzeniu Rady Naukowej Komendant zatrzymał nas chwilę dłużej.

— Chcę przy węgrzynie wypić zdrowie mojego wypróbowanego współpracownika.

Było to pożegnanie, o jakim nie śmiałem nawet myśleć.

Edward Raczyński

Ambasador R. P. w Londynie

... to wszystko jest takie nowe i świeże...

Kiedy Halina Konopacka wyrzutem dysku (było to w Amsterdamie, o ile pamiętam) przyniosła nam pierwsze bodaj polskie zwycięstwo na Olimpiadzie, wtedy poczuliśmy wszyscy, że coś się przełamało, że nowy okres dla naszej Ojczyzny wyzwolonej z powijaków, względnie wyprowadzonej z wilgotnej sutereny na jasne światło dnia, — rozpoczął się naprawdę!

Nie jesteśmy jeszcze zblazowani, ale dzięki energii naszych „mistrzyń" a także i „mistrzów" otrzaskaliśmy się i przyzwyczaili do godziwego miejsca w światowym rejestrze sportu. Gdy Walasiewiczówna, lub Kusociński dobiegną pierwsi, gdy Marusarz w „skoku ustanym" śmignie najdalej stromym zboczem Krokwi, gdy Jędrzejowska Jadzia przeciwstawi się skutecznie najgroźniejszym „rakietom" świata, uważamy, że zawodnicy nasi zrobili to co do nich należało. Ale jesteśmy równocześnie bardzo (i słusznie!) dumni.

Bo to wszystko przecież jeszcze takie nowe i świeże dla nas. Nowa jest wogóle świadomość ważności dla narodu rozwoju fizycznego jak najszerszych jego warstw. Jest tak nowa, że dotychczas jeszcze nie została doceniona jak na to zasługuje: że jest nieodzownym, aby przeciętny Polak nie ustępował conajmniej- przeciętnemu etranżerowi i tutaj w Europie i na szlakach międzynarodowych, gdzie nas jeszcze prawie nie ma dotąd, ale gdzie znaleźć się musimy, - że ma Polak posiadać conajmniej równą tym współzawodnikom wartość, czy to jako „czysty intelekt", czy też po prostu jako „zwierzę ludzkie", — i że tu u nas, bliżej praca codzienna zyskałaby bardzo, gdybyśmy wykonywali ją wszyscy z „zacięciem sportowym", jako wyczyn, a więc jak najdoskonalej w jak najkrótszym czasie, jak to czynią najwartościowsi z naszych konkurentów...

Że odkrycie wartości „wychowania fizycznego" jest wynalazkiem niedawnym, o tym zaświadczyć może z pierwszej ręki współczesna mi generacja, t. j. ta, która ukończyła nauki (bodaj średnie) w okresie przedwojennym. Moje wspomnienia z tego czasu związane są zwłaszcza z Krakowem, gdzie w r. 1910 ukończyłem gimnazjum. „Odrodzenie fizyczne" w Polsce znajdowało się za moich lat gimnazjalnych jeszcze w okresie „przedwiośnia"! Wychowawcom naszym znana była wprawdzie maksyma starożytnych „mens sana in corpore sano", ale stosowanie jej w praktyce ograniczało się do półgodzinnej gimnastyki tygodniowo w naszej gimnazjalnej sali gimnastycznej. Był to w dodatku — o ile pamiętam — przedmiot nadobowiązkowy. Na komendę: „Ćwicz!" unosiliśmy „bejcowane" na czarno ciążki i wykonywali nakazane „wyrzuty" i „skórcze", o ile nie dokonywaliśmy uczonych młyńców „maczugami", lub wywijasów drążkami. Mieliśmy oczywiście także „poręcze", „konie" i „kozły", oraz „trapez" i „kółka".

Profesorowie gimnastyki byli uważani za jednostki niedorozwinięte, które z powodu braków naturalnych nie osiągnęły wymaganego dla innych zawodów poziomu umysłowego. Tak przynajmniej zdawało się nam wówczas.

Oczywiście był i „Sokół" dla niektórych, była ślizgawka, a po rewolucji roku 1905 dla starszych ćwiczenia o bardzo różnym charakterze: „przysposobienie" teoretyczne i praktyczne dla przyszłych uczestników Narodowej Epopei, przysłonięte tymczasem szatą konspiracji...

Na Błoniach krakowskich, a ściślej mówiąc w parku Jordana, ze starcia „Czarnych" ze Lwowa (a może Pogoni?), z zalążkiem biało-czerwonej „Cracovii" narodził się w Polsce sport piłki nożnej...

Tenis był znany u nas już dawniej znacznie, ale nie mógł jakoś utracić przez długie lata charakteru rozrywki towarzyskiej. Pamiętam przed wojną w Warszawie wizytę złożoną „białemu sportowi", tam gdzie jest dziś Warszawski Lawn Tenis Klub, a gdzie wtedy były place tenisowe na Agrykoli. Zdaje mi się, że poziom gry nie był najgorszy, ale mnie wówczas uderzyła nie gra, ale jej oprawa: ogląda i wykwint płci pięknej, darzącej spojrzeniami i uśmiechami przybranych w kremową flanelę stołecznych sportowców, uzbrojonych w rakiety, o włosach lśniących od brylantyny, przyczesanych gładko, z głębokim „rozdziałkiem", o starannie podfryzowanych wąsach. Jestem niemal pewny, że zaobserwowana wówczas przeze mnie złota młodzież wyróżniała się tą „ozdobą twarzy", ale może się mylę, lub też uogólniam.

Rozpocząłem rozważania niniejsze od twierdzenia, że owe początki, kiedy pisklę polskiego sportu okryło się pierwszym puchem — to było tak niedawno. Było niedawno w stosunku do innych krajów Europy — niedawno także dla mnie — w perspektywie wspomnienia. Jednak zapomnieć mi nie wolno, że parę dobrych lat minęło i to lat nieprzespanych przez pionierów i szeregowców sportu. Puch przeobraził się w spore i tęgie pióra. Obok lekkoatletów obu płci stanęli dziś hockeiści, piłkarze, tenisiści, szermierze, łucznicy, narciarze, wioślarze, pływacy — no i jeźdźcy, i lotnicy, i balonowcy, i inni jeszcze, których zapominam wyliczyć. Powstanie tych zastępów to nie wykwit fantazji tylko, choćby najbardziej twórczej, ale owoc systematycznego wysiłku, który uważaliśmy do niedawna za obcy naszej naturze. Ich powodzenie zaś jest uwarunkowane najczęściej sprawnym zgraniem, bliską i organiczną współpracą uważaną również jako element obcy naturze polskiej.

Zawodnicy nasi nie wygrywają wszędzie tam, gdzie się pojawiają. Każde zwycięstwo odniesione w dzisiejszych warunkach niesłychanie zaostrzonego i technicznie udoskonalonego współzawodnictwa przyprawia nas o szybsze bicie serca. Dla tych, którzy — jak ja — przebywają długie lata za granicą, chwile kiedy jeden (lub jedna) z naszych sięga nagrody najwyższej, należą do żarliwie pamiętnych. Chciałoby się pomóc, zastępując brakujące zastępy własnej publiczności, dodać odwagi i zaufania we własne siły, zwłaszcza kiedy się wie, że jeden jeszcze solidny wysiłek przynieść musi upragniony triumf. Gdy sztuka taka się uda, jakąż radość ona daje, pełną wzruszeń najgłębszych, a także niewinnego szowinizmu. Ale jakżeż często niestety, zawodzi!

Takie są momenty krańcowe, usprawiedliwiające włożony wysiłek i darzące go zrozumiałą dla każdego wymową. W rzeczywistości o ten wysiłek przede wszystkim chodzi i o to, aby poziom fizycznej sprawności i nieodłączny od prawdziwego sportu poziom etyczny, ogarniając coraz to szersze warstwy, stał się wreszcie normą obowiązującą całe nasze społeczeństwo.

Edward Raczyński

Londyn, dn. 17 października 1938 r.

Dla tych, którzy jak ja przebywają długie lata za granicą, chwile kiedy jeden (lub jedna) z naszych sięga nagrody najwyższej należą do żarliwie pamiętnych...

Edward Raczyński

Juliusz Łukasiewicz

Ambasador R. P. w Paryżu

Oceniam w całej pełni znaczenie występów naszego sportu za granicą

Sport rozumnie uprawiany jest jednym z czynników zdrowia Narodu, przyczynia się więc do Jego dobrego imienia wśród obcych.

Jako Ambasador Rzeczypospolitej we Francji, nieraz miałem sposobność oglądać dzielną postawę naszych sportowców i winszować im ich sukcesów. To też oceniam w całej pełni znaczenie występów naszego świata sportowego zagranicą.

Paryż, dnia 17 października 1938.

Henryk Sokolnicki

Poseł R. P. w Helsinkach

Nie mogę zapomnieć wrażenia jakie wywarł na publiczności Marusarz

W międzynarodowych rozgrywkach sportowych zmienną może być forma graczy, ale stałą są charakterystyczne cechy dla danego narodu. Otóż przyjemnie mi stwierdzić na podstawie wielu doświadczeń zagranicą, iż nasi sportowcy odznaczają się dużą ambicją, tężyzną, odwagą i pragnieniem jaknajlepszego wywiązania się z zadania, godnego reprezentowania barw naszego kraju. Sport przemawia bezpośrednio do mas a opinia sportowa o jednostkach lub zespole przenoszona jest zaraz na cały naród i jest często najlepszym atutem propagandowym. Nie mogę zapomnieć wrażenia, jakie wywarł na licznie zgromadzonej publiczności Stanisław Marusarz, kiedy ubiegłej zimy zrobił najlepsze skoki w Lahti. Wczoraj ledwo znany, dziś bohater dnia, a choć nie dano mu palmy pierwszeństwa, w przekonaniu całego tłumu był jednak najlepszym i najbliższym serca.

Za przeżywanie podniosłych momentów, kiedy flaga państwowa polska podnoszona jest na najwyższe maszty, sportowcom polskim cześć i dzięki.

Helsinki,
4.XI.1938.

Polski Uniwersytet Sportowy

Jedną z największych zdobyczy kultury fizycznej w Polsce jest bezwątpienia Centralny Instytut Wychowania Fizycznego, na Bielanach pod Warszawą.

C. I. W. F. powstał w roku 1928-ym, przekształcony z pokrewnej instytucji, działającej w Poznaniu pod nazwą: **Centralna Szkoła Gimnastyki i Sportów**. Pierwszym dyrektorem C. I. W. F. był ś. p. pułk. dr Wł. Osmólski, obecnie — pułk. dr Nadolski.

Koniecznym warunkiem przyjęcia do uczelni jest posiadanie matury szkoły średniej, a prócz tego przeprowadzana jest ścisła selekcja kandydatów na podstawie badań lekarskich i psychotechnicznych.

Do tej pory dyplomy C. I. W. F. otrzymało 454 absolwentów, w tym połowa kobiet. Niezależnie od tego ponad 2 tysiące sportowców pracujących na polu w. f. przeszło krótsze kursy instruktorskie w C. I. W. F.

Przed kilkoma miesiącami Sejm uchwalił nową nazwę dla tej uczelni, utrwalając pamięć Wielkiego jej Twórcy. Nazwa ta brzmi:

Akademia Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego.

Konferencje olimpijskie

Do Warszawy przyjechał specjalny delegat fińskiego komitetu olimpijskiego, p. von Fraenkel, który odbywa podróż po całej Europie w związku z przygotowaniami do Olimpiady.

W czasie swego dwudniowego pobytu w Warszawie p. Fraenkel złożył wizytę min. Ulrychowi, płk. Glabiszowi, gen. Rouppertowi, i płk. Matuszewskiemu, oraz przyjęty był na audiencji w Min. Spraw Zagr. W rozmowach tych poruszane były sprawy udziału Polski w Olimpiadzie.

Zdobycze inwestycyjne

Jeżeli żywiołowy rozwój sportu w Polsce nie daje jeszcze tak wielkich wyników, jakich by należało oczekiwać, przyczyny tego doszukiwać się głównie można w brakach inwestycji i urządzeń zasadniczych.

Tym niemniej, przy bardzo ograniczonych środkach, zrobiono jednak w minionym 20-leciu znaczny krok naprzód. Trudno tu oczywiście wyliczyć wszystkie większe prace dokonane na tym polu w szeregu miast i miasteczek. Przypomnimy więc jedynie parę budowli monumentalnych, mających wpływ decydujący na pobudzenie żywotności pewnych dziedzin sportu.

Do takich należą przede wszystkim:

Stadion Wojska Polskiego w Warszawie;

Wielka skocznia narciarska na Krokwi...

Sztuczne lodowisko w Katowicach:

Stadion otwarty pływacki w Warszawie;

Kryta pływalnia we Lwowie;

Tor saneczkowy w Krynicy.

Hala sportowa w Łodzi:

Stadion miejski w Chorzowie.

Ministrowie na czele sportu

Sport polski może się poszczycić tym, że na jego czele stało wielu ministrów.

Minister spraw wojskowych gen. Kasprzycki był prezesem PZP w r. 1925, min. Ulrych jest prezesem Z. S., a był prezesem PZP, b. ministrowie Śliwiński i Osiecki byli prezesami P. K. Ol., b. min. Matuszewski był prezesem PZP, PZLT, w. premier Świtalski był prezesem PZP, wiceminister Bobkowski jest prezesem PZN, a był prezesem P. Z. Kaj. i P. Z. Łyż., wiceminister Jaroszyński był prezesem PZHL i Ligi Piłkarskiej, wiceminister Fabrycy był prezesem P. Z. Szerm., wiceminister Piasecki jest prezesem Automobilklubu.

Kazimierz Glabisz

PRZEMIANY ORGANIZACJI SPORTU POLSKIEGO 1918—1938



PŁK DYPL. K. GLABISZ
prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego

Wojna światowa zniszczyła, a co najmniej podcięła zręby organizacyjne sportu polskiego, zakorzeniającego się przed wojną szczególnie w b. zaborze austriackim. Odzyskanie bytu niepodległego wywołało już w 1919 roku pierwsze próby odbudowania, rozszerzenia i scentralizowania uratowanych jego komórek — mimo walk na wszystkich niemal granicach powstającego Państwa.

Pierwsze Związki

Przystąpiono przede wszystkim do tworzenia związków sportowych i Komitetu Olimpijskiego, któreby mogły reprezentować sport polski wobec zagranicy i przygotować jego udział w pierwszych powojennych igrzyskach olimpijskich (w Antwerpii w 1920 roku). W dniach 11 i 12.10 1919 roku utworzono w Krakowie P. Z. L. A. i P. K. Ol. Do końca tego roku powstały P. Z. T. W., P. Z. P. N. i P. Z. N.

W 1920 roku P. K. Ol. przystąpił do przygotowania ekspedycji polskiej do Antwerpii, jak wiadomo, w ostatniej chwili zatrzymanej, a ponadto utworzono P. Z. Kol.

W roku 1921 powstały P. Z. L. T. oraz P. Z. Łyżw., a 29.10 tego roku utworzono Związek Polskich Związków Sportowych, jako naczelną magistraturę sportu polskiego, pozostawiając P. K. Ol. jako zupełnie niezależną instytucję, powołaną jedynie do przygotowywania udziału Polski w igrzyskach olimpijskich. Z. P. Z. S. ukonstytuował się 19.2 1922 roku pod przewodnictwem p. Artura Śliwińskiego, którego niebawem zastąpił p. Stanisław Osiecki, prezydujący Z. P. Z. S. aż do roku 1928. Prezesem P. K. Ol. został w 1923 roku śp. ks. Kazimierz Lubomirski, będący równocześnie delegatem M. K. Ol. na Polskę.

W międzyczasie (w latach 1922 i 1923) utworzono P. Z. Pływ., P. Z. Szerm. i P. Z. Bokserski. W ten sposób pod koniec 1923 roku już 10 działów sportu posiadało centralne kierownictwo, utrudnione zresztą wybitnie brakiem zrozumienia wśród społeczeństwa, a poparcia ze strony Państwa. Jedyną komórką państwową, zajmującą się sportem, był wonczas Referat Sportu w Ministerstwie Zdrowia, dysponujący zresztą homeopatycznym budżetem, a zlikwidowany już w 1923 roku. Po jego likwidacji nie było, aż do powstania PUWF i PW w 1927 roku, żadnej instytucji państwowej, opiekującej się sportem, bo M. S. Wojsk. czy Min. Oświecenia, czy M. S. Zagr. pomagały tylko doraźnie, bezplanowo i bardzo rzadko. Innymi słowy: sport polski był wonczas puszczony samopas i nie mógł liczyć na pomoc Państwa.

Toteż I kongres sportowy, zwołany przez Z. P. Z. S. w 1923 roku, wysunął jako naczelny postulat, zrealizowany dopiero na początku 1927 roku (dzięki decyzji Marszałka Piłsudskiego), utworzenie P. U. W. F.-u.

Mimo tych trudności organizacja sportu polskiego postępowała naprzód. W roku 1924 zmontowano i wysłano na igrzyska olimpijskie w Paryżu liczną, aż nazbyt liczną ekspedycję, a ponadto utworzono P. Z. Żeglarski, P. Z. Palanta (obecny P. Z. P. R.) oraz P. Z. Dziennikarzy Sportowych. Ponadto położono kres dwoistości władz naczelnych sportu polskiego przez uchwalenie złączenia Z. P. Z. S. i P. K. Ol. w jedną całość. Fuzja ta została przeprowadzona w marcu 1925 roku. W roku tym powstały trzy nowe związki, mianowicie P. Z. Hokeja na Lodzie, P. Z. Motocyklowy i P. Z. Atletyczny, oraz przystąpiły do Z. P. Z. S. istniejące już od dawna związki: P. Z. T. G. „Sokół", którego najstarsze gniazdo powstało już w 1867 roku i Związek Strzelecki.

W roku 1926 powstał P. Z. Hokeja na Trawie, w roku 1927 P. Z. Jeździecki i P. Z. Łuczniczy, zaś w 1929 roku P. Z. Bobslejowy, obecnie już nieistniejący. W ten sposób w 1929 roku Z. P. Z. S. obejmował już 21 Związków. Później przystąpiły jeszcze Automobil-Club R. P., P. Z. Kajakowy i P. Z. Tenisa Stołowego, a miejsce Związku Strzeleckiego zajął P. Z. Strzelectwa Sportowego, wobec czego — poza lotnictwem — wszystkie gałęzie sportu w Polsce uprawiane, zostały zorganizowane i powiązane centralnie w Z. P. Z. S.

Wiązadło to było jednak dość słabe statutowo, a bardzo słabe życiowo rzecz biorąc.

P.U.W.F. i jego budżet

P. U. W. F. i P. W., powstały w 1927 roku, a dysponujący początkowo znacznie większym budżetem, niż obecnie, wprawdzie subwencjonował organizacje sportowe bardzo wydajnie (na udział w igrzyskach olimpijskich w 1928 dał 290.000 zł.) i budował dużo warsztatów sportowej pracy, jednak nie kierował życiem sportowym.

Z. P. Z. S. miał wprawdzie dość liczne tytuły do kierowania organizacjami sportowymi (m. in. ten, że jego prezesem został w 1928 roku ówczesny dyrektor PUWF płk. dypl. Ulrych), jednak nie posiadał dostatecznej egzekutywy oraz — z własnej winy — inicjatywy. Członkowie zarządu Z. P. Z. S., przeważnie przebarczeni pracą na odpowiedzialnych stanowiskach, nie mogli dostatecznie dużo czasu poświęcać zadaniom Z.P.Z.S., zaś sekretariat Z. P. Z. S. nie panował nad sytuacją. Związki reagujące na zarządzenia Z. P. Z. S. przeważnie opieszale, utrudniały mu pracę. W rezultacie prestiż Z. P. Z. S. zanikał coraz więcej, a Związki pozbawione prawdziwego nadzoru i kierownictwa, szły coraz wyraźniej do „Sasa i do lasa". Prestiż Z. P. Z. S. zanikał zresztą niesłusznie, a przynajmniej niesłusznie tak raptownie, jak to miało miejsce. Ponieważ Z. P. Z. S. nie umiał należycie reklamować swej pracy, nie wiedziano, względnie zapomniano o tym, że jedynie zarząd Z. P. Z. S. „wywojował" cofnięcie zakazu udzielania bezpłatnych paszportów, uchronił sport przed świadczeniami na rzecz Funduszu Pracy, zmniejszył świadczenia na rzecz komun, przeforsował współpracę M. S. Zagr. przy udzielaniu subwencji na wyjazdy sportowe, uchronił sport polski przed licznymi kompromitacjami przez odmówienie paszportów i wreszcie przyczynił się walnie do większego usportowienia szkoły. W rezultacie zaczęła się urabiać opinia, że Z. P. Z. S. jest niepotrzebny i powinien być zlikwidowany, jakby on odpowiadał za liczne niepowodzenia na arenie międzynarodowej i zastój w rozroście naszych organizacyj wszerz.

Do ugruntowania się tej opinii przyczynił się walnie P. U. W. F., który pod koniec 1934 roku postanowił ująć ster sportu polskiego w swoje ręce, przystępując do tej zmiany bez porozumienia się z zarządem Z. P. Z. S. Tendencja ta, ujawniona oficjalnie 12.12 1934, spotkała się na ogół z przychylnym przyjęciem tym więcej, że łudzono się, na podstawie optymistycznych enunciacyj niektórych organów P. U. W. F. i P. W., iż ta zmiana zwiększy kilkakrotnie świadczenia finansowe P. U. W. F. na rzecz sportu, w międzyczasie, jak wiadomo, bardzo zmniejszone. Nad istnieniem i poglądem Z. P. Z. S. opinia przeszła do „porządku dziennego".

Przyklasnąłem również zamiarowi P. U. W. F. zaopiekowania się bezpośrednio sportem, ale równocześnie oceniłem plan P. U. W. F. zrealizowania tego zamiaru za niecelowy. Przyklasnąłem zasadniczemu zamiarowi, bo nie tylko widziałem słabość Z. P. Z. S., ale także uznawałem prawo Państwa do kontrolowania tak ważnej i przez Państwo subwencjonowanej dziedziny, jaką był jest i być powinien sport społeczny. Natomiast nie mogłem pogodzić się z wysuniętym projektem ze względu na jego połowiczny charakter i ograniczone możliwości P. U. W. F.

Trzy alternatywy

Wytworzona sytuacja miała tylko trzy wyjścia:

1) zlikwidować Z. P. Z. S. i przelać wszystkie jego atrybucje na P. U. W. F. wzgl. Radę Przyboczną przy P. U. W. F.,

2) przeciwstawić się tendencjom P. U. W. F., mobilizując przeciw nim, a za wzmocnieniem Z. P. Z. S. opinię publiczną,

3) uznać P. U. W. F. jako organ kierowniczy ze strony Państwa, ale Z. P. Z. S. nie likwidować, lecz przeciwnie wyposażyć go w szersze uprawnienia.

Alternatywę I uznałem za nieodpowiednią, nie dla własnej, czy „zetzetowej" ambicji, lecz wskutek głębokiego przeświadczenia, że sport społeczny musi mieć mocny „ośrodek dyspozycyjny", a P. U. W. F. nie może być pozbawiony niezależnego i lojalnego organu doradczego. Zdawałem sobie sprawę z tego, że Rada Przyboczna, powstała z nominacji, nie byłaby wyrazicielką opinii Związków i nie miałaby nawet takiego prestiżu jak Z. P. Z. S., zaś sam P. U. W. F. nie opanowałby sytuacji, mając zbyt szczupły budżet i zbyt często zmieniający się skład. Ponadto widziałem w projekcie P. U. W. F. szkodliwą niekonsekwencję: system „wodzowski" na najwyższych szczeblach, system parlamentarny na niższych.

Alternatywę II odrzuciłem oczywiście a limine, jako sprzeczną nie tylko z moim zasadniczym poglądem na uprawnienia Państwa, ale co ważniejsze, z podstawowym interesem sportu polskiego.

Pozostała alternatywa III. Opracowałem szczegółowy projekt nowych, rozszerzonych uprawnień P. U. W. F. i Z. P. Z. S. oraz ich wzajemnego stosunku do siebie. Projekt ten przedstawiłem 20.3 1935 na konferencji w P. U. W. F., nazwanej później konferencją „grubej czwórki". Stał się on podstawą późniejszej umowy pomiędzy P. U. W. F., a Z. P. Z. S. Zgodnie z tą umową zarząd Z. P. Z. S. opracował projekt nowego statutu, który został przyjęty przez Walne Zgromadzenie Z. P. Z. S. w Krakowie w maju 1935 roku.

Reorganizacja sportu polskiego, mająca na celu zapewnienie wpływu P. U. W. F. na kierunki i tempo prac sportu społecznego oraz zwiększenie egzekutywy Z. P. Z. S. i Związków Sportowych, stała się faktem dokonanym! Przerobienie w analogicznym duchu statutów wszystkich Związków (za wyjątkiem „Sokoła" i Automobil-Clubu) było nieuniknioną konsekwencją. Zajęło ono 1936 i 1937, a częściowo nawet 1938 rok. W bieżącym roku przystąpiło się do dostosowania statutów okręgów i klubów.

Harmonijna współpraca

Dzięki tej „reformie" współpraca PUWF ze sportem społecznym uściśliła się (mimo niezwiększenia świadczeń finansowych), układając się szczególnie harmonijnie i wydajnie na osi P. U. W. F. — Z. P. Z. S. Że do tego doszło, zawdzięczamy przede wszystkim wyrobieniu społecznemu i dalekowzroczności ówczesnego dyrektora P. U. W. F., płk. dypl. Kilińskiego, który również nie traktował spornego zagadnienia prestiżowo.

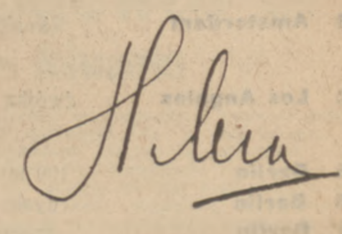
Jeżeli efekt praktyczny zmian, dokonanych w 1935 roku nie rzuca się w oczy to głównie dlatego, że wbrew nadziejom świata sportowego zwiększona ingerencja PUWF nie przyniosła z sobą zwiększenia pomocy pieniężnej, a delegaci PUWF i ZPZS nie wszędzie i nie zawsze spełnili swoje trudne zadanie.

Ponieważ jednak istnieją pewne znaki „na niebie i ziemi", pozwalające wierzyć w zwiększenie budżetu P. U. W. F. i P. W. i ustabilizowanie się jego składu personalnego, więc można mieć nadzieję, że rezultaty „reformy" dadzą się odczuć wyraźniej już w przyszłym roku. Jest to tym prawdopodobniejsze, że Z.P.Z.S. pracuje coraz spokojniej i energiczniej, a Związki coraz zdrowszą wykazują działalność i ze swych nowych uprawnień coraz częściej korzystają.

Niewątpliwie istnieją jeszcze liczne plamy na naszej tarczy, a trudności materialne i personalne tamują rozwój naszego życia sportowego, jednak mimo wszystko idziemy naprzód. Świadczą o tym nie tylko postępy organizacyjne i wyniki na arenie międzynarodowej, ale także pewne zahamowanie pieniactwa, kaperowania i brutalności oraz wzrost planowości w pracy — dzięki corocznym wytycznym PUWF i ZPZS.

W tych warunkach niepowetowaną stratą dla sportu polskiego byłoby ponowne wycofanie się P. U. W. F. i P. W. z kierownictwa odcinkiem sportowym, lansowane przez niektóre czynniki, nieświadome niewątpliwie szkód, jakie spowodowałoby wybudowanie takiego muru chińskiego.

Tylko harmonijna i planowa współpraca czynników państwowych i społecznych (jak w ostatnich latach) oraz zwiększenie świadczeń Państwa na cele sportowe może dźwignąć sport polski na wyżyny, na których po dwudziestu latach samodzielności stać powinien, i — w konsekwencji — dać silniejszy impuls i większy zasięg wychowaniu fizycznemu szerokich mas.



Były już mistrzostwa Europy, świata Czas zacząć starania o Olimpiadę

W 20-tym roku niepodległego sportu polskiego w międzynarodowym życiu organizacyjnym nie odgrywamy jeszcze roli, która przysługuje nam jako państwu o 35 milionach ludności i o żywiołowym ruchu sportowym. Zawodnicy wyprzedzili pod tym względem swych kierowników.

Ale czyż można się dziwić? Łatwiej, doprawdy, jest pobić rekord czy zwyciężyć, niż wyeksploatować ten sukces na terenie międzynarodowym. Sportem międzynarodowym kierują koterie i kliki, zakorzenione w nim od bardzo dawna i niechętnie dopuszczające intruzów z epoki powojennej. Nawet potężnym Niemcom robi się wciąż trudności.

Toteż tam, gdzie wstępowaliśmy na arenę z równymi prawami, w związkach zorganizowanych po wojnie, lub tam gdzie zadzierzgnęliśmy stosunki dawno przed wojną — szło nam jak z płatka. Prezesami Związku łuczniczego, saneczkarskiego i gimnastycznego, są Polacy. I nic nie zapowiada by miała tam nastąpić zmiana gabinetu.

Z tym większą dumą trzeba podnieść, że zasiadamy nadto w zarządach wielu potężnych związków międzynarodowych (narciarstwo, hokej, boks, lekka atletyka) i że mamy dwu delegatów w M. K. Ol., a więc tylu, ilu państwa o wieloletniej tradycji sportowej.

Dość ubogo przedstawia się nasz udział w organizowaniu wielkich świąt sportowych. Sporty zimowe są pod tym względem chlubnym wyjątkiem. Zwłaszcza narciarze. Oni to zapoczątkowali w roku 1929 serię mistrzostw Europy i w dziesięć lat potem po raz drugi zapraszają cały świat do Zakopanego. Ile w tym zasługi stosunków, wpływów, energii i rozmachu mjr. Bobkowskiego — nie trzeba dodawać.

Energii i rozmachowi zawdzięczamy też wspaniałe, pamiętne mistrzostwa hokejowe w Krynicy. Zabrakło tej energii przy realizacji zaproszenia na rok 1939, choć mandat otrzymaliśmy.

Trzeba pamiętać, że podejmując się organizacji wielkich imprez, braliśmy na barki specjalnie trudne zadanie. Debiutantom nie może się powinąć noga; wszystko musi być zrobione z rozmachem, wzorowo — z wielkim nakładem kosztów. Tak zrobiono np. mistrzostwa wioślarskie.

Ale potem przyszedł kryzys, który dał się nam bardziej we znaki, niż innym bogatym państwom. Skończyły się marzenia o subsydiach, a bez pieniędzy dobrze organizować nie można.

Z tego powodu musieliśmy zrezygnować z przyznanych już nam mistrzostw kolarskich i hokejowych, a mogliśmy zorganizować np. mistrzostwa strzeleckie, łucznicze i saneczkarskie, cieszące się poparciem sfer dość luźno związanych ze sportem.

Zasługą osobistych stosunków naszych delegatów było też zorganizowanie w r. ub. Kongresu Olimpijskiego w Warszawie. Zjazd taki jest jednak w równym stopniu wydarzeniem sportowym, jak towarzyskim. A na to łatwiej znaleźć pieniądze.

Wciąż jednak robimy wyłomy w niedostępnej twierdzy stosunków międzynarodowych. Mamy w tym roku w Zakopanem mistrzostwa łyżwiarskie, raid automobilowy dostał tytuł Grand Prix dostaniemy już na pewno mistrzostwa bokserskie, prawie na pewno mistrzostwa lekkoatletyczne. Od nas tylko już dziś zależy, aby dostać mistrzostwa zapaśnicze, czy nawet pływackie.

Tak, jak się dzisiaj przedstawiają horoskopy na przyszłość możnaby pomyśleć nawet o... Olimpiadzie. W roku 1948 lub 1952.

To nie jest taki zły i szalony pomysł!

S. R.

OD REDAKCJI

Realizując myśl wydania numeru "Przeglądu Sportowego", pod hasłem: „20 lat sportu w Niepodległej Polsce", dumni jesteśmy, że przypadł nam w udziale ten wielki zaszczyt otworzenia numeru specjalnymi autografami Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego oraz Naczelnego Wodza, Marszałka Edwarda Śmigłego - Rydza.

Odręcznym oświadczeniem, podkreślającym znaczenie wychowawcze sportu, zaszczycił nas również p. minister spraw zagranicznych Józef Beck.

P. min. Juliusz Ulrych zechciał cofnąć się do wspomnień z czasów, gdy Komendant Piłsudski rzucił rozkaz utworzenia P.U.W.F. i P.W.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że numer dzisiejszy nie będzie ani skróconym rysem historycznym, ani nawet kroniką tego, co sport nasz w okresie minionego 20-lecia przeszedł. Praca taka wykraczałaby daleko poza, wprawdzie wielokrotnie powiększone, ale ciągle jeszcze zbyt szczupłe ramy pisma.

Mijała by się zresztą z celem któryśmy sobie jako organ prasowy wytknęli.

Celem tym jest odtworzenie w szeregu krótkich rzutów najważniejszych tylko zdobyczy, czy wydarzeń sportu polskiego na polu jego organizacji i w dziedzinie uzyskanych wyników bojskowych.

Powtarzamy raz jeszcze, że intencją naszą było uwypuklenie jedynie najbardziej przełomowych momentów, a tam gdzie decydować ma indywidualna ocena, omyłki są zawsze możliwe.

Odbijając w reflektorze wspomnień najgórniejsze błyski polskiego życia sportowego, szkicujemy też treściwą linię rozwojową poszczególnych dyscyplin i staramy się ustalić ich pozycje w proporcji krajowej i międzynarodowej.

Echa z boisk nie dałyby jednak obrazu pełnego. Na całość drogi, którą sport nasz przeszedł w ciągu lat dwunastu składa się, w stopniu nie mniejszym, tzw. praca organizatorska. Najdobitniejsze jej efekty ujmujemy w paru zasadniczych artykułach, wzgl. wypowiedziach ludzi stojących u steru instytucji kierujących, lub opiekujących się rozwojem kultury fizycznej w kraju.

Rolę sportu, jako atutu propagandy zagranicznej oceniają w specjalnie dla „Przeglądu Sportowego" skreślonych oświadczeniach osoby najbardziej do tego powołane p. p. Ambasadorowie R. P.

Kronikarskie tablice chronologiczne oraz fotografie z dawnych czasów uzupełniają całość naszej pracy, którą dziś oddajemy do rąk Czytelników w przekonaniu, iż udało się nam zakreślone zadanie wykonać.

Honorowa lista Olimpijczyków

złote medale

1928	Amsterdam	dysk — 39.62 mtr	Konopacka
1932	Los Angeles	100 mtr — 11.9	Walasiewiczówna
1932	Los Angeles	10 km — 30:11.4	Kusociński

srebrne medale

1924	Paryż	kolarski bieg 4 km	Lange Łazarski Stankiewicz Szymczyk
1928	Amsterdam	konkurs skoków	Antoniewicz Gzowski Szosland
1932	Los Angeles	dwójka ze sternikiem	Braun Ślązak Skolimowski
1936	Berlin	100 mtr — 11.7 sek.	Walasiewiczówna
1936	Berlin	dysk — 46.22 mtr	Wajsówna
1936	Berlin	szampionat konia	Kawecki Kulesza Rojcewicz

brązowe medale

1924	Paryż	konkurs skoków	Królikiewicz
1928	Amsterdam	szampionat konia	Antoniewicz Rómmel Trenkwald
1928	Amsterdam	czwórka ze sternikiem	Birkholc Bronikowski Jankowski Ormanowski Drewek
1928	Amsterdam	drużynowa szabla	Friedrich Laskowski Małecki Papee Segda Zabielski
1932	Los Angeles	dysk — 38.74 mtr	Wajsówna
1932	Los Angeles	dwójka bez sternika	Budziński Mikołajczak
1932	Los Angeles	czwórka ze sternikiem	Braun Kobyliński Ślązak Urban Skolimowski
1932	Los Angeles	drużynowa szabla	Dobrowolski Friedrich Nycz Papee Segda Suski
1936	Berlin	rzut oszczepem — 41.80 mtr	Kwaśniewska
1936	Berlin	dwójka podwójna	Verey Ustupski
1936	Berlin	karabin małokalibrowy	Karaś

Konkurs sztuki

złote medale

1928	Amsterdam	poezja	Wierzyński
1932	Los Angeles	rzeźba	Klukowski

srebrne medale

1932	Los Angeles	grafika	Konarska
1936	Berlin	rzeźba	Klukowski

brązowe medale

1928	Amsterdam	malarstwo	Skoczylas
1936	Berlin	literatura	Parandowski
1936	Berlin	płaskorzeźba	Chrostowski

Interesuje nas cała kultura fizyczna

Wywiad z gen. Kazimierzem Sawickim dyrektorem PUWF i PW



Widzieliśmy, jaki panuje ruch na korytarzach, jaka jest kolejka w poczekalni. Rozumiemy więc, że trzeba od razu przejść do sedna.

— Jaki jest stosunek PUWF i PW do sportu? — pytamy więc z miejsca, po krótkim powitaniu.

Pan generał Sawicki odpowiada natychmiast w sposób wyczerpujący:

— Sama nazwa Urzędu, który znajduje się pod moim kierownictwem, wskazuje na to, iż zainteresowania jego obejmują wszystkie działy kultury fizycznej, w których liczbie znajduje się przecież i sport. Mniemanie, że PUWF i PW blisko serca trzyma jedynie i wyłącznie sprawy p. w. jest błędne. Dla nas jest ważne wszystko, co pracuje dla fizycznego i moralnego zdrowia, co przyczynia się do urabiania dzielnych, silnych ludzi. Sport należy niewątpliwie do najpotężniejszych środków wychowawczych, pozwalających cel ten osiągnąć. Środek ten musi jednak być we właściwy sposób używany. Dlatego, stosunek nasz do organizacyj sportowych uwarunkowany jest tym, czy i w jaki sposób organizacje te realizują ideały społeczne sportu. Każdy zrozumie, że nie możemy angażować pomocy państwowej, wydawać pieniędzy, idących z podatków, na finansowanie czyjejś zabawy i rozrywki. Popieramy moralnie i materialnie tylko takie organizacje, które cele wychowawcze stawiają na pierwszym planie, które młodych obywateli sposobią na dzielnych pracowników i żołnierzy.

— Czy nasze organizacje sportowe zadania swe w tym względzie spełniają?

— Ogólnie biorąc — tak! W polskim życiu sportowym tkwi dużo pierwiastków ideowości. Komercjalizacja czyni wszakże coraz większe spustoszenia; z tym złem trzeba walczyć z całą energią. Zapominanie o celach, do osiągnięcia których sport jest środkiem — odbiera wartość całej pracy.

— Skoro pan Generał ocenia działalność naszych związków sportowych jako pozytywną, czym się tłumaczy, że udzielana im pomoc jest tak szczupła?

— Istotnie, jest mała, niewątpliwie mniejsza, niżby należało, niżbyśmy chcieli. Trzeba się jednak liczyć z możliwościami budżetowymi. Mamy w Polsce tyle do zrobienia, do wybudowania, do inwestowania, że w każdym dziale trzeba się ogromnie ścieśniać. Potrzeby sportu nie mogą przecież pójść przed potrzębami oświaty, przed zaspokojeniem najprymitywniejszych potrzeb gospodarczych, przed troską bezpośrednią o wzmożenie obronności państwa. Poza tym, sport jest dziedziną, w której z natury rzeczy bardzo dużo ma do powiedzenia inicjatywa społeczna. W krajach, gdzie znaczenie sportu dla jednostki i dla całego narodu wszyscy dobrze rozumieją — może on obywać się bez jakichkolwiek subwencji. Zarabia na siebie bez trudu. Nasze organizacje też powinny dążyć do samowystarczalności. Droga do niej prowadzi przez masowość, przez szeroką propagandę.

— Często słyszy się zdanie, że sport ma służyć celom p. w. Jak to należy rozumieć?

— Nie chciałbym używać tu terminu „p. w.", a raczej pojęcia szerszego — troski o obronność państwa. W dzisiejszych warunkach — ostatnie wydarzenia polityczne to jaskrawie podkreśliły — najpoważniejszym argumentem w dyskusji jest stopień gotowości bojowej. Gotowość bojowa uwarunkowana jest nie tylko posiadaniem odpowiedniej ilości armat, samolotów i czołgów, ale przede wszystkim posiadaniem licznych rezerw ludzi, umiejących się nimi posługiwać, a nadto umiejących śmiało patrzeć w oczy niebezpieczeństwu, umiejących walczyć do ostatka, zawzięcie, zaciekle. Uprawianie ćwiczeń sportowych cechy te niewątpliwie rozwija, tym samym już sport służy celom obrony państwa. Pozostaje bowiem tylko przeszkolenie techniczne. Byłoby bardzo dobrze, gdyby wszyscy sportowcy takie przeszkolenie przeszli w ramach wyspecjalizowanych organizacji. Nie znaczy to wszakże, by miano ćwiczyć musztrę w klubach sportowych. Chodzi tylko o to, by pamiętano, że sprawność cielesna, którą daje uprawianie ćwiczeń, że zimna krew, karność, silna wola, energia, inicjatywa, duch poświęcenia, które młodzieniec nabywa podczas treningów i zawodów — oddane być muszą w służbę wyższych ideałów, w służbę narodu i państwa. **W. J.**

Naczelne instancje

wychowania fizycznego i sportu

Rada Naukowa Wychowania Fizycznego

Została powołana do życia z inicjatywy Marszałka Józefa Piłsudskiego na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 28 stycznia 1927 r.

Pierwszym przewodniczącym Rady Naukowej W. F. był Marszałek Józef Piłsudski. Obecnie Marszałek Edward Śmigły-Rydz. Wiceprzewodniczącym Rady jest od chwili jej założenia gen dr Stanisław Rouppert.

●

Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego

Utworzony 28 stycznia 1927 r. z woli Marszałka Józefa Piłsudskiego. Kompetencje P. U. W. F. i P. W. określa rozporządzenie Ministra Spraw Wojskowych, opublikowane w Dzienniku Urzędowym Nr 6 z 1927 r.

Pierwszym Dyrektorem był płk. dypl. Juliusz Ulrych (1927 — 29). Drugim — płk. dypl. Władysław Kiliński (1930 — 36). Trzecim — gen. bryg. Józef Olszyna - Wilczyński (1936 — 37). Obecnie gen. bryg. Kazimierz Sawicki.

Związek Polskich Związków Sportowych

Polski Komitet Olimpijski

W Krakowie 12 października 1919 r., ukonstytuował się Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich. 29 października 1921 r. na Zjeździe Delegatów siedmiu powstałych dotąd związków sportowych uchwalono powołać do życia Związek Polskich Związków Sportowych, 19 lutego 1922 r. został zatwierdzony statut ZPZS.

Na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu 26 października 1924 r. postanowiono znieść dwoistość naczelnych władz sportu polskiego, łącząc Związek Polskich Związków Sportowych i Polski Komitet Olimpijski w jedną instytucję pod wspólną nazwą. Statut tej zjednoczonej instytucji został przyjęty 28 marca 1925 r.

Prezesi ZPZS.: min. Artur Śliwiński (1922), min. Stanisław Osiecki (1923 — 27), płk. dypl. Juliusz Ulrych (1928 — 38).

Prezesi P. K. Ol.: Stefan ks: Lubomirski (1919 — 22), Kazimierz ks. Lubomirski (1923 — 24), inż. Wacław Znajdowski (1925 — 28), płk dypl. Kazimierz Glabisz (1929—38).

Delegaci polscy do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego

Stefan ks. Lubomirski (1919 — 23).
Kazimierz ks. Lubomirski (1923 — 30).
Min. Ignacy Matuszewski (od 1928 r.).
Gen dr Stanisław Rouppert (od 1937).



Z OLIMPIADY

Dytko i Martyna walczą z Austriakiem podczas meczu przegranego 1:3



Z WARSZAWSKIEGO KONGRESU M. K. OL.

Min. Matuszewski, hr. Baillet-Latour i gen. dr. Rouppert — idą na sesję



JADWIGA WAJSÓWNA

objęła spuściznę „rekordową" po Konopackiej.

Olimpijczycy w życiu prywatnym

INŻ. SZYMCZYK — Państwowy Zakład Hygieny w Warszawie.
ŁAZARSKI — właściciel warsztatów samochodowych w Krakowie.
LANGE — przemysłowiec garbarski w Warszawie.
STANKIEWICZ — przedsiębiorca automobilowy w Warszawie.
MJR. KRÓLIKIEWICZ — w Grudziądzu.
MJR. ANTONIEWICZ — w Tarnowie.
RTM. SZOSLAND — w Grudziądzu.
EMER. POR. GZOWSKI — prowadzi przedsiębiorstwo handlowe; wyjechał do Ameryki.
PPŁK. W ST. SP. RÓMMEL — właściciel stajni wyścigowej w Łodzi.
MJR. TRENKWALD — w Dębicy.
RTM. ROJCEWICZ — w Grudziądzu.
RTM. KULESZA — w Mińsku Maz.
RTM. KAWECKI — w Poznaniu.
KONOPACKA — MATUSZEWSKA — działaczka społeczna w Warszawie.
KUSOCIŃSKI — absolwent C. I. W. F. w Warszawie.
WALASIEWICZÓWNA — pracuje w organizacjach polskich na emigracji w Cleveland (Ameryka).
WAJSÓWNA — urzędniczka w firmie „Boruta" w Zgierzu.
KWAŚNIEWSKA-TRYTKOWA — urzędniczka Elektrowni Miejskiej w Warszawie.
DR PAPEE — inspektor Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie.
FRIEDRICH — urzędnik Powszechnego Banku Związkowego w Warszawie.
MJR. SEGDA — Warszawa.
MAŁECKI — wziął całkowicie rozbrat ze sportem, przenosząc się do swego majątku ziemskiego we Wschodniej Małopolsce.
KPT. LASKOWSKI — instruktor w CIWF., Warszawa.
KPT. ZABIELSKI — Warszawa.
MJR. LUBICZ-NYCZ — Poznań.
MJR. DOBROWOLSKI — Warszawa.
KPT. SUSKI — Warszawa.
BRONIKOWSKI — właściciel fabryki mebli artystycznych w Bydgoszczy.
JANKOWSKI — właściciel sklepu rowerów w Bydgoszczy.
BIRKHOLC — kasjer w jednym z banków w Bydgoszczy.
ORANOWSKI — urzędnik w biurze swego ojca w Bydgoszczy.
DREWEK — urzędnik bankowy w Bydgoszczy.
SKOLIMOWSKI — architekt w Warszawie.
BRAUN — pracownik na poczcie w Warszawie.
ŚLĄZAK — absolwent S. G. H., pracuje na kolejach w Warszawie.
URBAN — student szkoły im. Wawelberga i Rotwanda i pracownik w jednej z fabryk lotniczych w Warszawie.
MIKOŁAJCZAK — trener A. Z. S. (Poznań) i właściciel warsztatów w Poznaniu.
BUDZIŃSKI — trener A. Z. S. w Warszawie.
VEREY — student Akademii Wychowania Fizycznego im. Marszałka Piłsudskiego w Warszawie.
USTUPSKI — student Akademii Wychowania Fizycznego im. Marszałka Piłsudskiego w Warszawie.
KPT. KARAŚ — w Warszawie

W OBOZIE BENIAMINOWSKIM

internowani legioniści kopali dla rozrywki piłkę. Oto kilka znanych nazwisk: W środku stoi kpt. dr. Rouppert, na prawo kpt. Piskor. Siedzi z piłką kpt. Bończa - Uzdowski i mjr. Fabrycy.





MARSZAŁEK PIŁSUDSKI NA POSIEDZENIU RADY NAUKOWEJ W. F. W ROKU 1932-gim

Na prawo od Marszałka siedzą min. Pieracki i gen. Rouppert, a stoją płk. Ulrych i Kiliński. Ostatni (z lewej) stoi inż. Al. Bobkowski.

Płk dypl. Zb. Brochwicz-Lewiński

4 lata światowej sławy jeździectwa

Imponujący rozrost rokuje świetne nadzieje na przyszłość



ZDOBYCZ Z AMERYKI

przywieziona przez jeźdźców po trzykrotnym triumfie na arenie Madison



W czasie powstawania niepodległej Polski sport konny przeważnie mieścił się w ramach oddziałów broni jezdnych. Było parę klubów przedwojennych, jednak prawie że niefunkcjonujących z powodu działań wojennych. Nie znaczy to, żeby nie było poszczególnych jeźdźców sportsmanów z poza wojska, którzy ten sport uprawiali i mieli już za sobą pewne sukcesy. Trudno ustalić chronologiczne powstawanie pierwszych klubów jeździeckich. W każdym razie można stwierdzić, że do najstarszych klubów istniejących do dziś dnia należą: Gnieźnieńskie Towarzystwo Jeździeckie, Oddział Konny Sokoła we Lwowie, Pomorskie Tow. Zachęty do Hodowli Koni, Związek Jeździecki, Sport Konny, Of Art. Kon.

Jako pierwsze publiczne zawody konne należy uważać konkursy urządzane przez Tow. Zachęty Hodowli Koni w Polsce w Agrikoli i na placu Mokotowskim w 1922 r. Tu zaczęli się już zjeżdżać oficerowie z różnych pułków. W tym czasie można zanotować zawody urządzane przez Pomorskie Tow. Zachęty do Hodowli Koni, względnie przez Centralną Szkołę Kawalerii w Grudziądzu.

Znamiennym jest, że udział nasz w Olimpiadzie pobudził szersze grono jeźdźców do czynnego udziału w sporcie. Wzrosło bardzo zainteresowanie i zaczęły się tworzyć kluby jeździeckie na całym terenie Polski. Tym samym częstsze były i imprezy publiczne po różnych miastach.

Zaraz po Olimpiadzie grupa została rozwiązana i powstała dopiero w jesieni 1925 r. pod kierownictwem rtm. Kona. Od tej pory zaczynają się systematyczne wyjazdy zagraniczne, które pomagają do uzyskiwania coraz większych sukcesów. Bezspornie przyczyniły się do tych sukcesów i stawki dobrych koni zakupionych za granicą, których pierwszy transport został sprowadzony z Anglii w 1925 r. następny zakup we Francji w 1926 r. Z koni, które wówczas się wybiły należy wspomnieć: „Rewcliff", „Powderpuff"; „Dream"; „Readgledt" i prywatnego konia rtm. Królikiewicza sławnego „Picadora". W tym czasie jeździec ten z tym koniem odegrał dużą rolę.

Pierwsze większe zawody krajowe na Sielcach pod Warszawą odbyły się w lipcu 1926 r. Były one licznie obesłane przez jeźdźców z całej Polski. Te zawody dały asumpt do założenia Tow. Międzynarodowych i Krajowych Zawodów Konnych w Polsce.

Przy usilnych staraniach płk. Zahorskiego i płk. Korytowskiego i grona chętnie z nimi współpracujących sportmenów, dzięki przychylnej decyzji Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, został zbudowany stadion w Łazienkach, jako własność Tow. Międzynarodowych i Krajowych Zawodów Konnych w Polsce, działającego pod przewodnictwem Janusza ks. Radziwiłła. Od tej pory t. j. od 1927 r. stadion ten rokrocznie zbierał zastępy jeźdźców zagranicznych i najwybitniejszych krajowych.

Muszę zaznaczyć, że już w zawodach na Sielcach ukazało się dość liczne grono jeźdźców cywilnych, z dużym udziałem amazonek. Ten okres zapisał się w dziejach sportu konnego powstaniem różnych stowarzyszeń i klubów jeździeckich, których wówczas było już ok. 20.

Na okres do 1928 r. przypadają nasze największe sukcesy zagraniczne, gdzie należy wspomnieć o Nicei (dwukrotne zwycięstwa w Grand Prix de la ville de Nice mjr. Królikiewicza i rtm. Szoslanda) i o tryumfalnym wyjeździe do Nowego Jorku, gdzie były wzięte prawie wszystkie pierwsze nagrody. Okres ten został przypieczętowany zdobyciem na Olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 r. Srebrnego medalu zespołowego w konkursie w skokach i Brązowego we Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego.

W tym czasie największego nasilenia reprezentacyjnego sportu konnego, gdy zaszła potrzeba uregulowania warunków tego sportu i dla reprezentacji jego na arenie międzynarodowej powstał Polski Związek Jeździecki. Było to 18 lutego 1928 r.

Jak wszelkie poczynania tak i sport konny w Polsce musiał mieć swój punkt kulminacyjny. Z tych lub innych powodów sukcesy nasze w szrankach międzynarodowych zaczęły od 1929 r. słabnąć. Uważam to za rzecz zrozumiałą, która może się jeszcze nieraz powtórzyć i którą przechodzą wszystkie inne narodowości co jakiś czas.

Wśród licznych starań powołanych czynników o odprowadzenie jeździectwa do możliwie najlepszego poziomu, P.Z.J. zatrzymał się głównie na wysiłku rozbudowania sportu jeździeckiego w szerz i przyciągnięcia do niego tych sfer, które były jeszcze zbyt mało zainteresowane. P.Z.J. uważał, że przez to rozszerzenie sportu, i stworzenie możliwie najliczniejszej konkurencji dla wszelkiego rodzaju jeźdźców polskich, da on większą możliwość wyławiania nowych talentów i nowego zastępu zawodników najwyższej klasy.

Wysiłki te nie poszły na marne, gdyż po różnych wahaniach doszliśmy znowu do wyższego poziomu sportu reprezentacyjnego a wśród osiągających przodujące wyniki ukazały się nowe nazwiska.

Obecnie w Polskim Związku Jeździeckim jest 29 stowarzyszeń zrzeszonych. Co roku, w różnych punktach Państwa Polskiego, P.Z.J. organizuje 8 własnych Meeting'ów Popularnych, których program obejmuje zawody zaczynając od przeznaczonych dla młodego pokolenia, aż do zawodników czołowej klasy. Raz do roku P. Z. J. urządza od ośmiu lat coraz to w innym mieście Jeździeckie Mistrzostwa Polski, które były pierwszą tego rodzaju imprezą jeździecką na całym świecie.

P.Z.J. wprowadził Polską Odznakę Jeździecką w sześciu stopniach, która jest widoczną zachętą i dla początkujących jeźdźców i dla elity jeździeckiej.

Kursy nauki jazdy konnej, zawody konne dla młodzieży wiejskiej — wszystko to cementuje rodzinę jeździecką, wszystkie jej sfery, od najmłodszej do najstarszej generacji, i w taki sposób łączy ją dla współpracy na jednym i tym samym polu.

Widocznym znakiem aprobaty pożytecznej działalności jeździeckiej P.Z.J. było przyjęcie honorowej prezesury przez Marszałka Polski Edwarda Śmigłego - Rydza w 1936 r.

Na zakończenie chcę zaznaczyć, że wspólne wysiłki wszystkich zainteresowanych czynników a w tym w dużej mierze Departamentu Kawalerii i Ministerstwa Rolnictwa doprowadziły do pomyślnych wyników i w sporcie reprezentacyjnym. Nie są to rzeczy przypadkowe, lecz wskazują one na nowe wznoszenie się naszej klasy jeździeckiej.

Polski Związek Jeździecki.

Założony w roku 1928 w Warszawie, gdzie mieści się stale. Adres: Warszawa, al. Ujazdowskie 39.

Prezesem od początku jest płk dypl. Zbigniew Brochwicz-Lewiński.

30 klubów. 5.500 członków.

W grudniu 1922 r. została sformowana oficjalna Grupa Olimpijska przy Centralnej Szkole Kawalerii w Grudziądzu, którą początkowo prowadził por. Leon Kon, a następnie mjr. Ekse. W 1924 r. stworzono równoległą grupę pod kierownictwem mjr. Rómmla przy I pułku szwoleżerów w Warszawie. Przed samym wyjazdem na Olimpiadę obydwie te grupy były połączone w Warszawie — kierownictwo objął mjr. Rómmel, przy współpracy por. Kona.

Na Olimpiadę do Paryża w 1924 r. została wysłana ekipa, składająca się z sześciu jeźdźców.

Indywidualnie por. Królikiewicz zdobył trzecie miejsce w konkursach w skokach.

Już w 1923 r. odbył się pierwszy wyjazd zagraniczny naszych jeźdźców do Nicei i Rzymu z dodatnimi wynikami.



RUNDA HONOROWA W AMSTERDAMIE

Rtm. Antoniewicz, por. Szosland, mjr. Rómmel zdobywcy brązowego medalu olimpijskiego



OGÓLNY WIDOK ZABUDOWAŃ C. I. W. F.

Litania krzywd i przeciwności

w pięcioboju nowoczesnym w Amsterdamie



Pięciobój nowoczesny na całym świecie pielęgnowany jest przede wszystkim w armii, jako znakomity sprawdzian wszechstronnego wyćwiczenia sportowego. W Polsce pierwsze nieoficjalne zawody odbyły się już w roku 1919 w Warszawie, a rok 1923 przyniósł pierwsze mistrzostwa armii, w Warszawie. Pionierami pięcioboju byli m. in. kpt. Hut, por. Berski, Baran, Laskowski.

Regularne mistrzostwa Polski trwają od roku 1926-go i siedem razy z rzędu tytuł zdobył wchm. Szelestowski. Obecnie opiekę nad pięciobojem nowoczesnym objął, zupełnie słusznie, Związek Wojskowych Klubów Sportowych, a mistrzostwo dwukrotnie zdobył por. Batog z Wilna.

Sztandarowym polskim „pięciobójcą nowoczesnym" jest Stefan Szelestowski. Był pierwszym mistrzem Polski i tytuł ten zdobył kolejno siedem razy. Od 1926 roku — do 1932. W roku 1928 reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich.

— Mojemu startowi na igrzyskach — opowiada p. Szelestowski — towarzyszył splot pechowych okoliczności. Jechałem do Amsterdamu z dosyć poważnymi szansami. W biegu — robiłem na 3 km 9:05, w strzelaniu — 190 pkt., w pływaniu na 300 m — 5:05, byłem dobrym szermierzem — szpadzistą, a na koniec — jazda konna.

Przygotowywaliśmy się do Olimpiady bardzo starannie. Pojechaliśmy wreszcie w czwórkę: por. Koprowski, por. Małysko, kpt. Baran i ja.

Pierwszego dnia była w programie szermierka. Spodziewałem się wiele po tej konkurencji, ale tuż przed samym startem miałem incydent, który wyprowadził mnie całkowicie z równowagi. Byłem do tego stopnia zdenerwowany, że po prostu walczyć nie byłem w stanie i „dałem się wyliczyć". Gdy ochłonąłem i zorientowałem się, że zaprzepaściłem szanse — było już za późno...

W następnej konkurencji — pływaniu zająłem szóste miejsce w czasie 5:27. Wygrałem przedbieg nie mając poważniejszej konkurencji.

Teraz z kolei wypadło strzelanie. Byliśmy tu faworytami. Na treningach w Amsterdamie wykazaliśmy świetną formę. Zrobiłem nawet 195 pkt. Gdy jednak przyszło do strzelania z przerażeniem skonstatowaliśmy, że nie trafiamy wcale do tarczy. Dziwna ta rzecz wywołała w swoim czasie wiele rozgłosu, bo jak się później okazało nasze pistolety były uszkodzone. Kto to zrobił pozostało do dziś tajemnicą.

Bieg na przełaj był moim benefisem. Byłem pierwszym o 10 sek. przed Finem Lampollą w czasie 14:14. Pozostała jeszcze jazda konna. Poszło mi znakomicie. Byłem jedynym zawodnikiem, który przeszedł bez punktu karnego. Zakwestionowano jednak moje zwycięstwo i zarzucono mi jakobym ominął jedną z chorągiewek na trasie. Tymczasem właśnie na tej chorągiewce potknął się mój koń i ukląkł nawet.

Niestety. Nasze kierownictwo nie potrafiło właściwie zaprotestować i... przepadłem. Mimo tych pechowych okoliczności zająłem 26 miejsce. Przedemną znalazł się tylko por. Małysko, a por. Koprowski był 34.

Mjr M. Antoniewicz

...Zagrała w niej krew „wyścigowca"...

Na „Mojej Miłej", zamiast stępa — kłusem

Każdy sportowiec, który osiągnął poważne wyniki i który w walce o pierwszeństwo pokłada całą ambicję i serce, doznaje w czasie jej trwania całej sumy odczuć i wrażeń. Po walce może te uczucia zrekonstruować, po prostu przeżyć je powtórnie.

Tak się złożyło, że chwile najgorszego i najlepszego samopoczucia przeżyłem w dwu różnych fragmentach tej samej próby, t.j. Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego na Olimpiadzie, w Amsterdamie w roku 1928.

Do startu w tej konkurencji zostałem wyznaczony na parę tygodni przed wyjazdem i w tym samym mniej więcej czasie została mi przydzielona 8-letnia klacz pół krwi angielskiej „Moja Miła". Było to wspaniałe skarogniade stworzenie na stalowych nogach, o doskonałym temperamencie. Klacz była wypróbowana wielokrotnie w biegach z przeszkodami i na przełaj oraz lżejszych konkurencjach. Nie było jednak pewne, jak się zachowa w próbie na czworoboku, przy tłumach publiczności.

Przyszedł wreszcie ten wielki dla mnie, piękny sierpniowy dzień, dzień startu na Olimpiadzie. Mniej więcej na 1 i pół godziny przed startem w próbie na czworoboku siadłem na klacz i pojechałem w teren, by ją spokojnie, spacerowo rozprężyć i samemu skrócić sobie chwile oczekiwania. Pogoda była wspaniała, rzeźwe leśne powietrze — wszystko nastrajało jak najlepiej.

Gdy wróciłem na stadion w Hilversum, miałem jeszcze pół godziny czasu. Zsiadłem, kazałem klacz przesiodłać i zapaliłem „ostatniego" papierosa. Minuty się wlokły. Na ujeżdżalni obok mnie kłusowało kilku jeźdźców. Sprawdziłem na programie, że dwóch z nich startuje przede mną.

Nareszcie czas. Dosiadłem klaczy i po paru minutach usłyszałem sygnał. Wjechałem, jak wymagał regulamin, skróconym galopem w szranki. W oznaczonym punkcie klacz stanęła jak wkopana. Ukłon dla Jury. I lekkie naciśnięcie łydek, by ruszyć z miejsca.

Co to znaczy? Moja Miła jednym szarpnięciem swej pięknej głowy wyrwała mi wodze i nie ruszając z miejsca obejrzała się na prawo i lewo tym ruchem stepowego konia, jaki widujemy na akwarelach wielkiego Juliusza. Wreszcie ruszyła. Ale jaki! Chód, jakim ruszyła, nie był stępem nawet w marzeniach ściętej głowy. Było to coś pośredniego między caplowaniem a pasażem.

Czułem, jak włosy dębem mi stają i zimny pot oblewa, a byłem bezradny. Klacz nie reagowała na nic. Niewielu rzeczy tak gorąco pragnąłem w życiu, jak tego, by wreszcie skończył się odcinek pracy w stępie i przyszedł upragniony kłus. Nareszcie! O ironio — pracę w kłusie i galopie Moja Miła wykonała zupełnie poprawnie. Naturalnie do całości oceny niewiele to już pomogło.

Tak przeżyłem najgorsze bodaj chwile w mej karierze sportowej.

Przyczyna tego zachowania się naszych klaczy (i Doneuse ppłk. Rómmla zrobiła „kryminał" bodaj jeszcze gorszy) była bardzo prosta. Gdy zobaczyły całą masę flag, rabaty kwiatów, jaskrawe toalety, parasolki i uniformy, usłyszały gwar tłumu — wszystko to skojarzyło się w ich mózgach, ze wspomnieniem startów na wyścigach. Czekały tylko na chorągiewkę startera, by wyładować energię wielkiej krwi, energię akumulowaną przez doskonałe przygotowanie dystansowe — w niepowstrzymanym biegu.

Na 14 ekip startujących znaleźliśmy się po próbie ujeżdżania na... 12 miejscu. Do medalu dość daleko. To też miny nasze były mocno wydłużone.

W drugim dniu start do próby wytrzymałości wypadł wcześnie rano. Przebieg drogami 7 km., bieg z przeszkodami 4000 mtr (nb. bardzo łatwy), znowu przebieg drogami 15 km. wszystko to poszło bez sensacji. Wreszcie „gwóźdź"! Bieg na przełaj 8000 mtr, 32 przeszkody do 120 cm, wszystko martwe, 60 proc. kombinowane z rowami, teren miejscami głęboki, zwłaszcza nad rowami.

Mając kilka minut czasu przed startem dałem klaczy parę łyków wody z cukrem, nozdrza zmyłem wodą z octem. (Na wszystkich odcinkach mieliśmy takie swoje stacje zaopatrzenia, które pracowały bardzo dobrze).

Starter sprawdza numer — chorągiewka — jazda!

Postawiłem klacz na tempo, wzrok przed siebie, by zawczasu widzieć wskaźniki i teren. Po jakich 200 mtr pierwsza przeszkoda. Moja Miła zdejmuje się. Co to? Stuk, wstrząs w powietrzu, lądujemy na „słowie honoru". Poczesała sobie najspokojniej sosnę o przekroju 30 cm przybitą na martwo, jak by to był jałowiec. Jak się utrzymała na nogach, to już musiałaby sama opowiedzieć.

Nie ma czasu na refleksje. Batem po łopatce „uważajno bez kawałów". Druga przeszkoda. Zdejmuje się wspaniale, ląduje z zapasem. I tak do końca. 8000 mtr w tempie między 400 — 500 mtr na min. Ponad 30 wspaniałych skoków. Flagi, przeszkody, chorągiewki, drzewa, krzaki, tłumy publiczności przy każdej z przeszkód mijam w tempie polowego galopu. Ani jednego zawahania się, ani jednego potknięcia. Jakby mi chciała wynagrodzić wczorajszy „wyczyn".

Cały dystans pokryty z jednakową energią, bez śladu zmęczenia. Celownik, bieg kontrolny. Rozsiodłują, idę na wagę. Luzak już czeka. Zmywamy klacz gorącą wodą z octem, dery, parę łyków odstałej wody i marsz do stajni parę kilometrów.

Po przybyciu do stajen dowiaduję się, że zostało tylko 6 ekip w komplecie razem z nami. Rómmlowi zaliczono upadek, którego nie było, Trenkwald spóźnił parę sekund.

Jutro przegląd lekarski rozstrzygnie.

Przychodzi to jutro. Do konkursu stają już tylko 3 ekipy w komplecie. Jest to właściwie tylko formalność, choć niewiele brakowało by się zmieniło, bo jeden koń ekipy norweskiej koniecznie chciał być wydzwoniony, ale jeździec uparł się i skończył przebieg.

Ekipa polska zajęła 3 miejsce i zdobyła medale brązowe.

W mej karierze sportowej dosiadałem wielu koni. Były między niemi takie, których dosiadałem przez szereg lat w dziesiątkach konkurencji. Wszystkie wspominam z wdzięcznością, bo nawet te, które nie dały mi sukcesu, dały mi przeżycie sportowe i doświadczenie. A jednak tak się złożyło, że chwile najgorszego i niebawem najlepszego samopoczucia przeżyłem dosiadając konia, którego miałem w rękach zaledwie parę tygodni i którego raz jeden tylko prowadziłem do celownika na zawodach publicznych.

Tym koniem była klacz „Moja Miła", a tymi zawodami Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego na Olimpiadzie w Amsterdamie 1928.

Polak reprezentantem Europy

Szczyt kariery hokeja na trawie



Kolebką i, do dzisiejszego dnia, ostoją polskiego hokeja na trawie jest Wielkopolska. Współzałożycielem i głównym propagatorem tej gałęzi sportu, jest poznańczyk — red. Tadeusz Paczkowski, który opowiada nam o wzlotach i o powstaniu hokeja na trawie.

— Najwcześniej, bo w 1922 r. rozpoczęto grać w hokeja na trawie w Poznaniu, w dziś już nieistniejącym Klubie Łyżwiarskim. Głównym propagatorem w klubie był obecny członek i założyciel sekcji hokejowej Stelli gnieźnieńskiej Drzewiecki. Gra on jeszcze do dziś w bramce, również w drużynie hokeja na lodzie, a w swoim czasie był graczem reprezentacyjnym.

— Hokejem zainteresowały się również szkoły i tak powstały drużyny: w Lubawie dzięki inicjatywie prof. Engla, w Chojnicach dzięki prof. Szczepańskiemu a później w Ostrowie, dzięki prof. Cudnemu.

— W 1924 roku powstała silna drużyna przy poznańskiej Unii. Ona to stała się głównym konkurentem KŁP. Po utracie przez Unię własnego boiska, sekcja hokejowa oderwała się i utworzyła samodzielny klub hokejowy Lechia, który wreszcie w całości przeszedł do WKS Poznań.

Na dziesięć dotychczas rozegranych mistrzostw Polski, Lechia (a późniejszy WKS) zdobyła ten tytuł siedem razy, dwa razy mistrzem był KH Siemianowice, a raz poznańscy Czarni. Porażka KŁP z Lechią sprawiła, że klub ten przeszedł w całości do Warty, której sekcja jest czynna do dzisiejszego dnia.

W październiku 1924 r., z inicjatywy KŁP, na zjeździe delegatów 8 klubów założony został Polski Związek Hokeja na trawie z siedzibą w Poznaniu. Pierwszym prezesem został kpt. dr Grodzki.

— Szczytowy rozwój osiągnął hokej polski w latach 1929 do 1931. Największą była liczba klubów, bardzo żywy kontakt zagraniczny. Odbyły się wówczas pierwsze dwa spotkania międzypaństwowe: w czasie Pewuki, w Poznaniu, z Czechami oraz z Węgrami, w Budapeszcie. Brak zgrania i rutyny spowodował, że w obu wypadkach jedenastka reprezentacyjna przegrała w wyższym stosunku aniżeli drużyna klubowa (Lechii).

Z drużynami zagranicznymi oraz gdańskimi grały wówczas spotkania międzynarodowe zarówno Lechia, Czarni jak i Warta. Filarami Lechii jak i reprezentacji polskiej, którzy równocześnie przyczynili się do poważnego podniesienia techniki w naszych drużynach byli: Stanisław Ostrowski i Leszek Kohman. Ten ostatni był jednym z najlepszych obrońców na kontynencie (grywał w Niemczech), toteż kiedy w 1929 r. doszło do spotkania między Europą i Indiami, wystawiony został do reprezentacji Europy. Spotkanie to odbyło się w Genewie.

(S. S.)

Polski Związek Hokeja na Trawie

Założony w Poznaniu w 1926 r. Adres: Poznań, Żupańskiego 5.

Prezesi: kpt. dr Marian Grodzki (1926—27), płk Fedorczyk (1928—29), dyr. Broniarz (1930—31), red. Tadeusz Paczkowski (1932—34), kpt. mgr Tadeusz Baczyński (1935—37). Obecnie pełni obowiązki prezesa red. Sobiesław Paczkowski.

11 klubów. 263 członków.

Od administracji

P. T. Prenumeratorów zmieniających adres, prosimy o podawanie starego i nowego adresu, oraz dokładnego terminu w jakim ma być wysyłane pismo pod nowym adresem.

Wznowić tradycje dawnych lat!

Oto hasło dnia sportu kolarskiego

Kreśląc rys historyczny polskiego kolarstwa torowego, należy się poważnie zastanowić czy sport taki w ogóle istnieje. A jeśli dojdziemy do przekonania, że tych 30-tu kolarzy torowych zasługuje na odrębne traktowanie, to jednak przyznać z przykrością musimy, że są to „ostatni Mohikanie" i że kolarstwo torowe znajduje się na najlepszej drodze do przejścia wraz z całym inwentarzem i chlubną tradycją do zakurzonej historii.

Trudno w ramach numeru jubileuszowego zastanawiać się nad przyczynami tego stanu rzeczy.

Faktem jest, że kolarstwo torowe było w chwili „wybuchu niepodległości" jednym z niewielu sportów, które posiadały warsztaty pracy, zawodników i wyrobionych organizatorów. Kto wie, czy ta przeszłość, czy „średniowieczne" korzenie cyklistyki nie sprowadziły późniejszego załamania.

Dopóki gospodarowano starymi metodami i starymi ludźmi, sport torowy rozwijał się doskonale. Nie trzeba wprawdzie brać zbyt dosłownie wszystkich sukcesów dynasowskich, tym niemniej uznać trzeba dobrą klasę Szymczyka, Łazarskiego, Stankiewicza i Langego.

Rok 1926 był ostatnim sezonem dobrobytu; od tej chwili linia rozwojowa zdradza objawy dekadencji. Kolarstwo nie wytrzymało konkurencji i zdystansowane zostało przez sporty nowocześniejsze, a ściślej — nowocześniej kierowane.

Nazwiska odosobnionych talentów (Koszutski i Szamota — ale zwłaszcza Koszutski!) nie ocalą tej epoki od surowego osądu. Trzeba przecież przynajmniej „dziesięciu sprawiedliwych", by uratować opinię wysokiego poziomu.

W każdym razie zanotować należy, że Koszutski jest — jak dotąd — jedynym kolarzem polskim, który na oficjalnych zawodach o tytuł przedostał się do ćwierćfinałów, na Olimpiadzie w Amsterdamie.

Rozwalenie obu torów warszawskich przypieczętowało upadek kolarstwa torowego, było jednak nie jego przyczyną, ale skutkiem. Znalazłyby się środki na obronę tych torów, gdyby odgrywały one doniosłą rolę w naszym sporcie. Tak, niestety, nie było. Mało było zawodników, mało zawodów, mało publiczności...

Jest rzeczą ciekawą, że pobratymcza szosa wykazuje rozwój zupełnie odmienny. Pierwsze lata nie zapowiadały szerokiej popularności wyścigów szosowych. Również pierwsze występy zagraniczne nie mogły nastrajać optymistycznie, tymbardziej, że odcinały się jaskrawo od sukcesów torowych.

Szosa miała jednak szczęście. Już w 1928 roku natrafiono na właściwy tor i wrzesień tego roku będzie datą przełomową w historii tego sportu. Na wzór słynnego „Tour de France" zorganizowany został przez WTC i „Przegląd Sportowy" Bieg Dookoła Polski.

Impreza ta położyła podwaliny pod powszechność kolarstwa szosowego i dała asumpt do stworzenia całej serii wyścigów długodystansowych. Kontakt z zagranicą (pierwsza wizyta szosowców niemieckich w 1930 r.) przyczynia się do unowocześnienia sprzętu, a potem (mecze Warszawa — Berlin) do unowocześnienia taktyki jazdy.

Momentem najwyższego rozkwitu kolarstwa szosowego był rok 1935-ty. W sezonie tym stoczyliśmy równorzędną walkę z szosowcami niemieckimi, wygrywając dwa etapy między stołecznego wyścigu.

Od tego momentu szosa nie zrobiła już dalszych postępów.

Ten impas, którego świadkiem jesteśmy w roku bieżącym, jest groźnym ostrzeżeniem. Kolarstwo szosowe wymaga energicznej akcji — ale jest jeszcze bezwątpienia pozycją wartościową i do uratowania.

(J. E.).

Polski Związek Kolarski

Założony w czerwcu 1920 r. z siedzibą w stolicy. Adres: Warszawa, Wawelska 5.

Prezesi: Kazimierz Pawiński (1920—22), Ignacy Wadowski (1923), prof. Mieczysław Bodalski (1924—30), Rowmund Piłsudski (1931), Romuald Lange (1932—34), Tadeusz Lenartowicz (1935), ppłk Leopold Gebel (1936—38).

7 okręgów, 146 klubów. 1215 członków.

Nikt z rodaków nie widział

jak kolarze zdobywali srebrny medal

Kolarstwo polskie zanotowało swój największy sukces na Olimpiadzie, w Paryżu. Czwórka torowców w składzie: Lange, Łazarski, Stankiewicz i Szymczyk, zajęła w biegu drużynowym na 4 km. — drugie miejsce, i zdobyła pierwszy srebrny medal dla Polski.

O wydarzeniu tym opowiada nam jeden z „kwartetu", p. inż. Franciszek Szymczyk:

— Pojechaliśmy do Paryża zupełnie do tego biegu nieprzygotowani. Nigdy wcześniej nie trenowaliśmy „czwórki", ale na igrzyskach paryskich byliśmy zgłoszeni do wszystkich konkurencji torowych, a więc: 1 km szybkości, 4 km drużynowo i 50 km.

Na torze olimpijskim w Vincennes zjawiliśmy się już niemal na miesiąc przed zawodami. Rozpoczęliśmy intensywny trening, zapominając o otaczającym nas świecie. Mieszkaliśmy w pensjonacie w pobliżu toru, do Paryża zupełnie nie jeździliśmy. Cały czas zajęty był przez pracę.

Już po paru dniach, mieliśmy pilnych obserwatorów. Trenerzy i „menażerowie" obcych drużyn, gdy zmierzyli na stoperach nasze treningowe czasy, zaczęli się z nami poważnie liczyć i regularnie śledzili przygotowania czwórki polskiej.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień startu. W pierwszym biegu pokonaliśmy Łotwę, doganiając ją w 5:16, później, mimo przegranej z Belgią, zakwalifikowaliśmy się do półfinałów ze względu na najlepszy czas z pokonanych drużyn.

W półfinale wylosowaliśmy Francję. Była to drużyna silna, bardzo szybka, nikomu przez myśl nie przeszło, że może być wyeliminowana przez Polskę. Z zainteresowaniem śledzono zaciętą, równą walkę. Początkowo straciliśmy trochę na starcie, później wyrównaliśmy, ale na trzecim kilometrze zdarzyło się nieszczęście. Skutkiem złej zmiany Stankiewicz się urwał, pozostał w tyle. Los przyszedł nam jednak z pomocą; na tym samym okrążeniu jednemu z Francuzów nawaliła kicha. Zrobiło się zamieszanie, jeden z sędziów usiłował „oddzwonić" wyścig". Mimo to Francuzi pojechali dalej i... wygraliśmy o 10 m.

Wynik ten był wielką niespodzianką. Na widowni z Polaków nie było prawie nikogo. Gdy rezultat ogłoszono na stadionie w Colombes, ogarnęło tam wszystkich zdumienie. Radość znajdujących się tam rodaków nie miała granic. Nikt się po nas tego nie spodziewał, wszyscy wybrali się do Colombes, aby przyjrzeć się startowi naszych kawalerzystów.

Na wieść o wejściu przez nas do finału, rozpoczęła się wędrówka do Vincennes. Usiłowano w jak najszybszy sposób przenieść się na tor. Nie udało się to jednak. Gdy większa grupa Polaków przybyła — było już po finale, który przegraliśmy z Włochami...

Przegraliśmy, choć mogliśmy wygrać z tym samym powodzeniem. Według wcześniej ułożonego planu, Stankiewiczowi przypaść miała zmiana z wiatrem. W czasie akcji jednak, tak się złożyło, że wypadło mu prowadzenie pod wiatr. Straciliśmy trochę terenu, nie mogliśmy już tego odrobić.

Mimo to, radość ze srebrnego medalu była wielka. Całowano się, skakano, aż dopiero odegranie hymnu polskiego i wciągnięcie flagi polskiej na maszt potrafiło nas uspokoić.

Kierownik drużyny polskiej p. Wojtkiewicz płakał z radości. Zresztą, łzy szczęścia z pierwszego sukcesu olimpijskiego mieliśmy wszyscy w oczach.

(maur.)

„Do widzenia chłopcy!"

To był Więcka sygnał do ataku...

Nazwisko Feliksa Więcka jest pięknie zapisane w historii naszego kolarstwa. Była to przed laty sylwetka jedna z najciekawszych wśród szosowców, kto wie nawet czy nie najciekawsza. O jego wielkich zwycięstwach krążą wśród braci kolarskiej legendy, a okrzyk: „Dowidzenia chłopcy!" był prawdziwym pożegnaniem dla rywali, po którym znikał im z oczu i wygrywał bezprzykładnie.

— Wyjątkowe wspomnienia z mej wieloletniej kariery zawodniczej, dale mi pierwszy wyścig „Dookoła Polski" — mówi nam Więcek. — Właśnie dziesięć lat minęło od tego największego zwycięstwa. Ilekroć w pamięci segreguję swój dorobek sportowy, tyle razy wracam myślami do biegu „Dookoła Polski".

Przed tym wyścigiem byłem jeszcze szarym kolarzem, z którym nikt się nie liczył, którego nikt w ogóle nie znał. Przyznam się też szczerze, że nawet nie marzyłem o zwycięstwie i dopiero po przejechaniu 100 km, gdy doszedłem czołówkę, mimo straty kilkunastu minut na reperację gum, nabrałem zaufania do swoich sił i możliwości.

Pierwszy etap z Warszawy do Lublina przegrałem do Michalaka, z różnicą pół koła, ale byłem z tego zadowolony, obiecując sobie dużo więcej po następnych. I rzeczywiście, sześć następnych etapów wygrałem, tak „jak chciałem". Gdy zainicjowałem ucieczkę, bractwo wiedziało już, że tylko wypadek powstrzyma mnie od zwycięstwa.

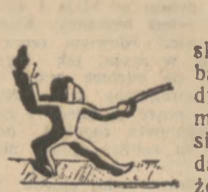
Epilogu, z Łodzi do Warszawy, nie mogłem niestety, wygrać. 14 klm przed metą miałem wypadek i nie było już czasu na odrobienie straty. Przybyłem drugi za Oleckim. W sumie byłem jednak bezapelacyjnym zwycięzcą.

Nieznane dotąd nazwisko stało się głośne. Zdobyłem wówczas masę nagród, m. in. nagrodę P. Prezesa Rady Ministrów — Bartla, 5 rowerów, nie licząc ram, kół, pucharów i wielu, wielu innych jeszcze podarków. Zdobią one obecnie moje mieszkanie i nie sprzedałbym ich za dziesięć tysięcy złotych!

Dziś, mam dobre stanowisko kierowcy w Straży Ogniowej, poza tym, mam małą wytwórnię rowerów. Ze sportem zawodniczym już skończyłem, z rowerem się jednak nie rozstaję. A najważniejsze to, że... mam już następcę...

42 lata temu już zwyciężali

Chlubne karty szermierki polskiej



Szermierka polska ma za sobą bardzo starą tradycję. Nie będziemy tu oczywiście sięgać do legendarnego i „wysłużonego" Wołodyjowskiego, ale już w roku 1891 założony został we Lwowie polski klub szermierczy, którego członkowie mogą się pochlubić dość znacznymi sukcesami, a jeden z nich, K. Moszyński, zdobył nawet w roku 1896 pierwsze miejsce i złoty medal na turnieju „Monarchii Austro-węgierskiej".

Ale to są czasy przedhistoryczne.

Prawdziwa historia rozpoczyna się z chwilą powstania Polskiego Związku Szermierczego, który zostaje założony we Lwowie w roku 1922. Z kilku organizacji założycielskich, czynnymi prawdziwie są tylko: LKS, AZS Kraków i WKS Warszawa oraz Poznań.

Ilość zawodników w Polsce w tym okresie nie da się określić, liczyć ich można w każdym razie najwyżej na nieliczne dziesiątki.

Rok 1914 jest rokiem pierwszego występu za granicą. Szermierze jadą na Olimpiadę. Nie trudno domyśleć się jak ten debiut wypadł. Polacy spotkali się z Holendrami, ulegając im 0:16, potem przegrywają ze Stanami Zjednoczonymi 4:12 i odpadają od dalszej konkurencji.

Wśród nazwisk pierwszych „konkwistadorów" figurują z czynnych jeszcze dziś zawodników Papee i Zabielski.

W latach poprzedzających następną Olimpiadę spotykają się Polacy co roku w meczach międzypaństwowych z silną wówczas (czwarte miejsce w Paryżu) Czechosłowacją. Pierwsze spotkanie kończy się porażką we wszystkich trzech broniach, w następnych Polacy uzyskują rezultaty coraz lepsze, aż w roku olimpijskim odnoszą efektowne zwycięstwo we florecie i szabli. Już w pierwszym z tych meczów, z czynnych dziś jeszcze zawodników, uczestniczą obok wymienionych już Papeego i Zabielskiego — Friedrich i Segda.

Potem przychodzi epokowy Amsterdam, o którym wspomnienie, pióra jednego z uczestników Olimpiady, znajdą czytelnicy obok. Amsterdam ugruntował naszą potęgę w szabli, a jednocześnie szermierka zaczęła zdobywać coraz więcej adeptów w kraju.

Od Amsterdamu należymy w szabli do pierwszych nacji świata, walcząc o utrzymanie miejsca tuż za niedoścignionymi Węgrami i Italią, z naszym zachodnim sąsiadem — Niemcami, z którymi utrzymujemy najczęstszy kontakt. Indywidualnie mają szermierze polscy (zarówno szpadziści, jak i szabliści) również niejeden sukces „na sumieniu" i nie ma bodaj takiego członka naszej drużyny reprezentacyjnej, któryby nie rozłożył przynajmniej raz jeden któregoś z wielkich mistrzów międzynarodowych.

W ostatnich czasach dochodzi coraz bardziej do głosu szpada polska, która ma przed sobą wielką przyszłość. Przoduje tu okręg, pięknie się rozwijający, śląski, którego akces do szermierki datuje się od roku 1929, a który i w innych zresztą broniach dostarcza najliczniejszego i najlepiej bodaj wyszkolonego narybku i w szablowej drużynie reprezentacyjnej ma obecnie aż trzech stałych przedstawicieli.

Po okresie hegemonii Lwowa i Krakowa, a następnie Warszawy obecnie zdaje się nadchodzić „czas" Śląska, choć i w stolicy daje się zauważyć coraz większe zainteresowanie szermierką, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej.

Osobny rozdział stanowi szermierka pań. Floret pań obesłany na pierwszej Olimpiadzie przez jedyną podówczas zawodniczkę polską, Wandę Dubieńską, przycichł aż do roku 1929, po czym szermierka wśród pań odrodziła się w Warszawie, za której przykładem poszedł Śląsk, Lwów i Łódź i dziś poziom naszej pierwszej klasy jest nawet wysoki. Ilość zawodniczek nie przekracza jednak pięć dziesięciu.

Mała popularność szermierki (nawet zorganizowane w r. 1934 w Warszawie mistrzostwa Europy nie zdołały wzbudzić większego zainteresowania) bardzo hamuje prace Związku. Brak funduszów nie pozwala na częstsze organizowanie spotkań międzypaństwowych i obsadzanie turniejów zagranicznych zwłaszcza przez młodzież, która by mogła w ten sposób nabrać rutyny międzynarodowej. A potrzeba znalezienia zastępców dla „starych" staje się coraz pilniejsza.

Sport polskich rekordzistów świata



Sport łuczniczy rozwijający się coraz bardziej w Niepodległej Polsce współczesnej, posiada za sobą wielowiekową historię „rycerskiego sportu" dawnej Polski.

Inicjatorami i założycielami pierwszych klubów łuczniczych w 1926 roku byli u nas kapitan Mieczysław Fularski i porucznik Apoloniusz Zarychta.

Polski Związek Łuczników, w roku XX-lecia Niepodległości Rzeczypospolitej, może poszczycić się niepoślednimi rezultatami. W ciągu okresu 1926—1938 r. obejmował teren całej Polski. Obecnie liczy 12-cie Okręgów, wyszkolił około 240 instruktorów, 160 sędziów łuczniczych, 48 łuczników wyborowych, 200 z Odznakami Łuczniczymi I klasy, 2.400 z O. Ł. II klasy.

W 1931 roku z inicjatywy Polski powstała Międzynarodowa Federacja Łucznicza (F. I. T. A.), która obecnie zrzesza związki łuczników. Mandaty Prezesa FITA i Sekretarza Generalnego FITA od założenia Międzynarodowego Związku dzierżą Polacy, a siedziba federacji jest Warszawa.

Polski Związek Łuczników brał udział we wszystkich dorocznych Kongresach FITA i w kolejnych ośmiu Międzynarodowych Łuczniczych Mistrzostwach Świata.

Zwycięstwa uzyskiwane przez mistrzowskie Polki z Mistrzynią Janiną Kurkowską-Spychajową na czele, jak i wyborowi nasi łucznicy z Mistrzem Feliksem Majewskim rozsławiły w Europie i w Ameryce polskie łucznictwo.

Mistrzowskie zespoły Polek, w różnych składach zawodniczek, od 1936 roku zdobywały kolejno: w Pradze Czeskiej „Mistrzostwo", w Paryżu „Wicemistrzostwo", w roku bieżącym w Londynie „Mistrzostwo Świata" we wszystkich 10-ciu konkurencjach programu międzynarodowego.

Również w konkurencjach męskich Polska zdobywała szereg sukcesów. Na tabeli mistrzów świata czytamy nazwiska Sawickiego z Radomia, Łotockiego z Warszawy, Majewskiego z Bydgoszczy, tytuły wicemistrzowskiego zespołu świata zdobyli Polacy w latach 1936, 1937, 1938.

Jasnym jest, wobec powyższego, że szereg rekordów świata należy do Polek i Polaków oraz do zespołów reprezentacyjnych Polski.

Praca we wszystkich Okręgach P. Z. Łucz. stale postępuje naprzód. Dążeniem Polskiego Związku Łuczników w roku 1938-ym i dalszych jest realizowanie hasła: „Idziemy do szkół! Idziemy z miast wojewódzkich z łucznictwem na prowincję, na wieś — tam szukamy wśród szerokich mas nowych mistrzowskich łuczników Polski".

J. L.

Polski Związek Szermierczy

Założony we Lwowie w maju 1921 r., gdzie mieści się do 1924 r. W roku tym przeniesiony został do Krakowa. Od grudnia roku 1928 mieści się w Warszawie. Adres: Warszawa, al. Szucha 29.

Prezesi: Emil Vambera (1922—24), prof. dr Walery Goetel (1925), Adam Papée (1926—29), gen. Kazimierz Fabrycy (1930—35), gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1938), gen. Stanisław Kozicki (1938).

38 klubów. 273 członków.

Polski Związek Łuczników

Założony w 1927 r w Warszawie. Adres: Warszawa, Myśliwiecka 3.

Prezesi: dyr. Władysław Giżycki (1927 — 29), dr Bronisław Pierzchała (1930 — 31 i 1934 — 35), mjr dypl. Mieczysław Fularski (1932 — 33), inż. Edward Korb (1936) i Juliusz Leśniewski (1937 — 38)

12 okręgów. 360 klubów. 8068 członków.

Jerzy Zabielski

Kawalerski humor i rozbrykana energia

Tajemnica pierwszego triumfu szablistów

Zasadniczo wspomnień nie lubię. Zwłaszcza tych sprzed lat 10 i wyżej. Propozycja skreślenia zbyt odległych reminiscencyj, nasuwa mi smętną boyowską refleksją

„Czy to nie znaczy przypadkiem,
że czas mi już zostać dziadkiem"

oczywiście — sportowym. Ponieważ jednak Szanowna Redakcja „Przeglądu" działała tu w dobrej wierze, t. zn. w chęci umieszczenia relacji naocznego świadka, a nie dlatego, że jestem siwawy — zatem...

...Narodziliśmy się dla świata w Amsterdamie roku 1928. Nie w Paryżu, bo na igrzyskach w r. 1924 umieliśmy zaledwie tyle, aby po przesławnym laniu w szabli drużynowej 16:0 z Holandią i 12:4 z U. S. A. zorientować się, że byliśmy bici pewnie, mocno i niezupełnie wiadomo dlaczego. Wykształceni wówczas na starej szkole włoskiej i to z drugiej ręki — interesowaliśmy się raczej przewagami Włochów i każdego, kto był im stylem pokrewny. Poza tym imponowali nam techniką i rutyną ciężcy zdobywcy III miejsca — Holendrzy i bojowi, ale bezstylowi Czesi. Sukcesy Węgrów były dla nas tajemnicą, jako że obca nam wtedy była jeszcze wyższość taktyki nad mechaniczną, błyskotliwą techniką i szybkością. Opuściliśmy Paryż niewiele zauważywszy, sami przez nikogo nie zauważeni.

Przez 3 następne lata chcieli nas znać tylko Czesi — jak sądzę — raczej dla stałych i łatwych corocznych sukcesów w meczach z nami, niż z sentymentu.

Dla innych nacyj — nie istnieliśmy. Jedyna próba w r. 1927 z Rumunią we Lwowie zakończyła się kompletnym niepowodzeniem. Nic też dziwnego, że w przeddzień Olimpiady 1928 pewien zasłużony propagator pływania dowodził P. K. I. Ol., że szermierze — to właściwie „szkoda pieniędzy" i że ekspensem tym korzystniej będzie uczcić jeszcze paru pływaków. Kto pamięta, jak pływano wówczas w Polsce, ten pojmie gorycz naszą z racji tak niskiego otaksowania na giełdzie sportowej.

Do dzisiaj nie wiem, jakich argumentów użył Papée dla przekonania P. K. I. Ol. o naszych ukrytych jeszcze wówczas talentach, ale... pojechaliśmy.

Trzymiesięczny trening z Szombathelym, pierwszy i, jak dotąd, ostatni solidnie przez władze zwierzchnie potraktowany obóz przedolimpijski, ładne zwycięstwo na szable w meczu z Czechami, — oto czynniki, na których oparliśmy ciche nadzieje nieokreślonego bliżej sukcesu. Nadzieje te nie sięgały bodajże półfinału.

Byliśmy w świetnym nastroju. Niepowodzenie w losowaniu i wstawienie nas w charakterze outsidera do jednej grupy z Anglią i U. S. A. bynajmniej nie zachwiało naszego optymizmu. Drużyna była dobrze zcementowana. stanowiła zespół zgrany i jednolity.

Eliminacja. Gładkie przejechanie się po ciężkawych Anglikach... Dramatyczny mecz z U. S. A. i ten jeden decydujący tusz Papée'go w ostatniej walce z Huffmanem... I to sędziowanie p. Telizzi'ego — od siedmiu boleści. I jak na to sędziowanie płk. Berty, Węgier, rozdzierał w oburzeniu szaty... Wszystko pamiętam i widzę jeszcze przez różowe okulary entuzjazmu. Jeżeli było kogo żal — to chyba tej młodziutkiej florecistki amerykańskiej z perkatym noskiem, co w nieutulonym żalu po klęsce rodaków łkała na rozłożystej piersi jakiegoś Yankesa.

W półfinale byliśmy już zarozumiali. Pamiętam minę Szombathely'ego, kiedy powiedziałem, że mecz z Holendrami możemy wygrać szybkością i prosiłem, aby wstawił do drużyny nie mnie, lecz szybszego o wiele ode mnie „Lesia" Małeckiego. „Pan naprawdę myśli, że wygracie?" — mówił miły p. Bèla grzecznie, a oczami dodawał: „Czy pan przypadkiem na głowę nie tego..."

Nie miał racji. Nie znał nas jeszcze. Otworzyły mu się oczy, kiedy Papée „karał" świetnego intencjonała de Jonga i w pełnej humoru walce poobijał boki i wielkiemu Daneelsowi i maleńkiemu sędziemu Guomo równocześnie. O lepsze szedł z nim Małecki, który struwał po prostu na głowy Holendrów, a w ostatniej walce, choć raniony w głowę przy stanie 3:0, na swoją korzyść, obandażowany wraca na planszę i kończy walkę 5:0! I rzecz niebywała: Holandia, żelazny właściciel III miejsca w świecie poddaje się outsiderowi — Polsce przy stanie 9:3 na naszą korzyść. W tym dopiero momencie świat szermierczy przyjął nas do wiadomości.

A wieczorem Leś Małecki z głową w hinduski turban obandażowaną tańczył w dancingu piękny i blady, a oczy co romantyczniejszych Holenderek wodziły za nim niby za jakimś „Tygrysem z Esznapuru".

Sukces dnia następnego, cuda i cudeńka, jakie wyprawiali z Niemcami Friedrich i Małecki, wreszcie III miejsce wśród elity elit szermierczych — to już tylko konsekwencja nastroju drużyny po wynikach dnia pierwszego.

Wiele potem widziałem jeszcze sukcesów naszej drużyny, ale ten triumf zostanie mi na zawsze w pamięci, jako zwycięstwo kawalerskiego humoru i czarująco rozbrykanej, młodzieńczej energii.

Polski Związek Żeglarski

Założony w Tczewie w maju 1924 r. z siedzibą w Warszawie Adres: Warszawa, Nowogrodzka 4.

Prezes: Ludwik Szwykowski (1924 — 25), Antoni Aleksandrowicz (1927 — 32), gen. Mariusz Zaruski (1933 — 35), kom. Czesław Petelenz (1936 — 37), płk. dypl. Władysław Kiliński (1938)

19 klubów.

Chlubne daty sportu polskiego

1918

Przy Min. WR i OP powstaje referat, a później wydział higieny szkolnej i w.f. pod kier. dr Wł. Osmólskiego.

1919

W PAŹDZIERNIKU organizuje się w Krakowie Polski Związek Lekkoatletyczny i równocześnie Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich.

1920

Przygotowania do pierwszego udziału w Igrzyskach Olimpijskich. Odwołanie ekspedycji do Antwerpii z powodu najazdu bolszewickiego.

1921

18.X. (BUDAPESZT). Pierwszy międzypaństwowy mecz sportu polskiego, Węgry — Polska 1:0 w piłce nożnej.

15, 16.X. (WARSZAWA). Pierwsze wielkie międzynarodowe zawody zorganizowane w kraju, z udziałem 33 lekkoatletów 4 państw obcych.

1922

19—21.II (ZAKOPANE). Pierwsze międzynarodowe zawody narciarskie z udziałem 25 gości zagranicznych.

19.II (WARSZAWA). Założenie Związku Polskich Związków Sportowych.

3—6.VIII. (PRAGA). Pierwsza wyprawa lekkoatletów za granicę, na trójmecz słowiański. 1) Czechosłowacja 139 pkt., 2) Jugosławia 222 pkt., 3) Polska 251 pkt.

28.V. (SZTOKHOLM). Pierwszy międzypaństwowy mecz piłkarski, wygrany na obczyźnie, Polska — Szwecja 2:1.

1923

7—8.IV. (WARSZAWA). Pierwszy Polski Kongres Sportowy.

MAJ (NICEA). Pierwsza wyprawa zagraniczna jeźdźców.

1924

LUTY (CHAMONIX). Pierwszy start Polski na Olimpiadzie zimowej.

LIPIEC (KRAKÓW). Pierwsze międzynarodowe zawody pływackie z udziałem Węgrów i Czechów.

SIERPIEŃ (PARYŻ). Pierwszy start Polski na Olimpiadzie i pierwsze medale olimpijskie.

1925

STYCZEŃ. Pierwsza wyprawa zagraniczna hokeistów (AZS Warszawa).

MAJ (WARSZAWA). Pierwszy międzypaństwowy mecz tenisowy Anglia — Polska 5:0 (o puchar Davisa).

21.VI. WARSZAWA. Pierwszy polski rekord świata w lekkiej atletyce. Konopacka, dysk, 33 m. 40,5 cm.

5.VII. WARSZAWA. Drużyna kolarzy (Lange, Podgórski, Szymczyk, Oksiutycz) bije rekord świata w biegu 4 klm na torze. Czas 5:09.

MAJ. PAWIA. Akademickie regaty. Zwycięstwo 4-ki AZS Warsz.

1926

11.VII (WARSZAWA). Pierwszy wygrany mecz międzypaństwowy w lekkiej atletyce, Polska — Jugosławia 97:42.

8.VIII. (POZNAŃ). Najwyższe cyfrowe zwycięstwo piłkarzy (maksimum strzelonych bramek) w meczu międzypaństwowym, Polska — Finlandia 7:1.

LISTOPAD. N. JORK. Pierwsza wyprawa jeźdźców do Ameryki (rtm. Królikiewicz, mjr. Toczek, por. Szosland) i zdobycie Pucharu Narodów.

STYCZEŃ, N. MESTO. Mückenbrun zdobywa mistrzostwo narciarskie Czechosłowacji w kombinacji.

1927

STYCZEŃ. Powstanie PUWF i PW oraz Rady Naukowej WF.

28—29.V. WARSZAWA. Zwycięstwo lekkoatletów w pierwszym trójmeczu bałtyckim Polska 142 p., Łotwa 96 p., Estonia 95 p.

3.IX, WARSZAWA. Dwa rekordy świata Konopackiej: dysk 39,18 i oburącz 64,60.

1928

22.IV, KRAKÓW. Pierwszy wygrany międzypaństwowy mecz szermierczy Polska — Czechosłowacja 2:1.

15.VII, POZNAŃ. Pierwszy mecz reprezentacyjny bokserów, zwycięstwo nad Austrią 10:6.

SIERPIEŃ, AMSTERDAM. Pierwsze złote medale olimpijskie (Konopacka i Wierzyński).

WRZESIEŃ. Pierwszy Wyścig Kolarski dookoła Polski, organizowany przez Przegląd Sportowy. Rewelacyjne zwycięstwo Więcka.

1929

LUTY, BUDAPESZT. Hokeiści zdobywają wicemistrzostwo Europy.

LUTY, ZAKOPANE. Mistrzostwa F.I.S. Zwycięstwo Br. Czecha (zjazd) i Polankowej (bieg).

MAJ, RZYM. Por. Starnawski zdobywa puchar kawalerii włoskiej.

LIPIEC, WARSZAWA. Szamota i Podgórski biją mistrza Olimpiady —Beaufranda.

SIERPIEŃ, BYDGOSZCZ. Mistrzostwa wioślarskie Europy.

WRZESIEŃ, WARSZAWA. Petkiewicz bije Nurmiego na 3 klm.

WRZESIEŃ, WARSZAWA. Otwarcie CIWF.

1930

MARZEC, AMERYKA. Pierwszy rekord świata Walasiewiczówny, 220 y. — 26,8 s.

MAJ, CZECHOSŁOWACJA. Liefeld drugi w mistrzostwach górskich Europy (auto) na trasie Zbrasław — Jiloviszte.

CZERWIEC, BUDAPESZT. Dwa pierwsze wicemistrzostwa Europy w boksie zdobywają Forlański i Majchrzycki.

CZERWIEC. Piłkarze zdobywają amatorski puchar Europy po turnieju dwuletnim 4 państw: Czechosł., Austria, Węgry i Polska.

12.VII, STRASSBURG. Koszykarki zdobywają wicemistrzostwo Europy.

15.VIII, LEODIUM. Pierwsze polskie mistrzostwo Europy w wioślarstwie zdobywają Mikołajczyk i Budziński (dwójka bez.).

SIERPIEŃ, PRAGA. Lekkoatletki wicemistrzyniami Europy.

19.IX, WARSZAWA. Otwarcie stadionu Wojska Polskiego.

11.XI, GANDAWA. Bocheński bije rekord Polski na 100 m — 1:00,4.

1931

LUTY, KRYNICA. Mistrzostwa hokejowe świata. Polska zdobywa wicemistrzostwo Europy.

LIPIEC, LONDYN. Wioślarki zwyciężają w 4-ce i jedynce (Grabicka).

SIERPIEŃ, LWÓW. Mistrzostwa strzeleckie i łucznicze świata. Wspaniałe sukcesy Polaków.

20.IX, WARSZAWA. Maks Stolarow o jedną piłkę od zwycięstwa nad Cochetem (7:9, 7:5, 6:4, 1:6, 5:7).

8.XI, POZNAŃ. Pierwsze zwycięstwo bokserów nad Niemcami 10:6.

1932

10.I. WARSZAWA. Pierwszy rekord świata Nehringowej. 500 m — 59 sek.

STYCZEŃ, N. Jork. Ran nokautuje Namarę, Townsenda i Goldmana.

MARZEC, ZAKOPANE. Marusarz skacze 72 mtr. na Krokwi.

8.V, ŁÓDŹ. Pierwszy rekord świata Wajsówny, dysk, 39.76.

MAJ, BERLIN. Jędrzejowska bije Jacobs 6:2, 4:6, 6:4.

19.VI. ANTWERPIA. Rekord świata Kusocińskiego 3 km 8:18,8.

26.VI, WARSZAWA. Pławczyk bije rekord Europy, skacząc 196 cm.

LIPIEC. Rekordy świata: Heljasza — 16,05 kula i Kusocińskiego 19:02.6 6 mil.

SIERPIEŃ, LOS ANGELES. Dwa złote medale na Olimpiadzie. Kusociński 10 km i Walasiewiczówna 100 m.

1933

MARZEC, SZCZYRBSKIE JEZIORO. Kalbarczyk zdobywa mistrzostwo Tatr w jeździe szybkiej.

MAJ, PARYŻ. Hebda bije Mc. Gratha 8:6, 6:2, 7:9, 7:5.

9.VII, LONDYN. Heljasz mistrzem Anglii w kuli.

27.VIII. BUDAPESZT. Verey mistrzem Europy na skifie.

GRUDZIEŃ. Piłkarze Krakowa biją w Brukseli Diables Rouges 7:5 i w Hadze — Zvaluven 4:3.

1934

KWIECIEŃ, BUDAPESZT. Majchrzycki i Antczak wicemistrzami Europy w boksie.

SIERPIEŃ, WARSZAWA. Mistrzostwa Emigracji.

26.VIII. HELSINKI. Kusociński bije koalicję biegaczy fińskich na 3 km.

WRZESIEŃ, PITSBURG. Jarosz zdobywa mistrzostwo świata w. średniej, bijąc Dundee.

PAŹDZIERNIK, JAPONIA. Zwycięskie tournée Walasiewiczówny. Rekord świata na 200 m — 23,8 sek.

1935

LUTY, KRYNICA. Saneczkowe mistrz. Europy. Drugie miejsce na jedynkach zajmuje Polak Enker.

17.III, PLANICA. Marusarz wygrywa konkurs skoków.

24.VII, SZTOKHOLM. Kucharski zwycięża Ventzkego i Ny na 800 i 1000 m.

SIERPIEŃ, WARSZAWA. Sznajder skacze 410 cm.

SIERPIEŃ, GRÜNAU. Dwa wioślarskie mistrzostwa Europy zdobywają: Verey i Verey z Ustupskim.

15.XII. WARSZAWA. Szermierze biją Niemców $1\frac{1}{2}$: $\frac{1}{2}$.

1936

22.III, LONDYN. Ehrlich zdobywa tytuł wicemistrza świata (tenis stołowy).

MAJ, GENEWA. Poznań wygrywa turniej koszykówki 12 miast.

30.V. WARSZAWA. Lokajski rzuca oszczepem 73.27 m.

LIPIEC, LONDYN. Noji zdobywa mistrz. Anglii w biegu 6 mil.

29.VII, BERLIN Kiszkurno mistrzem świata w strzelaniu do rzutków.

SIERPIEŃ, BERLIN. Udział w Olimpiadzie, sukcesy piłkarzy.

1937

LUTY, LONDYN. Zwycięstwa hokeistów na mistrzostwach świata. Węgry 4:0, Francja 7:1, Szwecja 3:0.

21.III, PARYŻ. Piłkarze zdobywają opinię Francji bijąc Ligę Paryża 5:1.

2.V, BERLIN. Fiałka wygrywa bieg przez miasto, 25 km.

MAJ, MEDIOLAN. Bokserzy zdobywają mistrzostwo drużynowe Europy i dwa tytuły indywidualne: Polus i Chmielewski.

MAJ, POZNAŃ. Sobieraj zwycięża kajakowców Rzeszy na 1 i 10 km.

CZERWIEC, WARSZAWA. Kongres M. K. Olimp.

SIERPIEŃ, LONDYN. Kucharski mistrzem Anglii na 880 y.

21.VIII, WARSZAWA. Gąsowski wygrywa 400 m 48,3 na meczu z Niemcami, bijąc rekord Polski.

CZERWIEC, WIMBLEDON. Jędrzejowska w finale turnieju o mistrz świata.

SIERPIEŃ, FOREST HILLS. Jędrzejowska wicemistrzynią Ameryki i 3-cią rakietą na liście światowej Myersa.

10.X. WARSZAWA. Polska — Jugosławia 4:0 o mistrz. piłkarskie świata.

PAŹDZIERNIK, PARYŻ. Piłkarze biją Bologne 5:1 w finale turnieju.

1938

16.I. WARSZAWA. Bokserzy zwyciężają Włochów 11:5.

LUTY, LAHTI. Marusarz wicemistrzem F. I. S. w skokach.

18.V, CHICAGO. Kolczyński w repr. Europy nokautuje O'Malleya.

22.V, WARSZAWA. Irlandia pokonana 6:0 przez piłkarzy.

CZERWIEC, WARSZAWA. Jeźdźcy zdobywają Puchar Narodów.

12.VI, CLEVELAND. Walasiewiczówna bije rekord świata, skacząc 605 cm.

18, 19.VI, WARSZAWA. Zwycięstwo lekkoatletów nad Francją 119:91.

3.VIII, LONDYN. Noji mistrzem Anglii w biegu na 3 mile.

7.VIII, WOXHOLM. Sobieraj wicemistrzem Europy na jedynce.

8, 9.VIII, OSLO. Zwycięstwo lekkoatletów nad Norwegią.

SIERPIEŃ, ZLIN. Tenisiści zdobywają puchar Europy środkowej, po remisie z Czechami 3:3.

WRZESIEŃ, PARYŻ. Gierutto wicemistrzem Europy w 10-boju.

WRZESIEŃ, WIEDEŃ. Lekkoatletki po raz czwarty zajmują 2-gie miejsce w mistrz. Europy za Niemkami.

WRZESIEŃ, LUHACOVICE. Strzelcy zdobywają mistrzostwo drużynowe Europy w rzutkach

Z rynku motocyklowego

Jedną z największych firm motocyklowych, zorganizowaną na sposób europejski, jest firma Zorel w Warszawie przy ul. Królewskiej 23. Firma ta jest jedną z nielicznych w kraju, które upodobniły się w swojej pracy do tego rodzaju firm w Anglii — ojczyźnie motocykli.

W historii rozwoju motoryzacji w Polsce Zorel ma zapisaną piękną kartę, firma ta bowiem jest jednym z niewielu przedsiębiorstw tej branży, które specjalną uwagę poświęcają obsłudze klienta, z. zw. „After sale service", co w naszych warunkach jest szczególnie ważne, a niestety, tak mało przez ogół firm stosowane.

Firma Zorel reprezentuje w Polsce prawie wszystkie wytwórnie angielskie, kilka firm francuskich oraz fabrykę Puch. Jest ona również największym odbiorcą motocykli Sokół wyrobu Państwowych Zakładów Inżynierii, których sprzedaż rozpoczęła pierwsza w Polsce. Salon wystawowy zaopatrzony stale w kilkaset motocykli, największy w Polsce skład części zamiennych, wreszcie własne nowocześnie urządzone warsztaty reperacyjne, zapewniają klientom firmy Zorel należytą obsługę zarówno techniczną jak i handlową.

Wielki rozwój firmy, przejawiający się szczególnie w ostatnich dwóch latach, pozwala sądzić, że metody stosowane przez firmę Zorel są najwłaściwsze.

Dwa wielkie triumfy

lotnictwa polskiego

Polskie lotnictwo sportowe zamyka w okresie ostatniego 20-lecia piękną swoją kartę. Nie pozostaliśmy w tyle w wyścigu narodów. Przeciwnie — często wyprzedzaliśmy innych. To jedno wielkie osiągnięcie.

Drugim jest — droga do uprawiania sportu lotniczego, która dziś dla wszystkich stoi otworem. Wkraczający na nią nie szamocze się już z piętrzącymi się trudnościami; zastaje ją wyznaczoną i uporządkowaną, przychodzi do gotowych urządzeń.

Gdy u schyłku XIX wieku człowiek zwyciężył oporny mu przedtem żywioł — powietrze, wówczas w szeregach pierwszych jego zwycięzców nie brakło imion polskich.

Kto pierwszy zapoczątkował lotnicze popisy akrobatyczne i zginął w 1910 r. na lotnisku petersburskim? Polak — Mackiewicz.

Kto pierwszy dokonał już w r. 1913 najdłuższego przelotu z Sewastopola aż do północnej części Rosji, do Nowgorodu? Polak — Dybowski.

Gdy stanęliśmy ponownie w szeregu wolnych narodów, świat się znowu przekonał, że żywioł powietrzny nie jest nam obcy.

•

Rekordy!... Rekordy!... Były i one. Lot dystansowy kpt. Orlińskiego do Tokio na ułamanych w połowie drogi, skrzydłach. Samotny lot mjr. Skarżyńskiego na malutkiej, słabo-silnikowej maszynie sportowej nad Południowym Atlantykiem. I cały szereg innych.

Ale były przede wszystkim największe triumfy, jakie wyczyn sportowy dać może. Tysiączne tłumy rozentuzjazmowane do białej gorączki. Największe sławy lotnictwa sportowego świata, z uznaniem i podziwem schylające czoła przed polskim lotnikiem.

Berlin 1932 r. — Żwirko i Wigura.

Warszawa 1934 r. — mjr. Bajan.

W obu tych challange'ach, tych lotniczych olimpiadach triumfowały w najtrudniejszej konkurencji barwy polskie.

Czy ciężko było wywalczyć zwycięstwo? Pamiętacie triumfalną „świecę" kpt. Bajana, kiedy kończył nad lotniskiem mokotowskim ostatnią próbę Challange'u — wyścigu okrężnego jako ostateczny zwycięzca.

Przeszło tydzień trwały niesłychanie wyczerpujące próby techniczne. Nerwy pilota napięte już do kresu wytrzymałości. Punktacja: prowadzi Polska — kpt. Bajan. Ale droga do ostatecznego triumfu jeszcze daleka. Parę tysięcy kilometrów lotu okrężnego. Najgroźniejsza ekipa niemiecka za wszelką cenę postanawia odrobić w tym locie stracone punkty.

Dla nas lot okrężny zaczyna się pechowo. Drugi z Polaków w punktacji po próbach technicznych — pilot Karpiński odpada. Jedyna szansa — to Bajan. Mały kapitan o tym wie. Ramiona uginają się pod ciężarem odpowiedzialności. Nie dać się nerwom. Regularność, utrzymać za wszelką cenę regularność lotu... na przeszło 2.000 km, rozporządzając słabo-silnikową maszyną sportową.

Pod biało-czerwoną R. W. D-ą uciekają kilometry ziemi. Smaga ją deszcz, biją w nią wiatry. Zgrabna maszynka przysiada krótko na lotniskach, zabiera zapas paliwa i podrywa się dalej. Jeden etap, drugi, piąty. Na szóstym nerwy pilota wyczerpane do ostateczności, odmawiają posłuszeństwa.

Mjr. Bajan uśmiecha się.

— Czułem, — mówi mi — że nie mogę usiąść do maszyny. Byłem zupełnie wyczerpany. Fizycznie, nerwowo i psychicznie. Ciągle jeszcze byłem pierwszy, ale zespół niemiecki coraz bardziej całą ławą następował mi na pięty. Nie mogłem lecieć. Nie mogłem uchwycić drążka sterowego. Nie mogłem po prostu spojrzeć na samolot. W uszach mi huczało. Wiedziałem, że nie mogę wystartować, bo przy pierwszej okazji, albo nawet bez żadnej przyczyny, roztrzaskam maszynę, sierż. Pokrzywkę i siebie.

Najgorsze etapy były jeszcze przede mną. Pireneje. Afryka. Odmówiłem startu.

Widziałem desperację mego otoczenia i kierownictwa polskiego zespołu. Jak ci ludzie mnie irytowali. Nie mogłem ani się przespać, ani jeść. Nic — i przede wszystkim już więcej nie lecieć.

— A, jednak — panie majorze...

— To tak jakoś bywa. Przemogłem się. Nic to, że mi ciągle coś wykrzykiwali do ucha, skakali do oczu. Potem już zrezygnowali. Przemogłem się — i wystartowałem dalej — i to było moje największe zwycięstwo...

(Gost.)

Automobilklub Polski

Założony w 1909 r. Adres: Warszawa, al. Szucha 10.

Prezesi: Zdzisław ks. Lubomirski, Karol hr. Raczyński, Stanisław Grodzki, min. Julian Piasecki.

12 klubów afiliowanych.

Polski Związek Motocyklowy

Założony w Poznaniu w maju 1924. Mieści się w Warszawie z wyjątkiem 1929 r. (Katowice). Adres: Warszawa, Al Szucha 29.

Prezesi: ppłk inż. Kazimierz Meyer (1926 — 1927), ś. p. gen. Bronisław Sikorski (1928), dr Tadeusz Saloni (1929), gen. Stanisław Rouppert (1930 — 36) gen. Stanisław Burhardt - Bukacki (1936 — 38).

49 klubów. 2453 członków.

Dynasy kolebką motocyklizmu

Coraz śmielsze plany P. Z. Mot.

Poniższe wspomnienie, przedstawiające w ogólnych zarysach dzieje sportu motocyklowego w Polsce jest bodajże pierwszą próbą tego rodzaju. Wobec braku jakichkolwiek pisanych danych, wiadomości do poniższego czerpaliśmy z własnych już zacierających się wspomnień, oraz wspomnień kilku działaczy motocyklowych, którzy z widoczną satysfakcją odświeżali w swej pamięci pierwsze wzloty i upadki drogiego im sportu.

W lokalu Polskiego Związku Motocyklowego zebrała się brać motocyklowa z mjr. Kuleszą i kpt. Krupińskim na czele. Wspomnienia sypały się, jak z rogu obfitości — celował w nich kpt. Krupiński jeden z tych pracowitych i cichych działaczy, którym motocyklizm zawdzięcza swój dzisiejszy rozwój.

Początków polskiego motocyklizmu sportowego szukać należy już w pierwszych latach po roku 1900-ym. Wówczas to trzydziestu motocyklistów Warszawy (tylu ich było) zorganizowało się w Klub Motocyklowy. Rozpoczęto się od wyścigów na Dynasach — torze, który stał się kolebką polskiego motocyklizmu i który spopularyzował motocykl, jako sprzęt sportowy.

Tutaj publiczność zetknęła się z pierwszymi „szakńcami", którzy emocjonowali ją warkotem swych motorów i szybką jazdą na wirażach. Powodzenie wyścigów nasunęło organizatorom myśl przerzucenia zawodów na tereny bardziej dalekie. Ogłoszono 300-wiorstowy wyścig trasą Warszawa—Kutno—Koło—Kalisz i z powrotem. Zawodnicy (zgłosiło się ich „aż" siedmiu) mieli walczyć o tytuł Najlepszego palacza na motocyklu na Królestwo Polskie.

Nawiasem mówiąc impreza ta nie odbyła się, bowiem, jak donosi ówczesna prasa: „kolej warszawsko - wiedeńska nie dostarczyła na czas benzyny na posterunki kontrolne". Patrząc na późniejsze imprezy szosowe pod kątem widzenia dnia dzisiejszego — nie można powstrzymać się od uśmiechu pobłażania. Ale ileż wycierpieć się musieli ci pierwsi męczennicy motocyklizmu, dosiadający niewygodnych, psujących się maszyn, wówczas jeszcze o napędzie pasowym. Należy mieć szacunek dla tych pierwszych „palaczy", którzy potrafili na ówczesnych „wyścigówkach" wykręcać na torze dynasowskim średnie, których nie powstydziliby się motocykliści torowi, startujący na Dynasach u schyłku jego istnienia.

Te pierwsze próby przerwała motocyklistom wojna. Po niej przez pewien czas słyszało się warkot motorów wyłącznie na Dynasach, tu zrodziły się wielkie sławy motorowe z niezapomnianym i niepokonanym Cholińskim, Rudawskim, Rychterem i Kurnatowskim na czele. Ich walki doprowadzały do białej gorączki publiczność dynasowską.

Idea sportu motocyklowego zaczyna przenikać z powodzeniem na prowincję. Grudziądz organizuje pierwsze autentyczne wyścigi sportowe, okręg zainteresowań motocyklizmem powiększa się. Rozpoczyna swą działalność Warszawski Klub P.K.M., który stworzył w naszym motocyklizmie pewną erę.

W roku 1926 powstaje wreszcie Polski Związek Motocyklowy.

W okresie gospodarczej prosperity ilość motocykli wzrasta, a zatym wzrasta i liczebność klubów oraz ilość imprez. Z toru motocykliści przerzucają się na szosę. Asy rajdowe rodzą się jak na kamieniu — wszyscy znają już Jana Dąbrowskiego, Rogozińskiego, Heringa, mistrza Tomaszewskiego, Raichmana, zaczyna się wybijać Docha, błyska sławą dzisiejszy mistrz Jakubowski.

Przychodzi złoty okres polskiego motocyklizmu — rok 1931. Któż go z motocyklistów nie pamięta? W okresie, gdy automobilizm przeżywa poważny kryzys motocykliści „szaleją" po całej Polsce. Emocjonują wówczas polski świat motocyklowy wielkie imprezy: Grand Prix Polski w Katowicach, Raid dookoła Polski, zapoczątkowany wówczas raid Szlakiem Marszałka. W motocyklizmie zarysował się pewien pęd do bluffu. Kluby organizują imprez coraz więcej, ale też coraz mierniejszych wartości. Okres ten trwa bardzo długo — jest swego rodzaju okresem „królowania plakiety".

Przyszedł następnie okres królowania wyścigu. Tereny Strugi i Wisły, wyścigi uliczne, stały się z kolei wyrocznią wartościowania zawodnika. Na czoło licznej plejady gwiazd wybijają się: doskonały Alwensleben, Szweitzer, Łapin, Jakubowski, Bezet, Bracia Geyer, Frankowski Szreiber, Teichun, Docha, Breslauer, Weyl, Radzicki i inni. Na liście tej widzimy przedstawicieli całej Polski.

Nie zaniechano wówczas organizowania i raidów. Motocykliści zaczęli szanować w imprezach trudności. Szukano dróg, którymi można by było te trudności jeszcze bardziej spotęgować. Raid Szlakiem Marszałka został rozszerzony i swym zasięgiem objął poza Wilnem i Kraków. Motocykliści wjechali poza tym na trudne trasy górskie. Zainteresowano się Górami Świętokrzyskimi, zorganizowano wreszcie szalenie trudną imprezę zimową na trasie Zakopane — Morskie Oko — Zakopane.

W motocyklizmie odczuwa się powrót do dawnej świetności. Kompletny powrót do prosperity nastąpił jednak w roku 1937-ym. Wówczas na horyzoncie polskiego motocyklizmu ukazała się postać płk. Wyrwińskiego. Ten mąż opatrznościowy motocyklizmu skierował pracę w odpowiednich kierunkach i spowodował, że sportem motocyklowym zaczęło się interesować również i wojsko. Zainteresowanie to dało motocyklizmowi świeży zastrzyk temperamentu i pracy. Ilość klubów wzrosła, ilość imprez się podwoiła, imprezy nabrały większych wartości. Rozpoczął się okres renesansu, w którym motocyklizm polski znajduje się obecnie. Szukanie dróg rozwojowych skończyło się, nastąpił czas realizacji powziętych planów.

Dziś naczelna magistratura polskiego sportu motocyklowego P.Z.M. znajduje się dopiero w połowie obranej drogi — ma do zwalczenia jeszcze tysiące przeciwności, do zrealizowania wiele zamierzeń.

Obecny okres wzrostu zainteresowania motoryzacją daje bardzo wiele możliwości — nie należy ich tylko przeoczyć. (e.m.s.).



30 lat sławy Polaków na ringach amerykańskich

Kiedy przed kilku miesiącami młody bokser kalifornijski Al Hostak znokautował już w połowie pierwszej rundy mistrza świata wagi średniej Freddie Steele — znawcy oświadczyli: „Nad zaletami, nad wartością Hostaka jako pięściarza nie trzeba się długo rozwodzić, wystarczy powiedzieć, że pod wieloma względami przypomina on bardzo—nieśmiertelnego, legendarnego Polaka Stanley Ketchella".

Jeszcze parę lat temu fotografię Ketchell'a oglądało się w U.S.A. na paczkach papierosów, a gdy w swoim czasie w prasie amerykańskiej rozgorzała namiętna dyskusja na temat szans Schmelinga, Carnery i Baera do czempionatu, będącego wówczas w posiadaniu Jacka Sharkey'a, znany sędzia i menażer bokserski William Roche pogodził wszystkich, mówiąc: „Nie ma nad czym dyskutować, bo pretendenci do tytułu są tej samej klasy. Mój Boże, gdyby żył Stanley Ketchell! On załatwiłby się ze Schmelingiem, Carnerą i Baerem w ciągu tej samej nocy!".

Syn emigrantów polskich Stanisław Kiecal, fenomenalny mistrz świata wagi średniej w latach 1907—1910 otrzymał w historii boksu specjalny rozdział, w którym notowało się i notuje dotychczas wyczyny ringowe Polaków.

•

Pięściarstwo u nas stało się sportem zorganizowanym dopiero w r. 1923, ale już kilka lat wcześniej, wielkie ringi amerykańskie znały wartość polskich bokserów i były świadkami ich głośnych sukcesów.

W r. 1921 Jan Leski (Johnny Buff) zdobywa tytuł mistrza U.S.A. w wadze muszej, a wkrótce potem powtarza wyczyn Ketchella po raz drugi w dziejach zabierając czempionat światowy w ręce polskie.

W tym samym czasie Jakub Bartfield, który jako kilkunastoletni chłopiec wyemigrował z Małopolski, rozsławia swe imię szeregiem niezwykłych występów. Mając zaledwie wagę lekką, „Soldier" Bartfield startuje jednocześnie w czterech kategoriach od lekkiej do półciężkiej i uznany jest za fenomena wytrzymałości. Kariera jego trwa od r. 1912 do 1925 i w tym czasie Bartfield spotyka się po kilka razy w meczach „no decision" z mistrzami świata Leonardem, Ted Kid Lewisem, Harry Grebem, Briftonem i Mickey Walkerem, żadnemu z nich nie dając się znokautować.

Również w r. 1921 zaczyna swoją karierę doskonały pięściarz wagi półciężkiej Leon Łomski (Leo Lomsky), który podtrzymuje godnie prestiż polskich zawodników, zwyciężając m. in. takich asów, jak Maxie Rosenbloom, Mike Mc. Tique, Tiger Flowers i Jim Braddock — niedawny czempion wszechwag.

Kiedy za oceanem bokserzy nasi zdobywają sobie wielki rozgłos i tworzą coraz liczniejsze kadry, w Paryżu, wśród zawodników z całej Europy, wypływa polski dziennikarz Wiktor Junosza - Dąbrowski, równie świetnie władający pięścią, jak piórem. Rozgrywa on w stolicy Francji kilka meczów, odnosząc szybkie zwycięstwa przez k. o. nad Francuzami Lucotte i Forgeon (późniejszy mistrz Francji w wadze półciężkiej), Belgiem Wenden, Szwajcarem Woumatr i innymi. Kariera pięściarza zawodowego stoi przed nim otworem, rezygnuje z niej jednak, wracając do Warszawy, aby objąć redakcję „Stadionu". W Warszawie rozgrywa jeszcze dwa pamiętne mecze z murzynem Kid Harrisem i na tym kończy z boksem, zdążywszy przygotować do przyszłych sukcesów ringowych swego ucznia, Edwarda Rana.

Przeznaczeniem Rana jest połączenie naszego boksu rodzimego z wielkimi tradycjami pięściarzy emigracyjnych w Stanach Zjednoczonych. Pojawia się on na ringach amerykańskich w r. 1930, akurat w sam czas, aby przejąć sławę po Leskim, Bartfieldzie i Łomskim. Jego wspaniałe zwycięstwa nad ex-mistrzem świata Louis „Kid" Kaplanem, Czechem Nekolnym i Billy Townsendem stawiają go na 5-tym miejscu w świecie w kategorii półśredniej.

Jednocześnie z Ranem walczy Stanisław Poreda, świetny bokser wagi ciężkiej, który w okresie swej najlepszej formy w latach 1931—32 odnosi walne zwycięstwa nad Primo Carnerą, Ernie Schaaffem i b. mistrzem wagi półciężkiej Tommy Loughranem, nazywanym „królem strategii ringowej".

W r. 1933 zaczyna blednąć gwiazda Rana, a w rok później gaśnie też gwiazda Poredy. Ale są już następcy. W tym czasie zdecydowanie zaczyna się wybijać na czoło zawodników kategorii średniej Tadeusz Jarosz. Chłopak ten po raz pierwszy przegrywa w karierze dopiero 56 walkę, zyskując powszechne uznanie dla swej doskonałej techniki. Po wygranych z pięściarzami tej klasy co Paul Pirrone, Paulie Walker i Pete Latzo w walce z Vince Dundee zdobywa Jarosz tytuł mistrza Stanów Zjednoczonych, co jest prawie równoznaczne z czempionatem światowym, gdyż oficjalnego mistrza w tej klasie Francuza Marcel Thila, część Ameryki nie uznaje. Ketchell doczekał się więc spadkobiercy. Jarosz zatrzymuje tytuł przez rok, po czym zostaje zdetronizowany przez innego pięściarza polskiego — Henryka Risco Pyłkowskiego.

Pyłkowski jest mistrzem również przez rok i traci tytuł w walce z Freddie Steele. Teraz o ten tytuł chce pokusić się Chmielewski. Na razie coprawda nic go do tak wysokiej gry nie upoważnia, gdyż trudno nadawać poważniejsze znaczenie pierwszym startom i pierwszym zwycięstwom zawodowym naszego popularnego pięściarza. Ale w przyszłości — kto to wie... Inwazja po najwyższe zaszczyty w boksie światowym zapoczątkowana już tak dawno przez polskich chłopców trwa ciągle i drogę jej upamiętniło tyle niezwykłych wyczynów.

W r. 1934, kiedy Jarosz dzierżył czempionat wagi średniej, jednym z najpoważniejszych pretendentów do tytułu światowego w kategorii lekkiej był Polak Harry Dubliński. Pokonał on w tym roku wielu czołowych zawodników amerykańskich z ex-mistrzem Tony Canzoneri na czele i w zwycięskim pochodzie zatrzymał go dopiero Lou Ambers, późniejszy czempion w tej wadze.

Wymieniliśmy tu nazwiska najpierwsze, opromienione w swoim czasie wspaniałą aureolą ringowej sławy. Faktów mniej ważnych, ale też dowodzących niezbicie wielkiego talentu Polaków do boksu — znaleźć możemy w ostatnim dwudziestoleciu setki, a w historii światowego pięściarza w ogóle — nawet tysiące. Wykryć je można przy rozmaitej sposobności. Jeśli prasa pisze, że słynny Joe Louis w swojej niezwykłej karierze nie zdołał znokautować tylko kilku przeciwników, to musicie wiedzieć, że jednym z tych kilku był Polak Adolf Wiater! Jeśli piszą, że Joe Louis jako zawodowiec tylko raz, został pokonany, to trzeba pamiętać, że jego pogromcą był Max Schmeling.

Za czasów amatorskich „Brown Bomber" przegrał trzy razy, a w tym i z Polakiem — Maksymilianem Markiem.

Osobny rozdział, który w historii boksu światowego otworzył kiedyś Stanisław Kiecal — wypełnia się stale zapiskami o pięknych i wielkich wyczynach polskich chłopców.

Al. Reksza.

Dumne tytuły zdobią czoła lekkoatletów

Królowa sportów bije rekordy postępu



Wśród kolegów redakcyjnych, którzy w pocie przyrządzali na dzisiaj bilans za lat 20 w swoich umiłowanych specjalnościach — zaiałem jedna z najbardziej uprzywilejowanych pozycji. Historia polskiej lekkiej atletyki? — Proszę bardzo! Nie trzeba uciekać się do zawiłej argumentacji, aby wykazać, że przez te krótkie lat 20 poczyniliśmy postępy naprawdę imponujące, znacząc ślad swojej pracy rekordami świata, mistrzostwami olimpijskimi i zwycięstwami w meczach międzypaństwowych.

Nie chcemy wpadać w przesadę. Nie chcemy opierać się na porównaniu dzisiejszych rekordów Polski z wynikami sprzed lat 20-tu. Przez ten czas cały świat poczynił postępy ogromne. W tym bezustannym wyścigu minęliśmy jednak wielką ilość konkurentów i zdobyliśmy stanowisko, które powoli łechtać zaczyna nasze ambicje.

Weźmy dla przykładu dwa momenty krańcowe: pierwszy i ostatni mecz międzypaństwowy. Po czterech latach istnienia naszego związku, lekkoatleci po raz pierwszy wystąpili na zewnątrz w trójmeczu słowiańskim (Praga 1922). Zostaliśmy rozbici w puch i proch. Byliśmy bici w kompromitujących czasach i o kompromitujące odległości. Lekkoatleta polski był bezsilny wobec jakże miernych przeciwników. Zacinał zęby, walczył z krańcową ambicją. Spełnił swoją niewdzięczną, pionierską rolę, tak, jak umiał najlepiej. Fakt jest jednak faktem, że ta rola nie wypadła błyskotliwie.

Cóż za przepaść między tym mizernym zespołem i potężną drużyną, która w ostatnim roku potrafiła w Oslo po morderczej walce pokonać Norwegów! Tamci szli do walki „z gołymi rękami", drżąc z obawy przed kompromitacją, nie śmiejąc nawet wierzyć w powodzenie. Dzisiejsza drużyna ma pełne zaufanie we własna wartość, wchodzi na boisko nie tylko po to, aby walczyć, ale — aby zwyciężać.

Dominującą rolę w podniesieniu się poziomu polskiej lekkiej - atletyki odegrała rywalizacja paru czołowych klubów na terenie Warszawy (A.Z.S., Polonia), Lwowa (Pogoń) i Poznania (Warta, AZS) o pierwszeństwo drużynowe. Ostatnio inicjatywa klubowa znacznie osłabła, lecz w między czasie zabrał głos Związek, kierując przede wszystkim kontraktami zagranicznymi.

Dzisiejsza lekka atletyka polska, choć jeszcze bardzo daleka od doskonałości, ma już wysoką „klasę" i wyrównany poziom. W obecnej chwili nie mamy, co prawda, zawodników (poza Walasiewiczówną), którzyby odgrywali taką rolę w lekkiej atletyce światowej, jak dawniej Kusociński, Heliasz czy Kucharski. Nie da się jednak zaprzeczyć, że właśnie wyniki i zwycięstwa tych ludzi doprowadziły całą armię następców do dzisiejszego poziomu, zdobyły naszej lekkiej atletyce popularność wewnątrz kraju i uznanie zagranicy.

Obecna silna pozycja jest naturalnym następstwem niedawnych, ale bogatych tradycji i ze spokojem oczekiwać możemy na pojawienie się nowych rekordzistów, którzy przysporzą sławy sportowi polskiemu.

Pionierska praca lat kilkunastu sprawiła bowiem to, że wyprzedziliśmy w zaciętym wyścigu wiele narodów, wczoraj jeszcze groźnych na boisku, dziś — zbyt słabych jako rywale dla Polski. Wygrywaliśmy z Estonią, Łotwą, Jugosławią, Czecho-Słowacją, Rumunią, Belgią, a nawet z Francją i Norwegią. Teraz dążymy do zwycięstw nad Węgrami i Włochami, aby jak najszybciej stanąć w rzędzie największych potęg Europy. (Tr.).

Polski Związek Lekkoatletyczny

Założony w Krakowie w październiku 1919 r. z siedzibą we Lwowie. Do Warszawy przeniesiony w 1922 r. Adres: Warszawa, Wiejska 13.

Prezesi: inż. Tadeusz Kuchar (1919-21), Bronisław Kowalewski (1922 — 24), płk dr Stanisław Rouppert (1925), kpt. Jerzy Mieliński (1926 — 29), inż. Wacław Znajdowski (1930 — 38).

11 okręgów. 237 klubów. 18.311 członków.

Jadwiga Wajsówna

Mój najukochańszy rekord

— Wspomnienie o rekordzie?... Którym?... Było ich wiele, rozpiętość duża, od pabianickiego 39.78 mtr. do berlińskiego 46.22! Proszę wybierać... Wspomnienia wszystkich rekordów są mi drogie, gdyż głoszą sławę światową Polski. Najdroższe jednak wspomnienia mam z pierwszego, gdyż dał mi wiarę w siły i możliwości, zdopingował do dalszej pracy nad sobą.

Wynik 39.78 jest moim najdroższym dzieckiem... Trenowałem pod okiem p. Marciniaka w Sokole, gdzie się wychowałam. Na treningach rzucałam regularnie w granicach 40-tu metrów, wielokrotnie ponad czterdzieści. Na tabeli rekordów światowych figurował wówczas wynik Haliny Konopackiej — 39.62, ustalony na igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie.

Trener p. Marciniak zgłosił moją oficjalną próbę bicia rekordu. Na boisko Sokoła przybył prezes ŁOZLA p. Szumlewski w towarzystwie kompletu sędziów. Zebrała się garstka widzów, składająca się z krewnych, kolegów i koleżanek. Był, oczywiście, i przedstawiciel redakcji „Przeglądu Sportowego".

Wszystko do próby było przygotowane. Dysk zważony na aptekarskiej wadze, taśmy stalowe dokładnie sprawdzone, promień starannie wytknięty. Byłam roztrzęsiona nerwowo... Przede mną chorągiewka znacząca rekord Konopackiej. Nie pamiętam już, którym rzutem ustaliłam nowy rekord, o 16 cm lepszy od poprzedniego. Zaczęłam wtedy marzyć o zdobyciu medalu olimpijskiego.

W tym samym roku poprawiłam jeszcze wyniki na 40,34, a następnie na 40.39 i wreszcie na 42.43. Pojechałam do Los Angeles. Wspomnienia niezapomniane, ale i bolesne, miałam przecież przywieźć złoty medal, wróciłam z brązowym. Czy zrobiłam zawód? Byłam przytłoczona ciężarem odpowiedzialności i nadziei, jakie na mnie nałożono. Copeland i Ditrikson miały lepsze rzuty. Przejęłam się tym bardzo i wracałam do domu z poczuciem jakiejś winy.

Dla chwały Polski najlepszy był z pewnością późniejszy wynik berliński, dla mnie jednak najdroższe wspomnienia łączą się ciągle z pierwszym rekordem 39.78 mtr. Już chociażby dla tego tak drogie, że padł on w rodzinnym mieście i na boisku, na którym wyrosłam na reprezentantkę Polski...

Dobry Polak – niezwykły sportowiec

Walasiewiczówna, mistrzyni szybkości i charakteru

W 1930 roku, na Svetovych Hrach w Pradze, Walasiewiczówna zagarnęła wszystkie tytuły w sprincie; w sezonie bieżącym, po ośmiu latach, dokazała tej samej sztuki.

Spadają kartki z kalendarza, zmieniają się zawodniczki, ustępują działacze, a Walasiewiczówna trwa niewzruszenie. Na tle chimerycznych, rozkapryszonych lekkoatletek jej postać tchnie równowagą i spokojem. Jest jak pomnik. Trwały, nieugięty, samotny.

Długowieczność kariery zdumiewająca, stałość formy fenomenalna. Nikt nie dotrzymał jej kroku. Jest bezkonkurencyjna, jedyna, nie ma rywalek. Po kryteria porównawcze dla niej trzeba sięgać do lekkiej atletyki męskiej, ekshumować sławę Nurmiego...

Ile panna Stella nagromadziła mistrzostw, ile zmagazynowała rekordów?

Weźmy ołówek do ręki.

Igrzyska kobiece w Pradze 1930 — pierwsze miejsca na 60, 100 i 200 mtr.

Olimpiada w Los Angeles 1932 — pierwsze miejsce na 100 mtr.

Igrzyska kobiece w Londynie 1934— pierwsze miejsce na 60 mtr., drugie na 100 i 200.

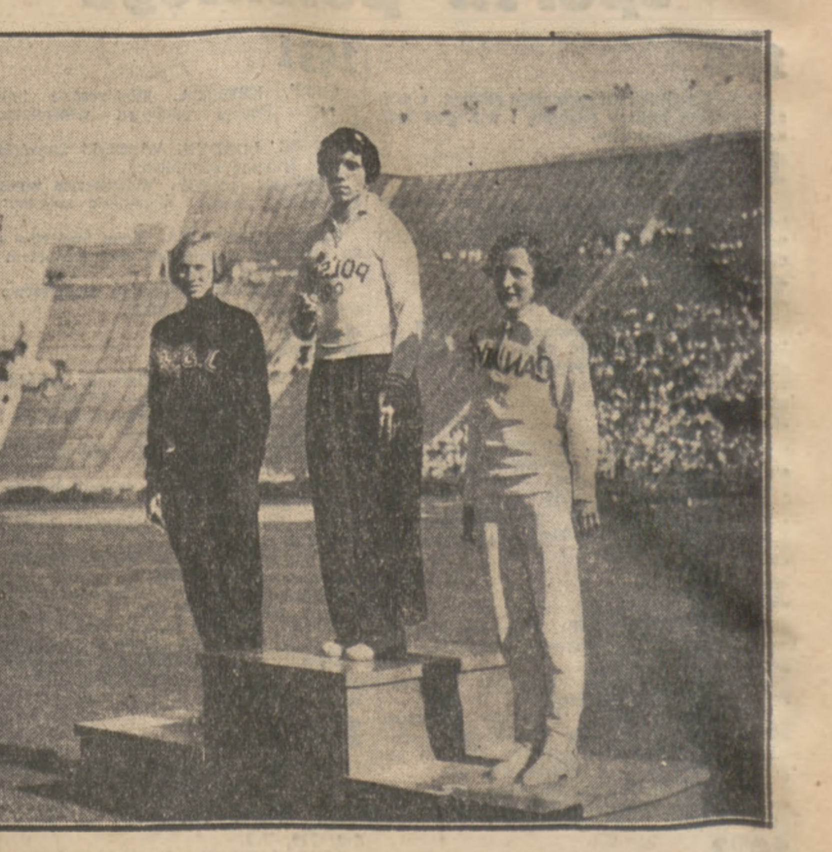
Olimpiada w Berlinie 1936 — srebrny medal za 100 mtr.

Igrzyska kobiece w Wiedniu 1938— pierwsze miejsca na 100 i 200 mtr., drugie w skoku w dal, dominująca rola w sztafecie.

Proszę dorzucić do tego pół kopy mistrzostw Polski, kilkadziesiąt rekordów krajowych, 60 rekordów światowych (wraz z dystansami yardowymi), nie pominąć zwycięstw na wszystkich stadionach Europy, Ameryki i Azji, a potem przeliczyć tę świetną kolumnę sukcesów, by u spodu otrzymać rezultat sportowy i propagandowy jednego, bardzo poczciwego żywota.

Dla oceny charakteru otwieramy osobną rubrykę.

Walasiewiczówna objawiła się nam w 1929 roku, podczas zawodów z okazji poznańskiej Pewuki. Ale Amerykanie odkryli ją znacznie wcześniej. W 1928 roku nieznane dziewczę z Cleveland wygrywa eliminacje sprinterskie i dostaje się do drużyny olimpijskiej.



W OCZEKIWANIU NA ZŁOTY MEDAL
stoi Walasiewiczówna na podium w Los Angeles

„President Harding" stoi pod parą, kiedy Komitet Olimpijski stwierdza u młodej zawodniczki brak amerykańskiego paszportu. Trzeba wysiadać, trzeba oddać wzorzystą koszulkę olimpijczyka...

To wszystko dzieje się nagle, w ostatniej chwili. Nagle przychodzi nominacja i nagle spada odwołanie. Walasiewiczówna nie ma się czasu zastanowić, dlaczego dotknięto ją klątwą, dlaczego nie pozwolono jej startować. Zresztą jest „za dziecko", żeby zrozumieć przepisy o przynależności i o naturalizacji.

Ale przed Olimpiadą w Los Angeles Walasiewiczówna ma czas do namysłu. Jest Amerykanką z wychowania, z wykształcenia, z otoczenia, z usposobienia. Jest również Polką; powiedzieli jej o tym rodzice.

W umyśle panny Stelli walczą dwa prądy. Jak sobie ułożyć życie, jaką wybrać drogę?... Rozmawia, pyta się, odwiedza konsulat polski i urząd miejski. Waha się.

Na kilka tygodni przed Olimpiadą „Cleveland Press" wychodzi z olbrzymim tytułem:

— Stella startuje dla Polski!

Kiedy „Pułaski" z ekspedycją olimpijską dobija do nowojorskiego pieru, panna Stella jest zamknięta w sobie, ale spokojna i zdecydowana.

Wygrywa przedbieg i półfinał. Nie dostaje ani jednego oklasku. Ameryka jest obrażona, Ameryka nie chce jej znać.

W finale wychodzi z dołków spóźniona. Jeszcze na 60 metrze jest z tyłu. Ale potem przychodzi finisz, słynny finisz Walasiewiczówny. Vandervelt, Bremen, Hiscock, zostają z tyłu. Strike walczy. Ale ostatnim skokiem... Walasiewiczówna jest pierwsza!

Stadion kipi. Trybuna bije oklaski, jak szalona. — Jak sportowcy. Jak — Amerykance...

Na wiosnę 1932 roku umarła Stella Walsh, narodziła się — Walasiewiczówna. Jej dom jest dziś centrum polszczyzny na cały Cleveland, jej wyniki zdobią wychodztwo, jej praca służy dobrze naszemu sportowi.

Dobry Polak, niezwykły sportowiec!

(Erd)



K. Kucharski

W Turynie nie umiałem jeszcze biegać

Mój pierwszy start na mistrzostwach Europy w Turynie?

Pamiętam doskonale pięć lat temu. Rok wkroczenia na drogę pierwszych, najradośniejszych sukcesów, pokonanie najtrudniejszych przeszkód życiowych, a było ich przecież tak wiele! Start turyński ważył się przez długi czas. Byłem przecież zawodnikiem młodym, nierutynowanym, z prowincjonalnego Białegostoku. Dokoła mojej osoby toczyła się cała kampania. Wysłać, czy nie wysłać

Zwyciężył wreszcie argument najsilniejszy: nowy rekord Polski ustanowiony przeze mnie w Sztokholmie, na 3 tygodnie przed mistrzostwami Europy.

Znalazłem się wreszcie w składzie szczupłej, pięcioosobowej ekspedycji turyńskiej. Sam wyjazd do Włoch poprzedziły skromne w niczym nieodpowiadające tegorocznym przygotowaniom paryskim — treningi.

Podróż do Włoch minęła bez specjalnych wrażeń i przygód. Wreszcie otwarcie zawodów i upragniony start, dzień pierwszego egzaminu na niecodzienną skalę. W przedbiegu na 800 m. stanęło nas czterech, dwóch kwalifikowało się do finału. Byłem zdenerwowany, ale wierzyłem w swe siły. Zakwalifikowałem się do finału za Niemcem Deseckerem.

Nazajutrz spotkała mnie wcale niemiła przygoda. Okazało się, że kolce w pantoflach były nieodpowiednie na twarde, włoskie bieżnie. Efekt taki, że poodparzałem sobie stopy. W atmosferze ciągłego zdenerwowania oczekiwałem nowych kolców. Dostarczono mi je na czas.

Stanąłem więc w finale mistrzostw Europy, w konkurencji tak silnej i doborowej — jak nigdy dotychczas. Ośmiu najlepszych średnio-dystansowców. Po starcie szliśmy zwartą masą. Pamiętałem tylko, by się nie dać „zablokować". Potem wysunąłem się na czoło, prowadziłem przez pierwszych 200 m. Trwało to niedługo. Pierwszy zaatakował mnie Szabo, potem Lanzi, i Ny. Znalazłem się na jednym z ostatnich miejsc. Zrozumiałem, że nie mam zupełnie rutyny międzynarodowej... Ukończyłem przecież bieg zupełnie bez zmęczenia, a jednak bijąc rekord Polski, w czasie 1:53,4.

Radość moja nie miała granic. Wiedziałem, że uzyskałem więcej, niż się po mnie spodziewano.

Start turyński stał się zaczątkiem moich międzynarodowych sukcesów.



KUCHARSKI WALCZY NA OLIMPIADZIE
Bieg 800 mtr. prowadzi Edwards, zasłaniając potężną sylwetkę Woodruffa. Polak widoczny jest za murzynem.

Janusz Kusociński

U posła Rzeczypospolitej

odpoczywałem po rekordzie świata

Mam napisać kilka słów o moim pierwszym rekordzie światowym, uzyskanym na zawodach Beerschotu w Antwerpii w 1932 roku. Prawdę powiedziawszy to dziś nie wiem co mam wspominać...

Że byłem szczęśliwy i zadowolony — to jest jasne i zupełnie zrozumiałe. Że duma i radość rozsadzały mi piersi po uzyskaniu tego rekordowego wyniku — to zupełnie naturalne zjawisko.

Wszystkie tego rodzaju przeżycia, jak radość, duma, szczęście czy zadowolenie — składają się na pozostawienie w nas tego wszystkiego co nas spotkało, co przeżyliśmy. Te przeżycia są tak trwale związane z naszą istotą, choć o nich zupełnie nie myślimy, że pozostaną w nas na całe życie.

Mój pierwszy rekord światowy!

Zapowiedziałem próbę przed zawodami, ale nie wierzono w możliwość powodzenia jej, gdyż na starcie zabrakło wielkich rywali. Kończyłem przecież bieg o przeszło 200 m. przed Anglikiem Followsem.

A jednak, udało się!

Gazety rozpisały się we wszystkich językach o nowym wielkim sukcesie, uzyskanym przez lekkoatletę - Polaka.

Najznakomitsi dziennikarze na kuli ziemskiej wysilali się, aby możliwie najbarwniej ująć w treści to niezwykłe i niecodzienne wydarzenie dnia.

A ile domyślników i projektów na przyszłość zaczęli wysnuwać znawcy lekkiej atletyki. I to wszystko narobił jeden bieg.

Jeden większy wysiłek człowieka spowodował zupełną zmianę u miarodajnych czynników sportowych.

Popularność moja urosła do rozmiarów niebywałych!

Ja do tej sławy i popularności nigdy nie mogłem się przyzwyczaić...

Fotografie, recenzje, wywiady czy pochwały to rzeczy, które mocno utrwalają wysiłki sportowe zawodnika, ale zarazem bardzo go męczą... Na zakończenie, piękny podarunek, czy zegarek złoty dany „na pamiątkę" dopełniają całości.

Tymczasem największą przyjemnością dla samego zawodnika po takim wielkim wysiłku jest możność wypoczęcia, gdzieś zdala od świata i ludzi w zupełnym spokoju.

Właśnie ten rodzaj nagrody spotkał mnie w Antwerpii. Pan Minister Jackowski, zapraszając mnie na parodniowy pobyt, bezwiednie zapewne zrobił mi większą przyjemność — niż te wszystkie głośne „fety", związane z pobiciem jednego rekordu światowego.

Proszę mi wierzyć, że dla sportowca bardzo często właśnie takie zaproszenie, gdzie może wypocząć, więcej znaczy niż rozgłos i reklama we wszystkich gazetach świata.



PO REKORDZIE ŚWIATA W ANTWERPII
Kusociński pozuje do zdjęcia na tle trybuny

St. Petkiewicz

O zwycięstwie nad Nurmim dowiedziałem się od sędziów

Niewątpliwie zwycięstwo nad Nurmim było największym sukcesem w mojej karierze sportowej. Nurmiego otaczał nimb niepokonalności. Triumfator 3 kolejnych Igrzysk Olimpijskich i wielokrotny rekordzista świata, do czasu startu w Warszawie w roku 1929 miał zaledwie 2 przegrane biegi! Po raz pierwszy przegrał w roku 1926 w Berlinie na 1.500 m. Pokonali go wówczas Niemiec Peltzer i Szwed Vide. Obaj pobiegli poniżej oficjalnego rekordu świata na tym dystansie, który należał do Nurmiego. Drugą porażkę Nurmi odniósł na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie w roku 1928. Tam przegrał bieg 5 klm. ze swym rodakiem Ritolą.

W owych czasach, gdy lekkoatletyka polska stawiała swoje pierwsze kroki na terenie międzynarodowym, sam start Nurmiego w Warszawie był już wydarzeniem sensacyjnym. Jakże mógłby ktokolwiek w takich warunkach przypuszczać, że Nurmi natknie się w Warszawie na godnego siebie przeciwnika. Nurmi był też pewien swego zwycięstwa.

Kilka tysięcy widzów, którzy przybyli w owe wrześniowe popołudnie, do parku Paderewskiego, na boisko AZS., przybyli nie poto, by oglądać jakiś ciekawy pojedynek, lecz aby zobaczyć fenomena bieżni całego świata.

Czyż mogłem mieć w tych warunkach jakieś szanse na zwycięstwo? Żadnych

Nurmi biegł tylko aby wygrać. Nie forsował tempa, bo uważał, że na nieznanego rywala wystarczy w zupełności finisz, który go nigdy dotąd nie zawodził.

Bieg był wolny. Zresztą pogoda nie sprzyjała szybkiemu tempu. Padał drobny deszcz i wiał silny wiatr. Nurmi nie chciał prowadzić. Kilkakrotnie po stronie wietrznej schodził na drugi tor, chcąc wypuścić mnie do przodu. Nie miałem żadnej chęci, ani potrzeby pójścia mu na rękę.

Mój cel był jasny: utrzymać się najdłużej za biegaczem, który był niedoścignionym wzorem dla wszystkich biegaczy świata. Gdy przyszło ostatnie okrążenie i byłem ciągle tuż za nim — uważałem, że swoje zamierzania już zrealizowałem.

Jednak na ostatnim okrążeniu Nurmi bynajmniej nie okazał się tak groźnym jakby przypuszczać można było. Jego próbę ucieczki wytrzymałem doskonale. A gdy zostało jeszcze 200 mtr. do końca biegu, postanowiłem go zaatakować.

Cały ostatni wiraż biegłem po drugim torze — pierś w pierś przy nim. Nic nie widziałem, ani nic nie słyszałem. Czułem obok siebie tylko szybki oddech biegacza, którego chciałem prześcignąć. Gdy wybiegliśmy na prostą widziałem już tylko białą taśmę przed sobą.

Oprzytomniałem, gdy sędziowie powiedzieli, że wygrałem bieg z Nurmim...

Sport o fantastycznej karierze

W 10 lat pięściarze zdobyli wszystkie zaszczyty



Oto sport, który pobił rekord. Gdy w roku 1921 piłkarze grali już z Węgrami, gdy w roku 1922 lekkoatleci debiutowali w meczu międzypaństwowym, w Polsce nie wiedziano jeszcze jak wyglądają rękawice bokserskie... Jedyny Polak, który umiał walczyć, Wiktor Junosza, mieszkał w Paryżu.

Wegetowaliśmy jeszcze długie lata. Pozbawieni wzorów boksu zawodowego, bez nauczycieli, instruktorów, marząc i wczytując się w Dempseyów i Carpentierów, „kuliśmy" na małych salkach proste, sierpy i uniki w fatalnym wydaniu. Demonstrowali je nam wyranżerowani zawodowcy, zjeżdżający z zagranicy do Warszawy na występy, cyrkowe raczej — niż sportowe.

I nagle wybuchło... Nie wiadomo dokładnie kiedy. Czy gdy po raz pierwszy dostaliśmy baty na Olimpiadzie, czy gdy po raz pierwszy zestawiliśmy pełną ósemkę reprezentacyjną.

Ale gdy raz wybuchło — płomień ogarnął od razu całą Polskę. Zapłonął najjaśniej w Poznaniu, potem pożoga przerzuciła się na Warszawę, Łódź, Śląsk. Języki ognia sięgają dziś Lwowa, Krakowa, Pomorza, Wilna, Białegostoku...

Ile lat minęło? Może dziesięć...

I oto zdobyliśmy już niemal wszystkie zaszczyty. Jesteśmy mistrzami Europy, pokonaliśmy wszystkie państwa, z którymi się zetknęliśmy. Brak nam tylko mistrza Olimpiady.

Mamy własną szkołę, własne metody nauczania, najlepszego trenera własnego chowu, własny styl i własne walory. Mamy za sobą masy i popularność. Talenty rodzą się jak grzyby po deszczu. Debiutanci na własnym podwórku, po roku są chlubami Europy!

Polski Związek Bokserski

Założony w grudniu 1923 r. w Warszawie, gdzie mieści się do grudnia 1925 r. Przeniesiony do Poznania, mieści się tam do listopada 1928 r. W Katowicach posiada siedzibę do kwietnia 1931 r. Od tego czasu siedzibą znów jest Poznań. Adres: Poznań, Mielżyńskiego 21.

Prezesi: mec. Stanisław Samborski (1924), Roman Niewiadomski (1925), kpt. Jan Baran (1926 — 28), dr Tadeusz Saloni (1929—30), dyr. Franciszek Baranowski (1931 — 33), mec. Marian Linke (1934), dyr. Jan Kuczyk (1935 — 37), mjr. dr Władysław Mirzyński (1938).

11 okręgów, 132 kluby, 6179 członków.

Tak, mamy talent urodzonych pięściarzy. Nie zdusiły go rządy, zapatrzone na własne podwórko, zmieniające się z roku na rok — najbardziej bodaj niestałe w historii całego polskiego sportu.

Jesteśmy potęgą, bo nie jest ważne, że możemy dziś przegrać mecz, czy spotkanie, gdy zachoruje jakaś gwiazda, lub gdy porwą ją szpony zawodostwa. Ważne jest to, że możemy wygrać każde spotkanie, że możemy zdobyć każdy tytuł. Że wie o tym cała Europa.

Nie zdobyliśmy jeszcze potęgi finansowej. Na widowniach są komplety — to prawda — ale widownie są małe, dochody mierne. Nagrodą za wyniki, za klasę są co najwyżej posady, nie pieniądze. Pozostajemy wciąż niemal czystymi amatorami. Zawodostwo, tak panoszące się w boksie zagranicznym, nie zaraziło nas jeszcze.

Ileż ofiar sobie liczy spośród naszych gwiazd? Dwie: Górnego i Chmielewskiego. Czy najbliższe jutro przyniesie ich więcej? Bodaj nie, gdyż jak dotąd — kariera nielicznych zawodowców polskich nie jest zachęcająca.

Ale niebezpieczeństwo grozi z innej strony. Rośnie masa bokserów, powiększa się rodzina gwiazd. Będziemy niebawem mogli wystawić trzy, cztery równorzędne reprezentacje. Trzeba będzie dla nich trenerów, spotkań i pieniędzy. Tych pieniędzy, które pozostają dziś nieosiągalne w kieszeniach tłumów, tłoczących się przed zamkniętymi drzwiami hal łódzkich, poznańskich i warszawskich.

Narodzą się manażerowie i finansiści, powstaną wielkie areny. Zaczną zarabiać związki, kluby dopominać się o swój udział, zawodnicy, twórcy potęgi finansowej. A gdy powąchają z bliska zarobki Armstrongów, Louisów, czy Schmelingów — gdy poczują „krew"... nic ich nie powstrzyma!

Runie wówczas mur dzielący nas od

(dokończenie obok)



TROFEUM BOKSERÓW
puchar za mistrzostwo Europy

boksu zachodu, a z nim nasz bezprzykładny boks, najpierwszy boks amatorski Europy, który nie ma na swym terenie ani jednego wartościowego zawodowca.

Zapewne, lepiej byłoby zachować ten piękny, romantyczny, jedyny na świecie charakter. Ale skoro trudno będzie pozostać tą oazą czystości w świecie spekulacji i interesów, myślmy już dziś o tym, aby zetknięcie nasze z rzeczywistością zachodu pozwoliło nam zachować prawdziwie sportowy charakter.

Aby zawodowy boks polski, gdy już przyjdzie, był silny i uczciwy, oparty na masach prawdziwie amatorskich pięściarzy. (S. R.)



DRAMAT CHMIELEWSKIEGO W BERLINIE
Tiller eliminuje kontuzjowanego w rękę Polaka

Z piórkowej — do muszej

Gehenna wicemistrza Europy — Forlańskiego

W 1930 r. po raz pierwszy, Polak — Mieczysław Forlański, zdobył wicemistrzostwo Europy. Kulisy tego sukcesu są ciekawe i chyba jedyne w swoim rodzaju — nazwiemy je „gehenną" Forlańskiego. Opowiada nam o nich Feliks Stamm.

— Przed mistrzostwami odbywał się obóz w Poznaniu i prowadził go Włoch Garzena. Tak się jakoś złożyło, że Forlański, który w tym czasie przebywał w Bydgoszczy, nie mógł przebywać w obozie. Garzena nie znał go zupełnie.

PZB. życzył sobie, aby Forlański startował w wadze muszej, sam Forlański również wolał walczyć w tej kategorii. Cóż się jednak okazuje, Forlański przyjeżdża do Poznania, robimy próbną wagę, a nasz Mietek ma 58 kg! Przeszło siedem kilo do zrzucenia!

Prezes Baranowski oświadczył: „Forlański pojedzie do Budapesztu, jeśli będzie miał maksimum 53 kg., ale jeszcze przed tym musi startować w walce eliminacyjnej z Gossem"...

Przed tym meczem odbyłem z Forlańskim footing. Chyba żaden bokser w życiu nie miał takiego footingu! Ubrałem go w cztery grube swetry i cztery koszulki pożyczone od piłkarzy Warty. Do tego kompletu doszły jeszcze ciepłe kalesony. Po tym footingu Forlański zrzucił około 4 kilo. Ważę go, ma 53,200.

Stanął do walki z Gosem i... znokautował warszawianina!

Jedziemy do Budapesztu. Wysiadamy z pociągu, Forlański miał wtedy 52 kg. Kąpiele, parówki — wszystkie możliwe sposoby — jest już wieczór, a nasz chłopak waży jeszcze 51.500 kg.

Trener Garzena zwraca się wobec tego do prezesa PZB. z propozycją, aby Forlański startował w kogucicj.

„A co wy sobie myślicie! Jest was aż dwu trenerów i nie potraficie przyszykować wagi. Róbcie co chcecie, Forlański musi mieć limit kategorii muszej" — pada odpowiedź.

Dalsze biegania i masaże. Godz. 8 wieczór, Forlański waży 51.200 kg, a musi mieć 50,702 kg. Byłem zrozpaczony, już wszystkie środki wyczerpałem. Chwyciłem się ostatniego sposobu, kupiłem mydła i przyszykowałem czopki...

Pomogło. Forlański ważył rano 50,500 kg. Brawo! 200 gramów poniżej limitu! Nie wierzyłem jednak własnym oczom, myślałem, że mi się śni. Jeszcze dla pewności pięć razy zważyłem chłopaka. Za każdym razem waga pokazywała to samo. Ułożyłem Forlańskiego w swoim łóżku aby mu nikt nie przeszkadzał i trochę się przespał. Na oficjalnej wadze wszystko było w porządku.

Do wagi muszej zgłosiło się czterech, czy pięciu zawodników, tak, że Mietek walczy odrazu w półfinale i to dopiero w piątek. Wygrał z Włochem Trombettą.

W finale przegrał z Enekesem. Dlaczego? Ja to tłomaczę w ten sposób, że już w sobotę Forlański zaczął na nowo przybierać na wadze i do walki z Enekesem na pewno stanął w kategorii piórkowej. Był zbyt ociężały, trzymał się dobrze przez dwie rundy, ale już na przerwie, przed finiszem, skarżył mi się: „Panie Stamm, spuchłem". Istotnie, nie mógł się ruszać w trzeciej, tym bardziej, że to był maj i straszny upał.

Na tych samych mistrzostwach drugi Polak — Witold Majchrzycki zdobył również wicemistrzostwo. Majcher nie miał żadnych trudności z wagą i wszystkie jego walki potoczyły się normalnie. W piątek pobił Norwega Dehna, w finale spotkał Niemca Besselmana, który dzisiaj jest znanym zawodowcem i startuje w kategorii półciężkiej. Po dwu wyrównanych rundach Majchrzycki złapał w trzeciej silny cios i osunął się na ziemię, ale nie był liczony. Moim zdaniem, Majchrzycki walki nie przegrał a spotkanie było raczej remisowe. K. G.

Polski Związek Atletyczny

Założony w grudniu 1925 r. w Warszawie przez zjednoczenie Polskiego Towarzystwa Atletycznego i Górnośląskiego Związku Ciężkiej Atletyki w Katowicach. Mieści się do 1929 r. w Warszawie, a od tego roku w Katowicach.

Prezesi: dr Mieczysław Orłowicz (1926—29), dr Adam Kocur (1929—38).

29 klubów. 1.325 członków.

Największy sukces zapaśnictwa

IV miejsce na Olimpiadzie przed 14 laty



Zapaśnictwo polskie, mimo wielkich tradycji zawodowej odłamu tej dyscypliny, jest ciągle jszcze najmniej popularnym i opóźnionym w poziomie działem sportu. Nie potrafiło ono wzbudzić zawodami większego zainteresowania i nie ujęło w swe ramy organizacyjne szerokich mas. W rodzinie międzynarodowej zapaśnicy polscy są „ubogimi krewnymi", z którymi na ringach Europy nikt się nie liczy.

●

Wacław Okulicz-Kozaryn pamiętnymi zgłoskami zapisał swój sukces na Olimpiadzie paryskiej do historii zapaśnictwa polskiego. Choć od owego czasu upłynęło już 14 lat, to jednak żaden z atletów polskich nie prześcignął go pod tym względem. Posłuchajmy więc tego starszego już dziś pana, co opowie o występie w Paryżu:

— Miałem już 40 lat, gdy po zdobyciu tytułu mistrza Polski w wadze średniej, wraz z Rękawkiem (w. lekka) wyjechałem na Olimpiadę. Byłem zdaje się tam najstarszym zawodnikiem. Mimo to czułem się bardzo młodo.

Waga średnia w Paryżu była najliczniej obesłana. Do zaszczytnego tytułu stanęło 28 rosłych, silnych chłopów. To mnie jednak nie zbiło z tropu.

W drodze do zdobycia czwartego miejsca potknąłem się o Finlandczyka i Jugosłowianina. Z obu tymi przeciwnikami przegrałem na punkty. Położyłem natomiast Hiszpana w 11 m. i Szwajcara w 6 m. na łopatki. Turek stchórzył i oddał mi punkty walkowerem. Mój towarzysz Rękawek zajął dopiero 19 miejsce.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to Igrzyska paryskie zakończyły się dla nas niezbyt pomyślnie i nastroje w obozie polskim w drodze powrotnej nie były nadzwyczajne. Honor sportu polskiego ratowała dzielna drużyna kolarzy, jeźdźcy no i moja skromna osoba.

W kraju, wróciłem do swej codziennej pracy w policji rzecznej. W kilka dni po przyjeździe z Paryża, gdy pełniłem służbę, na posterunek rzeczny na Wiśle motorówką przyjechał ówczesny minister spraw wewnętrznych, p. Hübner. Przełożony kazał mi się zameldować.

Byłem trochę tym speszony. Stanąłem na baczność. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu p. Minister gratulował mi... sukcesu paryskiego, zadając cały szereg pytań dotyczących odbytych Igrzysk.

Za propagandę polskiego sportu, otrzymałem awans na przodownika.

Obecnie choć mam już 55 lat, dla zdrowia i przyjemności uprawiam jeszcze zapaśnictwo. Walczę na treningach z Garkowienko i młodą generacją Syreny. Wyprawę i sukces paryski wspominam zawsze z dumą.

(m. al.).

Od roku 1929-go nieprzerwane pasmo sukcesów

Punkt kulminacyjny — dwa mistrzostwa Europy Vereya



Tradycje polskiego wioślarstwa sięgają czasów, na wiele lat przed odzyskaniem Niepodległości, dlatego też „pierwsze kroki", nie były stawiane w tak ciężkich warunkach, jak w innych dziedzinach sportu.

Polski Związek Towarzystw Wioślarskich został założony 8 grudnia 1919 roku na zjeździe w Poznaniu, w którym wzięło udział 13 klubów. Tak więc od roku 1920 rozpoczyna się właściwy „okres historyczny" polskiego wioślarstwa.

Prawdziwą działalność rozwijają jednak wiosła polskie po wojnie bolszewickiej i rozpoczyna się systematycznie rozbudowa. W roku 1923 posiadamy 23 kluby liczące około 5500 członków.

Na „międzynarodowe szlaki" (poza startem Stefana Wróbla w Göteborgu) polskie łodzie, wypływają w roku 1924 na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu. Pomimo zupełnej porażki, zarówno w Paryżu, jak i na międzynarodowym meetingu w Warszawie, rok 1924 miał dla nas wielkie znaczenie, ze względu na nawiązanie kontaktu z zagranicą, a przede wszystkim przyjęcie Polski do FISA (Federation Internationalisch Societès d'Anvilion).

Od tego momentu Polska wkracza w nową, nieznaną jej dotąd strefę — międzynarodowych imprez, z których najlepszym sprawdzianem postępu są zawsze mistrzostwa Europy.

Pierwsze prowizoryczne sukcesy odnosimy w r. 1929 w Bydgoszczy. K. W. 04 Poznań (Mikołajczyk i Budziński) zajmuje 2-gie miejsce w wyścigu dwójek bez sternika, KW. 04 Poznań — trzecie, w wyścigu ósemek. Również na trzecim miejscu uplasowuje się dwójka ze sternikiem T. W. Włocławek.

Począwszy od roku 1924 wioślarstwo nasze rozpoczyna intensywny rozwój i już w następnym roku zdobywamy pierwsze mistrzostwo Europy, które wspominają oddzielnie autorzy Mikołajczyk i Budziński.

Polska ustala sobie wreszcie w Europie opinię groźnego przeciwnika. Nasi reprezentanci nie są wprawdzie stale w „formie bojowej" i często osady zawodzą, ale coraz żywsze zainteresowanie wśród szerokiego ogółu, a tu i tam przebłyski prawdziwej klasy są znamieniem stałego postępu.

I rzeczywiście przychodzi rok 1935, złoty rok wioślarstwa. Wspaniała indywidualność Roger Verey dochodzi do szczytowej formy i błyskotliwe swoje wyniki koronuje wielkim, podwójnym sukcesem w Grünau na mistrzostwach Europy: zwycięża w jedynkach i wraz z Ustupskim w dwójkach podwójnych. Jest to niezwykły, wspaniały triumf polskich wioseł.

Choć sukces roku 1935 się nie powtórzył, nie należy tego faktu identyfikować z upadkiem naszego wioślarstwa. Jedynie czołowi wioślarze nie mogli dojść do szczytowej formy, „doły" wyraźnie się poprawiają, a praca „wszerz" nie zatrzymuje się ani na chwilę.

Na przestrzeni dwudziestu lat w wioślarstwie polskim dominującą rolę odgrywały trzy ośrodki: Poznań, Bydgoszcz i Warszawa.

Tor regatowy — to obecnie pierwsze marzenie miłośników wiosła. Tor bydgoski jest krótki i w ogóle przez fachowców uważany za wadliwy, na jeziorze Witobelskim, nowy tor, wypróbowany w czasie tegorocznych regat z Węgrami, nie zdał egzaminu. Cała nadzieja w Warszawie, gdzie na Siekierkach ma powstać wspaniały tor regatowy. Wtedy rozpocznie się nowy, wielki rozdział polskiego wioślarstwa. (E. T.)

Polski Związek Towarzystw Wioślarskich

Założony w grudniu 1919 r w Poznaniu. Siedziba w Warszawie. Adres: Warszawa, Al. Jerozolimskie 45.

Prezesi: Józef Radwan (1920 — 1931), Jerzy Bojańczyk (1932—38).

64 kluby. 8002 członków.



UWIEŃCZENIE MISTRZÓW EUROPY
Verey i Ustupski po zwycięstwie berlińskim.

Wśród wiwatów górników i studentów

Pierwsze polskie mistrzostwo Europy

Jedną z najpiękniejszych kart wioślarstwa polskiego wypełniły lata od 1929 do 1931 roku. Szczytowym punktem było tu zdobycie w 1930 r. mistrzostwa Europy, w stolicy walońskiej — Leodium (Liege), przez polską dwójkę bez sternika poznańskiego Klubu Wioślarskiego 04, w osobach Budzińskiego i Mikołajczaka. Jak do tego doszło opowiada nam jeden z „duetu", Jan Mikołajczak:

— W roku poprzedzającym nasz start „belgijski" rozpoczęliśmy jeździć na dwójce bez sternika. Już w pierwszych regatach, w Warszawie, odnieśliśmy pierwszy nasz sukces, bijąc ubiegłorocznych „olimpijczyków", załogę mistrzowską BTW, Ormanowskiego i Birkholca. Dopiero też wówczas zwrócono na nas uwagę zarówno w klubie i Związku. Byliśmy przecież niepozorni, małego wzrostu i lekkiej wagi (Budziński, który jechał na szlaku — 1.69 m, ja — 1.72 m).

W roku tym nie ponieśliśmy w kraju ani jednej porażki ,zdobyliśmy mistrzostwo Polski, a następnie wicemistrzostwo Europy, na zawodach które odbywały się wówczas w Bydgoszczy.

— Mistrzostwa w Leodium odbywały się z okazji jubileuszowej wystawy. Warunki terenowe nie były najlepsze. Regaty wyznaczono na wąskiej, chociaż doskonale uregulowanej Mozeli, pozwalającej na równoczesny start zaledwie trzech łodzi. Trasa prowadziła przez miasto pod trzema mostami.

— Ponieważ zgłoszonych było sześć łodzi, odbyły się dwa przedbiegi, z których zwycięzcy przechodzili od razu do finału, reszta zaś musiała startować w międzybiegach. Do naszego przedbiegu wylosowaliśmy Belgię i Francję. By uniknąć konieczności ponownego startu, szliśmy od razu „pełnym gazem", wygrywając zdecydowanie. W finale znaleźliśmy się z Węgrami i Francją.

— W dniu finałów mieliśmy piękną pogodę, a wzdłuż trasy tysiące widzów, w tym wielu przybyłych na wystawę. Licznie była też reprezentowana kolonia polska. Zebrali się górnicy z bliższych i dalszych okolic oraz studenci, którzy doskonale rozstawili się wzdłuż trasy i na mostach, dopingując nas swymi okrzykami: „Wiwat Polska! Gazu, gazu!

Trudno przeinaczać fakty: walka nie była trudna. Prowadziliśmy prawie cały czas, wygrywając wreszcie o kilka długości przed Węgrami i Francją. Nie potrzebuję dodać, że entuzjazm wśród Polonii był olbrzymi, no i naturalnie po powrocie do Poznania wspaniałe też było przyjęcie.

Znaczenie sukcesu tego było widocznie ogromne, skro przyznano nam po tym doroczną Honorową Nagrodę Sportową. (s. s.)



NA TORZE W VINCENNES, POD PARYŻEM
trenuje nasza czwórka: Stankiewicz, Szymczyk, Lange, Łazarski, przed sukcesem olimpijskim



PIERWSI POLSCY MISTRZOWIE EUROPY
wioślarze z Poznania, Mikołajczyk i Budziński

Rekordy miłych niespodzianek i gorzkich rozczarowań



Hokej na lodzie należy do sportów, które sprawiły nam najwięcej miłych niespodzianek i bodajże najdotkliwsze rozczarowania.

Gdy w pierwszych latach pojawili się na lodowiskach młodzieńcy wyekwipowani w jakieś dziwne kijki — nie bardzo zwracano na nich uwagę. Nie zaprzątano sobie nimi też myśli w chwili, kiedy wybrali się na pierwszą zagraniczną wyprawę. Żyliśmy wówczas wciąż jeszcze pod brzemieniem kompleksu niższości, toteż nikt nie przypuszczał, by Polacy w jakiejkolwiek dziedzinie sportu dorównać mogli zagranicy!

Nie przejmowano się też zbytnio wieściami o niepowodzeniach, jak i nie przywiązywano należytej wagi do pierwszych sukcesów. Gdy zaczęły się one jednak powtarzać — zrozumiano wreszcie, że w hokeju lodowym wyrasta pierwszy poważny atut na arenie międzynarodowej.

I rzeczywiście tak się stało. Wielka szóstka AZS warszawskiego, na której barkach spoczął cały ciężar reprezentacji Polski w hokeju na lodzie, stała się w krótkim czasie czynnikiem, który odgrywał na wszystkich poważnych torach Europy pierwszorzędną rolę. Sukcesy te wzmocniły nie tylko pozycję na zewnątrz, ale stały się doskonałym środkiem propagandowym w kraju. Młodzież Lwowa, Krakowa, Wilna zagrzana przykładem swych kolegów warszawskich wytężała swe siły, by jak najprędzej im dorównać. Zażarta rywalizacja przyczynia się też walnie do szybkich postępów i dystans między pierwowzorem, a jego naśladowcami coraz bardziej się kurczy.

Punktem kulminacyjnym sukcesów na polu sportowym są mistrzostwa Europy w Budapeszcie, gdzie Polskę krok tylko dzieli od zdobycia zaszczytnego tytułu. Wicemistrzostwo Europy, które przez wielu byłoby oceniane, jako nielada sukces nie zadowala już wówczas naszych ambicji. Niestety nie przeczuwamy, że jest to punkt szczytowy, po którym rozpoczyna się powolny odwrót nie opanowany jeszcze po dzień dzisiejszy.

Chwilowo nie wyczuwa się jeszcze grożącej przemiany. Nie wierzy się w nią nawet, gdy w rok później w Chamonix zajmuje się już tylko czwarte miejsce. Hokej polski gotuje się do największego swego organizacyjnego wysiłku — mistrzostw świata w Krynicy.

Dziś z perspektywy lat ocenić możemy właściwie rozmach tej imprezy. Niestety był to ostatni wielki odgłos naszego sportu hokejowego. Dalsze lata — to zupełny upadek wielkiego AZS, wycofanie się słynnych „gwiazd" i... brak równowartościowego narybku. Są wprawdzie tu i ówdzie piękne wzloty, jednak mijają one szybko. Rodzi się sporo młodych talentów, ale coraz trudniej im dotrzymać kroku zagranicznym konkurentom, którzy pracują w bezporównania korzystniejszych warunkach.

Polski hokej lodowy rozwija się wprawdzie imponująco, zdobywa nowe tereny i nowych zwolenników, opanuwując zwolna cały kraj, jednak z szeroką podbudową nie następuje równolegle poprawa poziomu. Na przeszkodzie temu staje brak sztucznych lodowisk, które umożliwiłyby stałą systematyczną zaprawę. Jeden tor katowicki nie pokrywa ogólnego zapotrzebowania.

Toteż dzisiaj w 20-tym roku sportu w niepodległej Polsce, gdy kadry hokeistów zwiększyły się niemal stokrotnie od czasu pierwszych pionierskich kroków warszawskiego AZS-u, pozycja nasza, z perspektywy międzynarodowej, nie wytrzymuje porównania z wielkim okresem lat 1928-31. Sytuacja nie zmieni się też na lepsze jeśli młodzież nasza nie otrzyma urządzeń, które pozwoliłyby jej stanąć do walki w równych warunkach z innymi.

N. S.

Polski Związek Hokeja na Lodzie

Założony w Warszawie w lutym 1925 r.
Adres: Warszawa, Wspólna 64.
Prezesi: inż. Wacław Znajdowski (1925—28), dr Karol Polakiewicz (1929—32), dr Maurycy Jaroszyński (1933), kons. Witold Hulanicki (1934—36), kons. Piotr Kurnicki (1937), gen. Stanisław Burhadt-Bukacki (1938).
9 okręgów, 101 klubów, 2.692 członków.

Aleksander Tupalski

O minutę od mistrzostwa Europy

— Wyjechaliśmy do Budapesztu na mistrzostwa — mówi inż. Tupalski — pod złymi auspicjami. Po drodze rozgrywaliśmy kilka spotkań w Szwajcarii dla „rozruszania się".

Ja przyjechałem dopiero później, byłem bowiem w okresie rekonwalescencji, po żółtaczce. Przyłączyłem się do drużyny w Garmisch i tam grałem pierwszy raz. Szło nam bardzo źle i nie mieliśmy żadnych nadziei na odegranie jakiejkolwiek roli w mistrzostwach.

W sporcie nie można jednak niczego przewidzieć. W roku 1928 wyjechaliśmy za granicę naprawdę dobrze przygotowani, a nasza rola na Olimpiadzie był bardzo mizerna. Tym razem początek był zły, a koniec niespodziewanie dobry.

Wylosowaliśmy szczęśliwie i przebrnęliśmy przez pierwsze rundy. Znaleźliśmy się w grupie końcowej. Wygraliśmy ze Szwajcarią i Austrią. Mecz z Czechami decydował o mistrzostwie.

— Publiczność była po naszej stronie — mówi. — Węgrzy chcieli byśmy wygrali i dopingowali nas serdecznie.

Gra polegała na wzajemnym pilnowaniu się. Ja miałem kryć Malecka, wschodzącą wówczas gwiazdę hokeja czeskiego, a on, jak się później dowiedziałem po meczu, mnie.

Mieliśmy nawet przewagę, ale Czesi więcej strzelali. Były to czasy, gdy rezerwowych nie wpuszczano jeszcze na ważne mecze. Stogowski, Kulej, Kowalski, Adamowski, Krygier i ja nie byliśmy łuzowani, w każdym razie Adamowski i ja nie schodziliśmy z lodu.

Pierwsza tercja minęła bezbramkowo, w drugiej Ralf (Adamowski, przyp. red.) strzela bramkę. Prowadzimy 1:0.

Kierownictwo każe nam murować. Adamowski nie zgadza się na tę taktykę.

Mam wrażenie, że uczynił słusznie, że cofnięcie się do tyłu nie było wskazane, bo ułatwiłoby tylko zadanie przeciwnikowi.

Do końca zostają trzy minuty, a my prowadzimy wciąż 1:0. Publiczność wstaje już z miejsc, zaraz przecież koniec rezerwowi schodzą z lodu do szatni i anonsują nasze zwycięstwo.

W tej właśnie chwili cały zespół odczuwa jakieś odprężenie nerwowe po wielkim wysiłku, zdaje się, że przestajemy już grać z takim zębem, jak poprzednio. Krygier nie goni swego przeciwnika, Stogowski przegapia strzał i... Czesi wyrównali na minutę przed końcem.

Gramy przedłużenie. Mamy nawet przewagę, dwie okazje do strzelenia bramki, w tym w jednej z nich jestem już z krążkiem prawie w bramce Czechów, ale zwycięski punkt zdobywają oni.

Za chwilę gromada Czechów wpada na łód i rozwija swą chorągiew. Publiczność gwiżdże niezadowolona.

Schodzimy z placu pokonani i smutni. Biedny Ralf tak się przejął porażką, że nie poszedł na bankiet.

Jeszcze raz zdobyliśmy wicemistrzostwo w r. 1931 w Krynicy, ale wtedy był to raczej szczęśliwy rozdział punktów między naszymi rywalami. W Budapeszcie stawka mistrzowska była jasna i wyraźna, a jednocześnie bliska i niespodziewana.



OBÓZ HOKEISTÓW PRZED MISTRZOSTWAMI ŚWIATA W KRYNICY

Dużo pływalni, wielu zawodników

Trzeba na gwałt gonić Europę



Zdawać by się mogło, że w pierwszych latach pionierskiej pracy nad budową sportu w Niepodległej Polsce, pływacy znaleźli się w wyjątkowo korzystnej sytuacji. Czegóż im więcej było trzeba niż wody? A tej nie brakło w licznych rzekach i jeziorach.

A tymczasem nic nie hamowało bardziej rozwoju, niż właśnie te wody stojące i bieżące. Podczas gdy za granicą pływano już w pięknych krytych basenach, u nas pływalnią nazywał się „kawał" Wisły odgrodzony łodziami a słupki startowe zastępowały deski ułożone na powiązanych łodziach.

Co prawda Lwów, Kraków czy Śląsk miały za sobą już bogate tradycje pływackie z okresu przedwojennego, tym niemniej trzeba było pracę rozpoczynać od nowa.

Te warunki zastał organizujący się w dniu 30 IV. 1922 r. pod tymczasową prezesurą p. Alfreda Lotha (następnie wiceprezesa PZTW) Polski Związek Pływacki.

Notujemy pierwsze tchnące archaizmem imprezy pływackie w Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Bielsku. Wyłaniają się pierwsze nazwiska zawodników: Jurkowskiego, Semadeniego, Schönfelda, Dorożyńskiej itd.

Odbywają się pierwsze mistrzostwa Polski. Wyniki niewiele mówią. 1:39,9 na krótki dystans każą domyślać się, że chodzi tu o 100 m st. dow., ale kto to wie.

Pierwsze kroki stawia też piłka wodna. Jak to się wówczas przedstawiało, świadczy najwymowniej mecz odbyty w Krakowie pomiędzy reprezentacją złożoną z graczy AZS, Cracovii, Jutrzenki i Makabi a... drużyną pań AZS. Panowie wygrali zaledwie 2:0, a panie wyróżniły się „...śmiałą, zręczną i poprawną grą..."

Z końcem roku Związek liczył już 19 klubów, a lista inwestycyjna jedną krytą pływalnię w Katowicach i niezliczoną ilość „wód" w kraju.

W następnym roku wypływa już nazwisko kpt. Kuncewicza, który przez kilka lat z rzędu był najszybszym sprinterem polskim.

Świadomy swoich kolosalnych zaległości i wielkich braków, sprowadza w tym roku P. Z. P. pierwszego trenera. Był nim znakomity pływak belgijski Van Schelle, drugi po Arne Borgu sprinter europejski, doskonały crawlista szkoły amerykańskiej. On to położył podwaliny pod przyszłe pływactwo polskie.

W roku 1924 notujemy pierwszy kontakt pływaków polskich z zagranicą. Teraz pływactwo polskie nabiera już coraz większego rozpędu. W roku 1926 wybierają się pierwsi reprezentanci pływactwa polskiego za granicę, do Budapesztu, gdzie odbywają się mistrzostwa Europy. Startują kpt. Kuncewicz na 100 m st. dow. a Siwicki na 200 m st. klas.

W roku 1927 kontakt zagraniczny rozszerza się i dochodzi do trójmeczu słowiańskiego, w którym zajmujemy trzecie miejsce. Pływacy biorą też udział w następnych mistrzostwach Europy w Bolonii, reprezentowani przez czwórkę obiecujących wówczas zawodników Kaizerównę, Maerza, Hulanickiego i Kuncewicza.

Kaizerówna wraz z Kuncewiczem reprezentują Polskę na Olimpiadzie w Amsterdamie, bez większych sukcesów. W okresie poprzedzającym Olimpiadę gości w Polsce drugi z kolei belgijski trener Coppieters.

W roku 1929 następuje otwarcie krytej pływalni w Warszawie w Kasie Chorych, w tym samym roku otwiera swe podwoje reprezentacyjny basen pływacki w Warszawie,

W tym czasie notujemy wielki rozwój pływactwa polskiego. Wyrasta wielki talent Bocheńskiego, pojawia się Karliczek, Nowakówna, Reicherówna, Klauzówna, Jarkuliszówna. Bocheński wielkimi krokami zbliża się do wyników osiąganych przez czołową klasę europejską, ustala rekord — 1:00,4 na 100 m st. dow., w roku następnym wygrywamy po raz pierwszy mecz z Czechosłowacją 51:50

Rok 1931 — to dalszy udział naszych pływaków na mistrzostwach Europy w Paryżu. Klauzówna, Bocheński i Karliczek nie przywożą jednak większych sukcesów, wobec ogromnego postępu, jaki w międzyczasie zrobiła zagranica.

W roku 1933 goszczą w Polsce znakomici skoczkowie Smith i Simaika; pływanie nabiera coraz większego rozpędu. W międzyczasie wyłania się nowy wielki talent pływacki — Szwankowski, ginie jednak w tragiczny sposób.

W roku następnym startują Bocheński, Karliczek, Szrajbman i Szwankowski na mistrzostwach Europy w Magdeburgu. Sztafeta 4 x 200 m zajmuje 7-me miejsce. Bocheński na 100 m zajmuje również 7-me miejsce. Zerwany kontakt z Czechosłowacją zastępujemy w roku 1936 meczami z Austrią i coraz bardziej ożywionymi stosunkami z Niemcami i Węgrami.

W roku 1936 wizyta Amerykan daje podnietę do dalszej pracy. Związek przy finansowej pomocy PUWF i PW sprowadza znakomitego trenera Steppa, który bawił i w bieżącym roku, wpajając w nowe pokolenie pływaków polskich nowe metody treningowe.

6.500 zrzeszonych w chwili obecnej pływaczek i pływaków — to cyfra niezbyt wielka, ale obiecująca ze względu na młody wiek i zapał do pracy.

Jak bardzo zmienił się obraz pływactwa polskiego na przestrzeni 20-tu lat, świadczy najwymowniej stan inwestycyj. Dziś mamy w Polsce 358 pływalni, w tym 20 zimowych.

Maur.

Polski Związek Pływacki

Założony w Warszawie w kwietniu 1922 r.
Adres: Warszawa, Nowy Świat 43.
Prezesi: płk. Ignacy Matuszewski (1923), dyr. Ludwik Szwykowski (1924), płk. Tadeusz Kasprzycki (1925), gen Stanisław Burhardt - Bukacki (1926), min. Juliusz Ulrych (1927 — 29), dr Karol Polakiewicz (1930 — 31), dr Kazimierz Świtalski (1932 — 34), płk. Konstanty Pereświet - Sołtan (1935 — 36), płk Stanisław Machowicz (1937), insp. Juliusz Kozołubski (1938).
11 okręgów, 77 klubów: 6.500 członków.



PIERWSZY WYGRANY MECZ PŁYWAKÓW z Czechosłowacją, w Warszawie. Od lewej: Bocheński, Jan Kot, Koutek, Polaków

Chciano mnie angażować do Ameryki

Najjaśniejszym punktem polskiego sportu pływackiego na przestrzeni dwudziestu lat, jest bezwątpienia okres apogeum formy Kazimierza Bocheńskiego. Na nim jedynym opierało się przez długie lata pływactwo polskie, on jeden swoimi wynikami potrafił rywalizować z Europą.

Zaczął swoją karierę niepozornie. W roku 1928 wygrał pierwszy krok A. Z. S.-u w Warszawie w bardzo dobrym jak na taką imprezę czasie 1:25,6 na 100 mtr. st. dow. Miał 17 lat, rokował wielkie nadzieje. Wkrótce potym nastąpił wyjazd na studia do Gandawy

— Jesienią 1929 roku — sięga pamięcią wstecz Bocheński — ustanowiłem już nowy rekord Polski: 1:02,6. Wynik ten zwrócił uwagę sfer pływackich, był to bowiem jeden z najlepszych wówczas rezultatów w Europie. Rozpocząłem usilny trening. Uzyskany wynik otworzył im miejscowe baseny, mogłem trenować kiedy tylko miałem czas, chętnie towarzyszyli mi miejscowi zawodnicy. Wygrałem kilka startów, stałem się popularnym w mieście, zaczęto się intresować polskim sportem.. Radowały mnie bardzo te sukcesy, cieszyła pochlebna opinia, którą wyrabiano sobie o sporcie polskim.

Zbliżał się mecz z Czechosłowacją w 1930 roku. Przygotowywałem się właśnie do egzaminów, gdy wzywano mnie do kraju. Byłem w trudnej sytuacji, w końcu „odstawiono mnie na dworzec", niemal pod eskortą przedstawiciela konsulatu w Gandawie. Wygrałem 100, 4000 mtr. st. dow. i sztafetę 4x200.

Sukces tęn pobudził mnie bardziej jeszcze do pracy nad sobą. Jesienią tegoż roku popłynąłem już w Bruge 1:01,8, później 1:00,8, a w Gandawie na meczu najlepszych młodych pływaków Francji i Belgji — 1:00,4.

Echa tego wyniku były głośne. Był to — z chwilą wycofania się Weissmullera — drugi w tym roku wynik na świecie po Baranym. Posypały się zaproszenia ze wszystkich stron świata. Znalazł się nawet menager, który zaproponował mi wyjazd do Ameryki. Ten sam pan oferował tournee po Holandii i koloniach holenderskich.

Zaproszono mnie też na Nowy Rok do Paryża na mecz z Tarisem. Francuz był już wówczas rekordzistą Europy. Pojedynek nasz pomyślany był na 100 i 400 mtr. st. dow., spodziewano się bowiem, że setkę wygram ja, a na 400 mtr. Taris się zrewanżuje. Start w Paryżu nie przyniósł jednak spodziewanych emocji. Taris po prostu nie stanął do zawodów. Wygrałem obie konkurencje z pozostałymi najlepszymi pływakami francuskimi.

Nastąpił znów szereg zwycięstw, w Belgji gdzie znali już wszyscy sport polski. Jedno z największych pism wywiesiło na wystawie moją podobiznę jako „championa" Polski. Była to dla mnie wzruszająca chwila, kiedy widziałem kiedyś przed nią dwóch górników, emigrantów naszych, radośnie komentujących, że... „to nasz, polski sportowiec..."

(maur).

Wszystko sobie sami zawdzięczamy

8 lat temu — Mishu, jutro — Puchar Davisa?



W pocie czoła zdobywamy teren w tenisie. Przed 20 laty mieliśmy jednego gracza o klasie i stylu zachodnio europejskim — p. Kleinadla. Bracia Kowalewscy stali wtedy już na uboczu wielkiego nurtu europejskiego. Gdy Kleinadel wyjechał do Ameryki i Paryża, a potem umarł — została się szalona pustka, potworny poziom. Anglicy oddali nam w 5 meczach parę gemów...

Nowe pokolenie staremu nie wiele zawdzięcza. Nie znało go niemal. Zaczęło więc budować tenis od podstaw. Jego symbolem stał się Ignacy Tłoczyński: nauczył się grać sam, gdzieś na bocznym placu w Poznaniu. Do dziś jeszcze pokutuje za błędy wyssane „z mlekiem matki", za brak szkoły. Ale był on przedstawicielem nowej generacji, utalentowanej, ambitnej, traktującej tenis jako sport, a nie zabawę towarzyska.

Na kortach polskich powiał nowy duch, duch walki. Ten duch panuje do dzisiaj, zdobywa coraz nowe „ofiary".

Idziemy drogą pionierską, trudną. Nie mieliśmy na miejscu wielkich wzorów, wspaniałych nauczycieli, wielkopańskich środków i udogodnień. Skąpe były kontakty zagraniczne. Trzeba było kroczyć przez własne błędy i zawody, walczyć nietylko z przeciwnikiem, ale i z własnym... Związkiem.

Ileż trudności musiała pokonać nawet Jędrzejowska, najbardziej utalentowana tenisistka kuli ziemskiej, zanim zdobyła należne sobie miejsce. Kto wie, czy nie ta „chmurna młodość" sprawiła jedynie, że nie jest ona od paru lat pierwszą rakietą świata.

Tenisiści polscy nie byli tak utalentowani, wyrąbywanie drogi na szeroki świat szło im jeszcze opornie, zwłaszcza, że do tenisa, sportu bardzo drogiego, dziwnym trafem lgnęły klasy nie zamożne. Czyż może być bardziej demokratyczny skład elity sportowej, niż w tenisie: Jędrzejowska, bracia Tłoczyńscy, Hebda, Spychała, Wittmann! Niemal żaden z juniorów nie mógłby sobie kupić sam porządnej rakiety!

Doszli jednak daleko, bardzo daleko. Liczą się z nimi dziś wszyscy. Wywalczyli wiele cennych zwycięstw, zdobyli „Mitropacup". Niema w tej chwili państwa w Europie, które mogłoby ich zlekceważyć. Groziłoby to nieuchronną klęską.

Prawdziwie wielkich graczy, poza Jędrzejowską, wciąż nam brak, — to prawda, ale gdy spojrzymy na drogę, którą musieli przebyć obecni reprezentanci własnego chowu — trudno się temu dziwić.

I tym ufniej można spojrzeć w przyszłość. Bo liczne pokolenie, które idzie, wychowywało się w innych warunkach. Talentem nie ustępuje staremu, ale miało się z kim i na kim uczyć, miało już pierwszorzędnych trenerów, cieszy się poparciem i opieką Związku.

Lata, które były, dały oparcie o dziesiątki graczy, ustabilizowały tenis na dobrym poziomie. Zaczynają się lata generalnego ataku na szczyty. Ataku szerokim frontem: kilku graczy ekstraklasy i kilkunastu młodych talentów.

Pierwszy naprawdę wielki sukces jest już chyba bliski. A gdy przyjdzie — nastąpi nowa rewolucja, równa tej, gdy Tłoczyński pobił przed 10 laty Mishu.

Wyrosną place jak grzyby po deszczu, piłki i rakiety przestaną być luksusem. Tenis stanie się sportem mas, tak jak w Anglii i w Ameryce.

Wówczas pomyślimy o zdobyciu Pucharu Davisa (S. R.)



WIELKI DZIEŃ TŁOCZYŃSKIEGO

Po zwycięstwie nad Mishu „płynie" na ramionach wielbicieli

Polski Związek Lawn-Tenisowy

Założony w Poznaniu w 1921 r., gdzie mieścił się do marca 1925 r. Od tego czasu mieści się w Warszawie. Adres: Warszawa, Nowy Świat 43.

Prezesi: Zdzisław Szulc (1921 — 24), inż. Edward Miller (1926 — 29), min. Ignacy Matuszewski (1930 — 31), min. Marian Szumlakowski (1932 — 33), gen. J. Gąsiorowski (1934 — 36), inż. Edward Miller (1937—38).

103 kluby, ok. 3.000 członków.

Ignacy Tłoczyński

Tak zaczęła się moja kariera...

— Wywalczyć sobie miejsce w reprezentacji „daviscupowej", to nie łatwa sprawa — opowiada Tłoczyński.— Musiałem ciężko pracować nim wystawiono mnie na mecz przeciw Rumunii. Obok M. Stolarowa miał grać Marszewski lub Tarnowski.

Musiałem rozegrać mecz eliminacyjny z Marszewskim; w piątym secie prowadził on 3:0, mimo to — wygrałem.

Miałem wówczas 18 lat, mieszkałem w Bydgoszczy, a byłem członkiem poznańskiego AZS-u. Do Warszawy przyjechałem na obóz treningowy pod kierunkiem Niemca Huhna. W sobotę, po zwycięstwie nad Marszewskim, wezwał mnie klub do Poznania na mecz pokazowy z Warmińskim. Całą noc nie spałem i... przegrałem lekko w trzech setach. Zresztą z Warmińskim zawsze było b. ciężko walczyć.

W poniedziałek powracam do Warszawy, wzywa mnie ówczesny kapitan związkowy p. Mayerhoff.

— Jak pan śmiał grać w Poznaniu bez mojego pozwolenia! Pokrzyżował pan mi wszystkie plany. Teraz boję się pana wstawić.

Ze spuszczonym nosem powróciłem na obóz, zagrałem jeszcze jeden mecz treningowy z Marszewskim. Po raz pierwszy zacząłem podcinać piłki, ponieważ słyszałem, że tak gra Mishu. Wygrałem teraz dość łatwo co przypuszczalnie ostatecznie wpłynęło na decyzję kapitana.

Wreszcie nadszedł dzień meczu. Wygrałem z Poulieffem, a Stolarow przegrał z Mishu. W deblu ulegliśmy i Rumunia prowadziła 2:1.

W niedzielę stanąłem przeciw Mishu. Pamiętam, że było strasznie gorąco, a ja grałem „na całego". Wygrałem pierwszego seta, przegrałem drugiego. W trzecim gra była wyrównana. Zacząłem odczuwać tremę. Dotychczas nigdy w życiu nie grałem z zawodnikiem, który by rozporządzał tak wielkim repertuarem uderzeń i przeróżnych sztuczek.

Mishu stosował „tricki" przy serwisie, a publiczność wtedy krzyczała „fuj". Przy stanie 4:4 zaserwował piłkę z dołu, ale poszła na aut. Wówczas na widowni rozległy się przeraźliwe gwizdy. Zdenerwowany Rumun posłał drugą piłkę wprost na trybuny...

Trudno opisać co się wówczas działo; prawdziwa kocia muzyka. Mishu musiał przeprosić widownię, ale stracił piłkę i gema. Seta wygrałem, ale w czwartym znów on triumfował.

W decydującym secie prowadzę 2:0, raptem czuję kurcz w nodze. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, czułem się „od góry" dobrze — to znaczy serce funkcjonowało bez zarzutu i oddechu nie brakło, ręka dobrze funkcjonowała, natomiast paraliżowało mnie coś „od dołu".

Schodzę z kortu, czuję, że więcej nie dam rady. Lekarz aplikuję krótki masaż i gram dalej. Prowadzę 3:0, znów kurcz, znów masaż. Radca Olchowicz wlewa mi w gardło szklankę gorącej herbaty. Od tej chwili czuję się już dobrze, gram jak z nut, wygrywam wszystkie gemy i seta 6:0!

Jak się później dowiedziałem, do szklanki herbaty radca Olchowicz wlał duży kieliszek koniaku, ale ja podczas gry nic o tym nie wiedziałem...

J. Jędrzejowska

W piątek 13 maja pobiłam 1-szy raz Jacobs

— Czy pamiętam swe pierwsze zwycięstwo nad Heleną Jacobs w Berlinie? Jakże mogłabym zapomnieć mecz, który się odbył w piątek i w dodatku 13 maja! Takich feralnych dat się nie zapomina!

Jestem przesądna i miałam wielką tremę.

Przed meczem odbyłam naradę z moją przyjaciółką, znaną tenisistką Reźniczek.

„Nie masz nic do stracenia, a wiele do wygrania, musisz dać z siebie wszystko. Jeśli zwyciężysz, zdobędziesz sobie sławę światową", mówiła.

Zaczęłam niedobrze; w pierwszym secie bombardowałam swymi drajwami, ale bezskutecznie. Jacobs wszystkie piłki przyjmowała i wygrała seta.

W drugim secie gram nadal ostro i ciągle przegrywam. Sytuacja staje się beznadziejna, gdyż Amerykanka prowadzi już 4:1! Przechodzę na drugą stronę kortu, słyszę jak ktoś szepcze mi do ucha:

„Zmień system gry, dawaj wysokie piłki na pół kortu" — to poczciwa Reźniczek dawała te zbawienne rady.

Na szczęście usłuchałam jej i od tej chwili Jacobs nie mogła sobie już dać rady z moimi piłkami. Teraz ona starała się je ostro oddawać, lecz wyrzucała na auty. Wygrałam wszystkie dalsze gemy i seta 6:4.

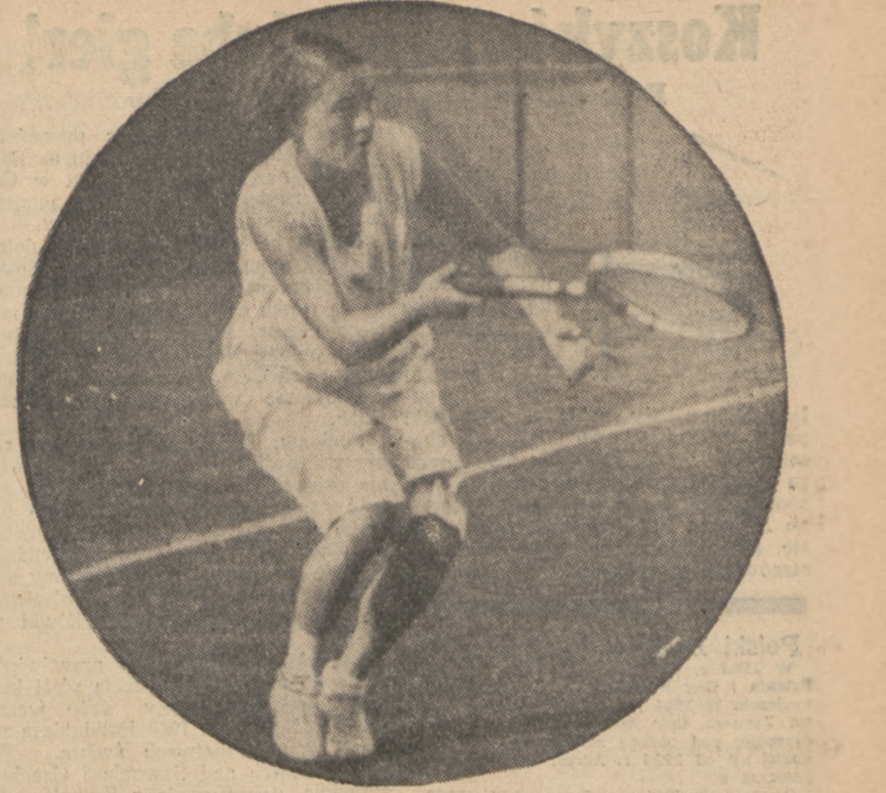
W trzecim secie powróciłam do swej normalnej ostrej gry, ale Jacobs była już tak załamana i wybita z uderzenia, że nie znajdowała odpowiedzi na moje piłki.

Seta wygrałam 6:3 i zakwalifikowałam się do finału.

Jacobs przyjęła swą porażkę z godnością i spokojem. Helena jest wielka sportsmenka i zawsze umiała wygrywać i przegrywać jak prawdziwy dżentelmen.

Po raz pierwszy moje fotografie i opisy zwycięstwa znalazły się na pierwszych stronach gazet niemieckich. Cieszyłam się bardzo.

Radość wprawdzie trwała krótko, na drugi dzień spotkałam się w finale z Krahwinkel. Mój pech do długonogiej Hildy jest ogólnie znany. Uległam, na rewanż czekałam aż do 1938 roku...

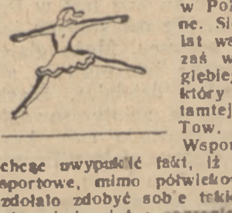


GDY SIĘ ZDOBYWAŁO MIEJSCE W ELICIE...

Jędrzejowska z okresu pierwszych sukcesów międzynarodowych

Wspaniałe tradycje łyżwiarstwa

Rok 1908 — mistrzostwa Europy. 46,6 na 500 m przed wojną



Tradycje łyżwiarstwa w Polsce są bardzo dawne. Sięgają one około 50 lat wstecz w Warszawie, zaś we Lwowie jeszcze głębiej, gdyż roku 1869, który jest datą założenia tamtejszego pierwszego Tow. Łyżwiarskiego. Wspominamy o tym, chcąc uwypuklić fakt, iż polskie łyżwiarstwo sportowe, mimo półwiekowej egzystencji nie zdołało zdobyć sobie takiej pozycji w kraju, nie mówiąc już o zagranicy, jak inne — znacznie młodsze — dyscypliny sportowe.

Czy to w czasach przedwojennych, czy w okresie ostatniego 20-lecia, maksymalnym dorobkiem zarówno łyżwiarstwa figurowego jak i szybkiego było równoczesne dysponowanie jednym, wzgl. dwoma zawodnikami dobrej klasy europejskiej. Nie ulega wątpliwości, że w proporcji do tysięcy osób uprawiających łyżwiarstwo rozrywkowe — pozycja taka jest znikomo mała.

Paradoksalna pozornie sytuacja da się usprawiedliwić dwojako: a) brakiem terenów (naturalnych lub sztucznych) przeznaczonych specjalnie na trening sportowy jazdy szybkiej lub figurowej, b) brakiem właściwej klasy instruktorów technicznych. Obydwa te hamulce wywoływał oczywiście w dużej mierze niedostatek środków materialnych, tak swoisty okresowi „ząbkowania" sportu w Niepodległej Polsce.

Mimo tych trudności łyżwiarstwo sportowe pielęgnowane było początkowo we Lwowie i w Warszawie, które to dwa ośrodki założyły w 1921 roku — Polski Związek Łyżwiarski. Od roku 1930-go zaczyna wyrastać hegemonia Śląska, dzięki zbudowanemu w Katowicach, a jedynemu dotychczas w kraju, sztucznemu lodowisku. Jeżeli można mówić o rywalizacji sportowej, to istnieje ona dzisiaj jedynie na linii Katowice — Warszawa.

Organizacyjnie PZŁ postawił pracę na stosunkowo wysokim poziomie. W zakresie literatury technicznej mamy wcale poważny dorobek, oparty o doświadczenia praktyczne paru pionierów łyżwiarstwa. Wszystko to nie wystarcza jednak do masowego skierowania młodzieży ze ślizgawki na tory treningowe, gdzie zjawiają się ciągle nieliczne jeszcze grupki prawdziwych zapaleńców.

Żaden z naszych mistrzów jazdy figurowej nie dorósł klasą do szczytowego poziomu europejskiego.

Wyżej już nieco w hierarchii międzynarodowej zaszły nasze pary. A przecież ten nikły plon dotyczy kraju który już w 1908 roku (Warszawa) organizował mistrzostwa Europy!

Jazda szybka, zapoczątkowana b. dobrym przedwojennym wynikiem Michałowicza (Lwów) 46.6 sek. — 500 mtr. w Budapeszcie, miała po tym paru utalentowanych zawodników (Wacław Kuchar, Jucewicz). Obecnie posiadaczem wszystkich aktualnych rekordów Polski — jest Kalbarczyk, należąc do czołowej klasy europejskiej. Jest on jednak unikatem...

Jazda szybka pań, wprowadzona do programu międzynarodowego na wniosek PZŁ posiadała jedną znakomitą zawodniczkę — Nehringową, która ustanowiła szereg rekordów świata. Dziś przeszły one do Norwegii, a mistrzyni nasza nie pozostawiła żadnej godnej następczyni.

Kontakty międzynarodowe łyżwiarstwa polskiego ograniczały się do sporadycznych startów nielicznych zawodników za granicą, bez specjalnych zresztą sukcesów. W kraju gościmy wprawdzie prawie co roku łyżwiarzy zagranicznych na pokazach figurowych, lecz nie jest to dostatecznym środkiem pobudzającym stałe szerokie zainteresowanie. Wywołać by je mogły tylko ciekawe zawody w formie spotkań o punkty.

Organizacja ich uzależniona jest jednak od posiadania sztucznych lodowisk w Warszawie, Łodzi, Lwowie, gwarantujących niezależność od... pogody.

Dopóki się te marzenia nie ziszczą, PZŁ musi ograniczyć się do ryzyka organizacyjnego na terenach podgórskich. Właśnie w zimie 1939 roku w Zakopanem, będziemy mieli (łącznie z zawodami FIS) mistrzostwa Europy w jeździe parami.

Oby stały się one początkiem nowej ery łyżwiarstwa sportowego w Polsce.

M. S.

Polski Związek Łyżwiarski

Założony we Lwowie w grudniu 1921 r. W latach 1921—22 siedzibą był Lwów. Od jesieni 1922 r. — Warszawa, Szopena 3.

Prezesi: ppłk Aleksander Bobkowski (1921—22), gen Józef Haller (1923), Józef Zadora-Szwejcer (1925—1928), Kazimierz ks. Lubomirski (1929—30), Leon Chrzanowski (1931—33), gen. Stefan Witkowski (1933), ppłk dypl. Marian Frydrych (1934), Edward Nehring (1935—37), Leon Chrzanowski (1938).

41 klubów, 4.288 członków.

Związek Wojskowych Klubów Sportowych

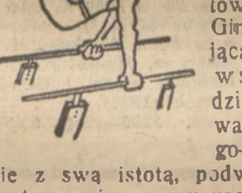
Założony w czerwcu 1936 r. jest patronem pięc obojów nowoczesnych. Adres: Warszawa, Myśliwiecka 5.

Prezes płk dypl. Zygmunt Wenda.

172 kluby.

Sokół pionierem sportu

70 lat pracy dla wychowania fizycznego



Tow. Gimnastyczne „Sokół" jest najstarszą organizacją sportową w Polsce. Gimnastyka, stojąca u podstaw wszystkich dziedzin wychowania fizycznego—jakby zgodnie z swą istotą, podwaliny całego sportu — pierwsza u nas znalazła miłośników i pierwsza zdobyła kadry organizacyjne.

Ćwiczenie ciała wcale nie było w tym wypadku głównym i jedynym celem założycieli „Sokoła". Chodziło im raczej o znalezienie formy organizacyjnej dla pracy niepodległościowej.

Pierwsze gniazdo sokole powstało w czasach naprawdę zamierzchłych, bo w roku 1867, we Lwowie.

Oficjalnie statut Sokoła przewidywał wyłącznie: „pielęgnowanie i rozwijanie gimnastyki wspólnymi ćwiczeniami, wspólnymi wycieczkami, śpiewem i szermierką".

Sokół od początku bardzo poważnie traktował swoje zadania z zakresu wychowania fizycznego i z tej drogi nie schodził. Takie stanowisko działaczy Towarzystwa sprawia właśnie, że omawiając rozwój sportu w Polsce wspominamy również o działalności Sokoła.

Gimnastyka kultywowana przez członków Towarzystwa znajdowała coraz więcej zwolenników. Nazwiska dr W. Piaseckiego, Fr. Hochmana i A. Durskiego reprezentują skrót przedwojennej historii Sokoła. Oni to wprowadzili pierwsze systemy gimnastyki zupełnie u nas nieznane, oni wyszkolili pierwsze kadry nauczycieli wychowania fizycznego.

Idee propagowane przez gniazda Sokoła zaczynają rozszerzać się nie tylko w dawnym zaborze austriackim, ale również na innych ziemiach Polski. Zanotujmy parę dat, które zilustrują rozwój Sokoła. Rok 1892 — założenie ogólnego Związku dla zaboru austriackiego (46 gniazd); w 1893 r. powstanie ogólnego związku w zaborze pruskim (9 gniazd), 1906 r. legalizacja Sokołów w zaborze rosyjskim (85 gniazd).

Coraz częściej w gniazdach zostają wprowadzane ćwiczenia wojskowe, mające przygotować przyszłych żołnierzy. Zdrowy, wyrobiony fizycznie i umysłowo element grupujący się w Sokole, ma duże zadania na tym polu

Po wojnie następuje porozumienie trzech związków — raczej formalne, bo konspiracyjna łączność istniała zawsze. W 1921 roku mamy zlot w Warszawie, a 1923 pierwszą Radę Związkową i wybór zarządu na miejsce władz tymczasowych.

Rok 1921 jest specjalnie ważny, bowiem Tow. Sokół zostaje zgłoszone do Międzynarodowej Unii Gimnastycznej. W tymże roku mamy pierwszy nasz występ zagraniczny na zlocie gimnastyków francuskich w Lille.

Polscy Sokoli startują następnie: w 1925 r. w Asti (Włochy) i w Strasburgu na zlocie francuskim; w 1927 r. w Lublanie na zlocie Sokołów jugosłowiańskich; w 1928 roku na Olimpiadzie w Amsterdamie; w 1929 r. gościliśmy państwa słowiańskie w Poznaniu; w 1934 r. jesteśmy na zawodach w Budapeszcie.

W 1936 r. rozgrywamy pierwszy mecz międzypaństwowy z Niemcami i startujemy na Olimpiadzie w Berlinie; w 1938 r. bierzemy udział w zawodach w Pradze podczas zlotu Sokołów słowiańskich.

Wszędzie polscy gimnastycy wzbudzają swymi pokazami uznanie.

Kobiety zajmują w Europie pozycję znacznie wyższą, niż panowie.

Związek Pol. Zw. Sport. uznał Tow. Sokół jako centralną organizację gimnastyczną w Polsce, dając mu tytuł: Pol. Związku Towarzystw Gimnastycznych. Stało się tak dlatego, że tylko Sokół uprawiał u nas gimnastykę poważnie. Z tego powodu Towarzystwo organizuje corocznie mistrzostwa Polski.

Najlepiej rozwija się dziś okręg śląski, po czym idą Wielkopolska i Pomorze. Słabo przedstawia się sytuacja na Kresach. (Est.)

Związek Towarzystw Gimnastycznych „Sokół"

Od roku 1924 należy do ZPZS reprezentując gimnastykę. Adres: Warszawa, Wybrzeże Saskiej Kępy 26.

Prezesi: Adam Zamoyski (do 1935 r.), płk Franciszek Arciszewski (1936—38).

6 dzielnic. 58 okręgów. 832 gniazda. 62.724 członków.

Wacław Kuchar

Czy wiecie, że byłem 6-ym łyżwiarzem Europy

Dopiero w rok po igrzyskach zimowych w Chamonix, spełniły się moje wielkie marzenia. Wyjazd mój był już nawet postanowiony. Miałem startować wespół z Jucewiczem, wyrobiłem sobie paszport, udałem się do Warszawy, zdawało się, że nic już nie stanie na przeszkodzie... Tymczasem zaszły dziwne nieporozumienia. Do Chamonix pojechał tylko Jucewicz, ja z żalem musiałem pozostać w kraju.

Nadszedł rok 1925. Znalazła się okazja wyjazdu zagranicę, zmierzenia z czołową elitą łyżwiarzy świata. Tym razem poszczęściło mi się cudownie i z końcem stycznia jechałem już drogą na Wiedeń do słonecznego St. Moritz.

Pamiętam doskonale. Było to podczas śniadania. Zdala obserwowałem, jak Norwegowie Larsen, Olsen i Balangrud zajadali z takim apetytem, konsumując tyle potraw, że nie mogłem wyjść z podziwu.

W godzinę potem postanowiłem zaryzykować i przedstawić się Larsenowi, tym razem już na torze. Z miejsca zawarliśmy przyjaźń. Było nas wiele, trenowaliśmy w kilku grupach. Ja miałem to szczęście, że znalazłem się w jednej grupie z trzema Norwegami i Francuzem Haslerem. Balangrud nauczył mnie wiele, szczególnie sposób brania krzywizny nie był u mnie najlepszy.

Start w mistrzostwach Europy przyniósł mi wyjątkowo dużo zadowolenia, mimo, że zacząłem fatalnie. Na 500 m tuż przed metą noga mi się potknęła i zdołałem uzyskać czas tylko 53 sek i w rezultacie zająłem ósme miejsce. Na 5000 m. startowałem wraz z Francuzem Haslerem. Tu powiodło się już lepiej. Haslera „nawaliłem" o jedno pełne okrążenie i byłem czwarty z czasem 9:28.

Na drugi dzień dalsze konkurencje. Na 1.500 m. startowałem razem z jakimś Wiedeńczykiem nazwiska już nie pamiętam. Bieg ten wygrałem w czasie 2:48 i zająłem szóste miejsce. Największy sukces odniosłem jednak na 10.000 m. Mój przeciwnik Holender Hofmy należał do łyżwiarzy pierwszej klasy. Wygrałem dzięki silnej woli, wywalczyłem przewagę dwóch okrążeń, mając czas 19:30. Ten ostatni wynik pomógł mi do uzyskania szóstego miejsca w ogólnej klasyfikacji mistrzostw Europy na 16 startujących zawodników.

Był to jeden z najpiękniejszych sukcesów w moim życiu.



Moment przemówienia W. ks. dr Trzepałko z okazji poświęcenia fabryki „Magnet" w dn. 19.6. 38 r. oraz wręczenie 4 ciężkich karabinów ufundowanych przez dyrekcję i pracowników tej fabryki, dla Stołecznego Batalionu Pancernego.

Koszykówka — chluba gier!

Rok olimpijski — rok sukcesów



Piłka ręczna w Polsce do niedawna znana była pod nazwą „gier sportowych". Obejmuje ona: koszykówkę, siatkówkę i szczypiorniak. Z tych trzech gier największą popularność zyskały sobie u nas dwie pierwsze. Początkowo miały one charakter gier pomocniczych, uważanych za doskonałą zaprawę dla wszelkich sportów. Z chwilą powstania Polskiego Związku Piłki Ręcznej, rozpoczęły się jednak normalne rozgrywki mistrzowskie w tych dyscyplinach i odtąd poczęły one piąć sie coraz wyżej, coraz większą zdobywać popularność, a w parze z tym odpowiednio wzrastał i poziom.

W dużej mierze do ich pomyślnego rozwoju przyczyniło się i to, że gry cieszą się dużą popularnością wśród młodzieży szkolnej. Z niej się też rekrutuje większość graczy klubowych. Liczne turnieje z udziałem zagranicznych zespołów, zwłaszcza estońskich i łotewskich, reprezentujacych najwyższy poziom w Europie, przynosiły coraz częściej zwycięstwa naszym drużynom klubowym.

Rok olimpijski 1936 stanowi punkt kulminacyjny w rozwoju naszej koszykówki męskiej. Koszykarze rozgrywają swe pierwsze mecze międzypaństwowe, a reprezentująca nasze barwy słynna już dziś piątka KPW. Poznań odnosi sukces za sukcesem. Po pięknych zwycięstwach nad najsilniejszymi drużynami Europy, Łotwą i Estonią, notują koszykarze poznańscy swój najefektowniejszy triumf na międzynarodowym turnieju miast w Genewie, zdobywając pierwsze miejsce wśród 12 startujących zespołów.

Polska koszykówka, nieznana dotąd bliżej krajom zachodnim, za jednym zamachem urosła w prawdziwą potęgę na rynku europejskim. W kilka miesięcy później Polacy zajmują na turnieju olimpijskim w Berlinie czwarte miejsce za USA, Kanadą i Meksykiem, a pierwsze wśród państw europejskich.

Poziomu, jaki koszykarze nasi reprezentowali na turnieju w Genewie, nie osiągają już oni po tym. Na wartość naszej reprezentacji musiało niewątpliwie wpłynąć rozbicie wewnętrzne piątki KPW. Drużyna ta obniżyła obecnie swój lot. Z drugiej strony notujemy jednak znaczne podniesienie się ogólnego poziomu koszykówki w kraju.

Koszykówka kobieca w przeciwieństwie do męskiej rozpoczęła swój kontakt międzypaństwowy dużo wcześniej. Już w roku 1930 Polki biorą udział w mistrzostwach świata. Po zwycięstwach nad Szwecją i Czechosłowacją, przegrywają z Francją, zdobywając wicemistrzostwo Europy. Od tego czasu koszykarki poczyniły kolosalne postępy. Dwukrotnie zdobywają tytuł mistrza akademickiego Europy.

Siatkówka zarówno męska, jak i kobieca osiągnęła u nas bardzo wysoki poziom. Utrzymywany jest stały kontakt z klubami estońskimi i łotewskimi. Z ważniejszych sukcesów warto podkreślić zajęcie w roku ubiegłym pierwszego miejsca przez siatkarki Warszawy przed Tartu i Rygą na turnieju miast bałtyckich.

Szczypiorniak uprawiany jest w Polsce równie długo. Nie osiągnął on jednak wysokiego poziomu. Może dlatego, że do niedawna interesowała się nim głównie jedna dzielnica, Śląsk. Od kilku lat jednak zainteresowanie szczypiorniakiem ogarnęło cały kraj, a Śląsk ustąpił pierwszeństwa Poznaniowi. Poziom w całym kraju wprawdzie się wyrównał, jednak jeszcze zdecydowanie ustępujemy wielu państwom. Dowodem tego zajęcie dopiero 7-go miejsca na mistrzostwach Europy. Kobiecy szczypiorniak został wprowadzony dopiero w roku bieżącym na miejsce poprzednio uprawianej hazeny. (B. K.)

Polski Związek Piłki Ręcznej

W 1922 r. założony jako Polski Związek Palanta i Gier Ruchowych z siedzibą w Katowicach. W 1926 r. przekształcił się na Polski Związek Gier Sportowych. Od 1937 r. egzystuje pod obecną nazwą. W Warszawie mieści się od 1926 r. Adres: Warszawa, Hipoteczna 8.

Prezesi: dr Tadeusz Chrapowicki (1929—30), mjr Władysław Zięłkiewicz (1931), inż. Marian Krawczyk (1932), kpt. Stefan Gruca (1933), płk Rawicz-Mysłowski (1934), gen. Kordian Zamorski (1935—36), płk Adam Brzechwa - Ajdukiewicz (1937—38).

12 okręgów, 333 kluby, 11.905 członków.

Panować w Skandynawii i w Alpach

Szerokim frontem ruszają narciarze do ataku



W narciarstwie zaczęliśmy od tego, na czym kończymy: od zjazdów. Przed 20 laty w Beskidach i Karpatach nie znano „desek", nawet z obrazków. Było ich kilkanaście par tylko w Zakopanem.

Do czego potrzebne były wówczas narty? Nie do spacerów pod Reglami, ale do poruszania się w metrowych zaspach śnieżnych — śniegu było wówczas więcej — w górach i na halach. Więc zjeżdżaliśmy szkołą austriacką, pięknie, wąsko i niepewnie, napierw z jednym kijem, potem z dwoma. Złożenie kijków nie przynosiło ujmy. Na stromizmach Żlebu Wściekłych Węży galopowali wówczas Zubkowie i Bujacy, z Hali Gąsienicowej na metę na Antołówce.

Prędko jednak dotarły do nas wpływy norweskie. Bieg i skok — oto co popłacało. Zaczęliśmy więc gonić Europę, ale szło nam to niemrawo. Dalekie były miejsca zawodników polskich przy I starcie, w Jańskich Łaźniach.

Aż przyszedł Bronek Czech i swym niezwykłym talentem od razu wybił się na czoło. Dogonił, ba, nawet przegonił narciarstwo środkowo-europejskie, zaczął deptać po piętach Skandynawom.

Był jednak wciąż opętany przez „ducha gór" — zjazd. Więcej czasu spędzał na Hali niż pod Reglami. I gdy przyszła próba zakopiańska (FIS) z odrodzonym w Alpach, dzięki Anglikom, zjazdem — wygrał go w wielkim stylu.

Od tego czasu w łonie narciarstwa polskiego nurtowały dwa prądy: zjazdowy i klasyczny. Wciąż jeszcze była moda na biegi i skoki, ale coraz bardziej ciągnęło zawodników w góry. Zwłaszcza, że szkoła zjazdowa szalała w Alpach, szerząc spustoszenie wśród „klasyków", stwarzając nowe przemysły, nowe źródła zarobków.

I u nas najlepsi „klasycy" i skoczkowie puszczali się na efektowne tory zjazdu. Nigdy jednak nie doszliśmy do takiej dekadencji w biegach i w skokach, jak Szwajcarzy i Austriacy. Nawet gdy powstała kolejka linowa na Kasprowy — początek nowej ery narciarstwa zjazdowego — zachowaliśmy dla „klasycyzmu" takiego Marusarza i Bronka Czecha.

Przeciwnie, wraz z powstaniem kolejki zaczęła sie nowa era biegów. Dziś mamy więcej talentów biegowych niż kiedykolwiek dotąd.

Dziś Marusarz jest pierwszy w skokach narówni z Norwegami; w biegach walczymy o lepsze z Europą Środkową; w zjazdach zaś dopiero doganiamy, powoli ale stale wielkich specjalistów alpejskich.

Będziemy dalej szli naprzód szerokim, harmonijnym frontem zjazdowo-klasycznym. Zjazdowcy będą nam nadal potrzebni, choćby dla propagandy, choćby dla nauki narciarstwa wśród szerokich mas. Nauczeni doświadczeniem nie zaniedbamy jednak biegu i skoku, choć może punkt ciężkości przeniesienie się w Beskidy i w Karpaty.

Czasem zjazdowcy będą mieli więcej do powiedzenia w Europie, czasem klasycy. Równowaga będzie chwiejna. Ale ideałem naszym pozostanie: dogonić Skandynawów w biegach i w skokach; państwa alpejskie — w zjazdach. Żadnemu kierunkowi nie pozwolimy też żerować na drugim!

W tym wyścigu postępu będą brały udział coraz szersze warstwy społeczeństwa — w to nikt chyba nie wątpi. Bo celem narciarstwa polskiego jest i będzie: każdy Polak — szkoła polska — na nartach!

Wyścig górski na Dunajcu

chlubą P. Z. Kajakowego

Z historią powstania Polskiego Związku Kajakowego łączy się dzień 8 maja 1930 roku; odbył się wówczas w Warszawie zjazd organizacyjny delegatów klubów kajakowych, z inicjatywy komisji kajakowej przy Polskim Związku Narciarskim.

Pierwszym prezesem Związku wybrany został gen. Kwaśniewski. Początkowe dwa lata prac Związku skierowane były głównie na zagadnienia turystyki czynnej. Związek zrzesza wówczas 27 klubów i sekcji. W roku 1931 Związek przystąpił do Międzynarodowej Federacji Kajakowej (I. R. K.).

W roku 1933 prezesem Związku zostaje płk Zieleniewski. W realizacji ustalonego programu A. Z. S. Kraków organizuje pierwszy wyścig długodystansowy na Dunajcu, który stał się podstawą do zorganizowania w latach następnych międzynarodowych wyścigów długodystansowych na tej rzece.

Rok 1934 dał pokaźne rezultaty pracy. Zabudowa turystyczna szlaków wodnych Polski wstąpiła na drogę realizacji. Zorganizowano 11 stanic oraz 42 stacje turystyczne. Osobny odcinek to propaganda sportu kajakowego. Odbył się pierwszy międzynarodowy wyścig górski na Dunajcu z udziałem czołowych zawodników austriackich i niemieckich, a zorganizowany równocześnie spływ międzynarodowy przełomem Pienin, był pierwszorzędną atrakcją propagandową turystyki wodnej po Polsce.

W r. 1935 bierzemy udział w międzynarodowych zawodach w Soppotach, wyniki jednak okazały się słabe z powodu braku odpowiedniego sprzętu regatowego i rutyny zawodniczej.

W roku 1936 Związek pod przewodnictwem prezesa min. Bobkowskiego skierował główną uwagę na przygotowania drużyny olimpijskiej. Na wiosnę zorganizowano w Pucku obóz treningowy pod kierownictwem niemieckiego trenera Arndta. Wysłano do Berlina dwójkę sztywną w składzie Bazaniak — Kozłowski z Poznania — rezultaty były mizerne.

Rok 1937 i 1938 pozostaną w historii Związku latami przełomowymi, cała działalność Związku stała się dostosowywaniem do nowego statutu, nowych regulaminów i ustalonych wytycznych i programów pracy.

Systematyczna praca wyszkoleniowa prowadzona w Związkowym ośrodku treningowym w rezultacie swoim przyniosła zrównanie poziomu zawodników polskich i zagranicznych; dowodem czego jest piękny sukces międzynarodowy: Sobieraj wicemistrzem świata w biegu jedynek sztywnych na 10 kilometrów.

W zakresie turystyki czynnej Komisja Turystyczna P. Z. K. zorganizowała wzorowo międzynarodowy spływ Brdą, w którym wzięło udział 145 uczestników, w tym 5 Anglików i 3 Niemców, ponadto odbył się spływ krajowy Wilią i Zejmianą z udziałem 51 uczestników, oraz trzy spływy Dunajcem. Zalów — Wilno i Dniestrem na święto Wiosbrania.

Bilansując całość pracy Polskiego Związku Kajakowego za okres jego ośmioletniego bytu można ją śmiało ocenić, jako wysoce dodatnią w spełnianiu powierzonych zadań i życzyć dalszej owocnej pracy w rozwoju tego Związku.

Polski Związek Kajakowy

Założony w maju 1930 r w Warszawie. Adres: Warszawa, Marszałkowska 97.

Prezesi: gen. Stnisław Kwaśniewski (1930—33), płk. Tadeusz Zieleniewski (1934—35), min. Aleksander Bobkowski (1936—38).

7 okręgów. 141 klubów. 4179 członków.

Dwa zwycięstwa

nad Niemcami

Do kajakowego wicemistrza świata Sobieraja zwracamy się o podzielenie się wspomnieniami z pierwszego swego zwycięstwa nad Niemcami.

Nadszedł dzień meczu Polska — Niemcy. Nastrój w naszych szeregach nie był wesoły, za dużo nam mówiono, że jesteśmy bez szans. I rzeczywiście Niemcy bez wysiłku pokonali nas w pierwszym i drugim biegu. Ja startowałem w biegu trzecim, na 10.000 metrów. Na starcie skupiłem cały wysiłek woli, by opanować nerwy, by skóry swej Niemcom tanio nie sprzedać. Reprezentowałem przecież barwy narodowe, to też wszystkie inne względy powinny były pójść na bok.

Ruszyłem ze startu i wkrótce prowadziłem. W gorączce walki zapomniałem o wszystkiem, okrzyki publiczności mnie oszałamiały — musiałem wygrać i wygrałem, o 800 m. przed Niemcem!

Gratulacjom nie było końca. Z miejsca otrzymałem zaproszenie do Berlina.

Jeszcze nie ochłonąłem z tej wielkiej radości a już przerwa objadowa minęła i trzeba było startować w biegu na 1000 metrów. Publiczność już mnie znała, witano mnie gdy się udawałem na start. Wiedziałem, że wszyscy oczekują ode mnie drugiego zwycięstwa, świadomość zaś tego przytłaczała mnie aż do chwili startu. Trzeba było walczyć z przeciwnikiem, który wysunął się na starcie i prowadził o 100 metrów. Dogoniłem go jednak i pokonałem o 40 metrów.

To był, mimo wszystko, mój rewanż za nieobecność na Olimpiadzie, to były pierwsze zwycięstwa polskiego kajakowca nad Niemcami. (ss)

Skazani byliśmy na zagładę

a... podbiliśmy Europę!

— Gdy po zwycięstwach nad Łotwą i Estonią — rozpoczyna swe wspomnienia p. Patrzykont — przyszło ze związku szwajcarskiego zaproszenie do PZPR dla reprezentacji jednego z naszych miast na turniej w Genewie, wybór padł na naszą piątkę, która miała wystąpić w barwach Poznania. Drużynę naszą w składzie: Kasprzak, Łój, Grzechowiak, Różycki, Szymura I i Patrzykont uzupełniono Stokiem i Szostakiem, wypożyczonymi z YMCA krakowskiej.

— Gdy po 36-godzinnej podróży, która dała nam się porządnie we znaki, przybyliśmy do Genewy, do turnieju zostało nam jeszcze prawie półtora dnia, które wykorzystaliśmy na oglądanie miasta. Na jednym z boisk trafiliśmy na trening Barcelony. Trening ten zrobił na nas wielkie wrażenie. Poprostu nas oszołomił. Hiszpanie zaimponowali nam swym dryblingiem i fenomenalną ekwilibrystyką, graniczącą z akrobatyką. Piłki wtaziły do kosza jak po sznurku. Miny nam wyraźnie zrzedły. Nie było co stać. Jeszcze chwila, a zwątpilibyśmy wogóle w to, czy wobec tak znakomitej gry zdołamy odegrać w turnieju jakąś rolę.

Wstąpiliśmy do redakcji jednego z pism. Tu nam pokazano szereg gazet szwajcarskich. Podawały one m. in. wiadomość o przybyciu Polaków i Niemców, uważając jednogłośnie obie drużyny za pewnych outsiderów. Nie pozostawało nam nic innego, jak zacisnąć zęby i obiecać sobie opinię tę zmienić, pokazać, że jednak coś umiemy.

Podczas defilady ulokowano nas na ostatnim miejscu... W turnieju brało udział 12 miast: 3 francuskie (Paryż, Miluza, Lyon), 3 szwajcarskie (Genewa, Bern, Lozanna), 2 hiszpańskie (Barcelona, Madryt), 2) belgijskie (Bruksela, Liege), 1 niemieckie (Berlin) i 1 polskie (Poznań).

Na pierwszy ogień wylosowaliśmy Barcelonę. Na boisko wyszliśmy mocno podekscytowani. Ambicję naszą pobudził trener Kłyszejko, przypominając nam, że od wyników osiągniętych w tym turnieju zależy nasz wyjazd na olimpiadę.

Hiszpanie z miejsca zaskoczyli nas szalonym tempem. Szczególnie we znaki dał się nam Amos, mały, krępy, czarny i szalenie ruchliwy gracz, który potrafił przedryblować całą naszą piątkę i zdobyć kosza. Powoli przyszliśmy do siebie i dzięki zespołowej i kombinacyjnej grze odnieśliśmy zwycięstwo 38:24. Wynik był największą sensacją wieczoru.

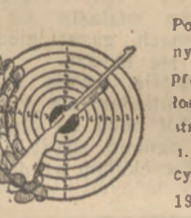
Drugi mecz z Paryżem był jeszcze trudniejszy. Francuzi górowali bowiem zespołowością nad Barceloną. Wygraliśmy różnicą zaledwie 3 punktów 30:27.

Zdobywaliśmy szczebel po szczeblu. Następnym etapem na drodze do finału było spotkanie z Genewą. Teraz walczyliśmy nietylko z drużyną, ale i z publicznością (6 tysięcy!) no i co najgorsze z sędzią, Francuzem Creux, który wyraźnie faworyzował gospodarzy. Za sobą mieliśmy tylko nieliczną garstkę Polaków oraz drużyny hiszpańskie, które nie szczędziły nam doppingu. Wygraliśmy ostatecznie jednym punktem 23:22 kwalifikując się do finału, odnosząc tam zdecydowane zwycięstwo nad Miluzą 37:30.

Na zakończenie turnieju odbyła się defilada i wręczanie nagród. Tym razem kolejność się zmieniła... Na pierwszem miejscu kroczyła nasza drużyna. B. K.

400 000 odznaczonych strzelców

Związek kroczy naprzód właściwą drogą



Po zakończeniu wojny i po powrocie do pracy pokojowej wyłoniło się zagadnienie strzelectwa jako sportu. W społeczeństwie cywilnym pracę tę od 1921 r wziął w swe ręce Związek Strzelecki, nawiązując od razu styczność z międzynarodowym ruchem strzeleckim przez przystąpienie do Międzynarodowego Związku Strzeleckiego.

Wyrazem działalności są organizowane od 1924 roku Naodowe Zawody Strzeleckie, będące terenem ściślej współpracy Związku Strzeleckiego z wojskiem i cywilnymi organizacjami uprawiającymi strzelectwo.

Początkowo główną troską było uruchomienie zawodów najwyższego szczebla. Na zawody lokalne i propagandowe nie kładziono nacisku, pozostawiając je przygodnej inicjatywie ludzi dobrej woli. Nie stosowano ogólnie żadnego systemu eliminacji w przeświadczeniu że w swobodnym współzawodnictwie i tak najlepsi wybiją się na czoło.

Jakkolwiek strzelcy polscy występowali na terenie międzynarodowym: w 1927 r w Rzymie, 1928 r. w Berlinie i w 1929 r w Sztokholmie, jakkolwiek poziom ich się stale podnosił, to jednak był to wciąż sport jednostek, a nie mas.

Zmiana nastąpiła dopiero w 1929 r.

Związek Strzelecki bierze w swe ręce faktyczne kierownictwo sportem strzeleckim.

Powołany został do życia z inicjatywy Związku Strzeleckiego Polski Związek Broni Małokalibrowej, który rozpoczyna propagandę za masowym rozwojem w społeczeństwie strzelectwa jako sportu.

W 1930 r. wprowadzona została Odznaka Strzelecka, będąca sprawdzianem sprawności strzeleckiej dla wyróżniających się w strzelaniu obywateli.

Miarą rozwoju sportu strzeleckiego może być ilość zdobywanych O. S:, którą w pierwszym roku wprowadzenia zdobyło zaledwie 274 osoby a obecnie od lat kilku cyfra zdobywców O. S: przekracza liczbę 400,000:

Obok wspomnianego Polskiego Związku Broni Małokalibrowej, powołano Polski Związek Broni Wojskowej i Dowolnej dla celów propagowania strzelań z broni wojskowej śród cywilnych. Oba te związki połączyły się i utworzyły Polski Związek Strzelectwa Sportowego.

1932 r z inicjatywy Komendanta Głównego Z S powołano Naczelną Radę Strzelecką w Polsce jako organ opiniodawczo - naukowy sportu strzeleckiego. W skład Rady obok przedstawicieli poszczególnych organizacji wchodzą jeszcze reprezentanci władz i znawcy strzelectwa.

Najważniejszym dla naszego sportu wydarzeniem było zorganizowanie z upoważnienia Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich we Lwowie w 1931 r. Zawody te stanowiły duży sukces organizacyjny. Wedle zgodnej opinii zagranicznej — najlepiej dotąd zorganizowane zawody strzeleckie. W zawodach brało udział 277 zawodników z pośród 18 narodów świata.

Sport polski bierze czynny udział w pracach Międzynarodowego Związku Strzeleckiego, posiadając w Komisji Technicznej tego Związku stałego swego delegata Związku Strzeleckiego.

Reprezentanci naszego strzelectwa występowali we wszystkich Międzynarodowych Zawodach Strzeleckich: 1936 — Rzym; 1937 — Helsinki oraz w Igrzyskach Olimpijskich — Berlin 1936. Ponadto zawodnicy nasi biorą czynny udział w międzynarodowych i międzypaństwowych bezpośrednich lub korespondencyjnych zawodach strzeleckich — po kilka razy w roku.

Nie ulega wątpliwości, że polski sport strzelecki kroczy naprzód właściwą drogą.

A. Maciejowski

Polski Związek Strzelectwa Sportowego

Powstał w Warszawie w 1933 r., jako fuzja Polskiego Związku Broni Małokalibrowej i Polskiego Związku Broni Wojskowej i Dowolnej. Adres: Wa[r]szawa, Myśliwiecka 3.

Prezesi: płk Stanisław Wecki (1932—37), ppłk. Marian Frydrych (1938).

17 okręgów. ok. 1200—1300 klubów. 30.000 członków.

Tragiczny skok

Br. Czecha

Na Olimpiadzie w St. Moritz Bronisław Czech utorował narciarstwu polskiemu drogę do przyszłych sukcesów. Na 18 km zajął piąte miejsce, pokonał dwu Norwegów, Szweda i cały szereg pierwszorzędnych zawodników. Znakomity skoczek stał się za jednym zamachem kandydatem do czołowego miejsca w kombinacji klasycznej, ba do medalu olimpijskiego.

Niestety, młody, nierutynowany zawodnik nie wytrzymał nerwowo napięcia. „Zawodnik, który na treningach okazał się rewelacją — tak pisze nasz ówczesny sprawozdawca — i był uważany przez prasę za najlepszego skoczka środkowo-europejskiego i najgroźniejszego konkurenta Norwegów, który skakał stale „pod 60" upadł już przy pierwszym skoku 50.5 mtr. Drugi jest coprawda ustany (60 mtr.), ale nie może odrobić złej noty skoku pierwszego. Mimo to Czech zajął 10-te miejsce".

Bronek Czech tak mówił wówczas o sobie: „Nie skakałem poniżej 55 m. Przez cały czas zaprawy miałem tylko jedną wywrotkę, a skakałem 4—6 razy dziennie. Najdłuższy skok wynosił 68 mtr."

A w decydującym momencie przy 50 mtr. upadł...

Tak została zaprzepaszczona największa szansa narciarstwa polskiego.

Niepowodzenie w skokach nie powinno rzucać cienia na świetne miejsce biegowe Czecha.

Oto co pisał o tym ówczesny redaktor naczelny naszego pisma Kazimierz Wierzyński, bawiący w St. Moritz:

„Teraz znów oczekiwania na wiadomości z trasy. Wreszcie nadchodzą... radosne o Bronku Czechu, że idzie doskonale, że minął już trudne wzniesienie... Wpadł na metę, płynąc jak łyżwiarz po lodowym szlaku. Ledwie czasu starczyło krzyknąć: Bronek, Bronek! i był już między nami.

Nic mu nie mogło się zdarzyć, nic zmniejszyć sukcesu, utracić zdobyczy. Jakże swobodnie się wtedy oddycha, o ile pewniej czeka się następnych wydarzeń".

Polski Związek Narciarski

Założony w grudniu 1919 r. w Zakopanem. Mieścił się do 1932 r. w Warszawie, a od tego roku w Krakowie Adres: Kraków, Piłsudskiego 13.

Prezesi: płk Aleksander Bobkowski (1920—1922), śp. płk dr Władysław Osmólski (1923). min. Aleksander Bobkowski (1924—1938).

10 okręgów. 262 kluby 24.522 członków.

Zaczęliśmy i kończymy na raidach

30 lat polskiego automobilizmu

Aby dać przegląd prac zrzeszonego automobilizmu w Polsce Niepodległej cofniemy się aż do roku... 1908-go. W tym czasie w szczupłym gronie miłośników samochodu powstała myśl założenia stowarzyszenia automobilistów. Myśl tę zrealizowano dopiero w rok później — 7-go grudnia 1909-go roku zwołano w Warszawie zebranie, na którym przyjęto statut nowego stowarzyszenia, które nazwano „Towarzystwo Automobilistów Królestwa Polskiego". To była podwalina dzisiejszej organizacji automobilowej.

W dniach 4 i 5-go lipca 1913-go roku Tow. Aut. K. P. zorganizowało pierwszą własną imprezę sportową — raid na dystansie 582 wiorsty, na trasie Warszawa — Łódź — Radom — Puławy — Lublin — Warszawa. Startowało 16-tu automobilistów. Drugi z kolei raid zorganizowano w dniach 21 —24 maja 1914-go roku (4-ry etapy — dystans 1215 km, wyścig 1 km).

To był początek. W czasie wielkiej wojny Tow. Aut. K. P. przerwało swą działalność, a po odzyskaniu Niepodległości przystąpiono natychmiast do organizacji. Opracowano nowy statut, zmieniono nazwę na „Automobilklub Polski", który już w roku 1920 zgłoszono do Międzynarodowego Zw. Automobilklubów Uznanych (A. I. A. C. R.), jako jedyne stowarzyszenie reprezentujące Polskę na terenie międzynarodowym.

Wewnątrz kraju A. P. nawiązał ścisły kontakt z nowopowstałymi klubami terytorialnymi, które w miarę powstawania łączyły się z A. P. na zasadzie umów afiliacyjnych. Współpraca z klubami afiliowanymi została wzmocniona przez zainicjowanie w roku 1928-ym Ogólnopolskich Zjazdów Automobilowych oraz Międzyklubowego Wydziału Sportowego.

Pierwszą imprezą sportową, zorganizowaną przez A. P. w Polsce Niepodległej był dwudniowy raid do Białowieży (23 — 25 lipca 1921 r.) na dystansie 600 km. Od tej pory raidy turystyczno-sportowe stały się główną doroczną imprezą organizowaną przez A. P., a w roku 1927-ym (dystans 2.403 km) przekształciły się w raidy międzynarodowe, które czasem przecinały nawet terytoria krajów, sąsiadujących z Polską.

Poza tym A. P. współdziałał w organizowaniu większych imprez Klubów Afiliowanych, zwłaszcza tym imprez, które uznane zostały przez A. I. A. C. R. za imprezy międzynarodowe m. in. Wyścig Tatrzański Krak. K. A.).

1930 — to był ostatni rok sportu samochodowego w Polsce na większą skalę. Kryzys gospodarczy, katastrofalny stan dróg itp. czynniki spowodowały zupełną demotoryzację.

Sport automobilowy odżył dopiero w roku 1937-ym.

Wspominamy w powyższym artykule jedynie o czołowych imprezach samochodowych, nie będąc w stanie omówić setek imprez pomniejszych, organizowanych przez A. P. bądź Kluby Terytorialne.

Ciekawe jest porównanie liczb samochodo-kilometrów przejechanych przez uczestników międzynarodowych raidów A. P. w latach dawniejszych i obecnych — liczby te najlepiej ilustrują rozwój sportu samochodowego. Tak więc w roku 1921 ilość samochodów pomnożona przez ilość przejechanych przez każdego zawodnika kilometrów wyniosła 3.600 samochodo-kilometrów. Już w roku 1924 liczba ta skacze na 60.000 samochodo-kilometrów, a w roku 1928 powiększa się do 84.500 sam.-km. W dalszych latach stoi mniej więcej na tym samym poziomie, by w roku 1938 osiągnąć bardzo wysoką liczbę 240.345 sam.-km.

Kiedy przyjrzymy się bliżej imprezom samochodowym, organizowanym w ubiegłym dwudziestoleciu na terenie Polski, dostrzeżemy bez trudu następujące „gatunki" imprez: turystyczno-krajoznawcze, sportowe — lekkie, sportowe — ciężkie oraz towarzyskie.

Imprezy krajoznawczo - turystyczne, organizowane przez Polski Touring Klub, jako instytucję, której najbardziej leży na sercu rozwój turystyki, to imprezy na ogół dość łatwe nawet dla przeciętnie wyszkolonych kierowców i nie wymagające specjalnego przygotowania maszyn.

Dalej wymienić należy zjazdy gwiaździste (przejechanie w ograniczonym czasie jak największej ilości kilometrów), które mają bardzo skromne znaczenie sportowe, są natomiast łatwe do zorganizowania i dlatego dużo takich imprez widzimy w kalendarzach. W ostatnim roku zjazdy gwiaździste zmodyfikowano przez dodawanie bardziej sportowych prób zręczności i opanowania samochodu.

Dużą popularnością cieszą się jednodniowe Jazdy Konkursowe, zapoczątkowane przez A. P. Jazdy te są doskonałą zaprawą sportową. W zawodach tego typu zazwyczaj stawiały pierwsze kroki przyszłe „asy kierownicy", tutaj dokonywała się selekcja młodego narybku sportowego. Myślę, że bardzoby się przydał standartowy regulamin Jazdy Konkursowej dla całej Polski.

Ostatnio zapoczątkowano jeszcze jeden rodzaj niezmiernie ciekawej i pożytecznej imprezy — jazdę w terenie i to nie na kilku kilometrach, lecz na znacznie dłuższych dystansach. Doświadczenia, początkowo nieśmiałe, dały rezultaty bardzo dobre, tak, że obecnie tego rodzaju próby będą na stałe włączone do raidów międzynarodowych.

Wspomnieć należy jeszcze o bardzo ciekawych z punktu widzenia sportowego imprezach Krakowskiego Kl. Aut. jak Wyścig Tatrzański, który po kryzysie przekształcono na Wyścig pod Ojcowem oraz o bardzo efektownej (niestety zbyt kosztownej!) imprezie Małopolskiego Kl. Aut. — Wyścig po ulicach Lwowa, który ściągał wielotysięczne tłumy.

Tak mniej więcej w bardzo pobieżnym rzucie możnaby ująć dzieje polskiego sportu samochodowego w ciągu ub. lat 20-tu.

Na zakończenie pragnę dodać, że zmiany zasadnicze, jakie rozpoczęły się po odżyciu sportu samochodowego w roku 1936-ym trwają w dalszym ciągu. Ewolucja ta nie została jeszcze zakończona. Zapewne tegoroczny Zjazd Międzyklubowy wytyczy bardziej zwarte formy, w jakie zostanie ujęty na przyszłość polski sport samochodowy.

(T. G.)

Wszystko przemawia za Irlandczykami

Jakie horoskopy na Irlandię? — oto pytanie, z którym spotykamy się na każdym kroku.

Horoskopy... są w sporcie rzeczą bardzo niewdzięczną, szczególnie gdy chodzi o piłkę nożną i o czynnik tak nieobliczalny, jak polska Drużyna Narodowa!

Wiemy, że forma jej ostatnio nie jest zachwycająca. Z trudem uzyskała dwa remisy na własnym boisku. Jaki więc będzie poziom z dala od kraju, po uciążliwej podróży, w innych warunkach klimatycznych i przy obcej kuchni?

Wszystko przemawia przeciw Polakom i równocześnie staje się atutem Irlandczyków. Będą oni walczyć na własnym boisku, będą korzystać z poparcia moralnego 30.000 widzów, nie zmieniając codziennego trybu życia.

A jak ma się sprawa ze stroną czysto techniczną?

Irlandczyków widzieliśmy na wiosnę w Warszawie. Wypadli oni słabiej, niż należało wnioskować z doskonałych wyników, jednak akcje ich zdradzały niezaprzeczalną klasę, relatywnie na pewno nie gorszą niż Polaków. Wynik 0:6 twierdzeniu temu bynajmniej nie zaprzecza. Był to bowiem jeden z wyjątkowych dni, w którym jednej stronie wszystko się udaje, a drugiej partii idzie jak po grudzie.

Irlandczycy trzymali się szematu defensywnego, atakowali więc przeważnie w trójkę, długimi podaniami. Mieli pecha, że natrafili na zespół polski w doskonałej kondycji. Biegowo dotrzymywał im kroku, w bezpośrednich starciach również nie ustępował, a ponieważ posiadał świetnie strzałowo uposobiony atak, więc też rozstrzygnął zdecydowanie partię na swoją korzyść.

Na dodatnie konto Irlandczyków zapisać należy, że mimo tak fatalnego obrotu sprawy ani przez chwilę nie ulegli demoralizacji. Walczyli do końcowego gwizdka ambitnie i utrzymali przez cały czas otwartą grę.

Kalkując więc teoretycznie dojść musimy do wniosku, że w Dublinie szanse będą po stronie Irlandczyków, którzy dali tam sobie radę z Niemcami w okresie największej ich potęgi, a zaledwie przed kilkoma tygodniami przejechali się bezapelacyjnie po Szwajcarach (4:0!), pogromcach reprezentacji Anglii!

Doświadczenia z meczu szwajcarskiego powinny nam też posłużyć jako wskaźnik. Bojowych i twardych Helwetów zmusiła do kapitulacji energia, z jaką gospodarze z miejsca wystartowali. Sekunda kunktatorstwa i już w pierwszej minucie wynik brzmiał 1:0. Do dziesiątej minuty padła druga bramka, co ostatecznie przesądziło sprawę.

Znaczy to, że musimy mieć się nie tylko na baczności, ale nie można też pozwolić sobie na stopniowe „rozkręcanie się", jak to działo się przeważnie ostatnio.

W Warszawie drużyna nasza wygrała walcząc dziwnym trafem niemal identyczną bronią co Irlandczycy, a więc przeważnie długimi półgórnymi piłkami.

Wolelibyśmy, by w Dublinie stosowano raczej płaskie podania, szczególnie w pierwszych minutach. Irlandczycy są do tego rodzaju gry mniej przyzwyczajeni, to też gdy Szwajcarzy przyszli już nieco do siebie i zaczęli kombinować zwykłą metodą, obraz gry z miejsca się zmienił. Przyziemną grę ułatwia zresztą doskonała murawa, parku Dalymount.

Gorzej będzie natomiast z piłką. Szwajcarzy skarżyli się, że była ona twarda jak kamień i sprawiała im najwięcej kłopotu. Toteż p. Kałuża dobrze zrobi, jeśli w sobotę wyprowadzi trzodkę swą na boisko i da jej zakosztować tych twardych pigułek!

Obiektywne, rzeczowe wyliczenia wskazują, że pozycja drużyny naszej w Dublinie będzie słabsza i logicznie biorąc należałoby przygotować się na porażkę. Wiemy jednak, że w piłce nożnej decydują niejednokrotnie nieobliczalne czynniki. Wiemy, że ambicją i ofiarnością można zaskoczyć nawet znacznie lepszego przeciwnika. Z Irlandczykami wybieramy się walczyć jak równy z równym, dlaczegóż by w tym wypadku zawieść miała wiara we własne siły?

WYJAZD PIŁKARZY

Reprezentacja piłkarska Polski opuściła wczoraj wieczorem pociągiem berlińskim Warszawę.

Ekspedycję prowadzą: inż. Przeworski oraz pp. Michałowski i Kałuża. Żadne zmiany w drużynie nie zaszły.

Dublin donosi:

Wysławiamy drużynę rekordową

Dublin, w listopadzie.

— 13 listopada wystąpi przeciwko Polsce najsilniejsza jedenastka jaka reprezentowała kiedykolwiek barwy Irlandii. Drużyna, która pokonała Szwajcarię 4:0, została wzmocniona jeszcze na dwóch pozycjach. Na prawe skrzydło powraca O'Flanagan, który wykazuje wspaniałą formę w meczach ligowych. W obronie pozyskaliśmy świetnego gracza Huddersfield Town, Hayesa, który wyróżnił się już broniąc barw Północnej Irlandii w meczach ze Szkocją i Walią. Tak wzmocniona drużyna powinna przynieść nam upragnione rewanż nad Polską i zatrzeć ślady porażki warszawskiej.

To sensacyjne oświadczenie złożył mi dziś sekretarz irlandzkiej F.A., p. Wickham. Było to w dzień po ustaleniu reprezentacji Irlandii, której niespodziewanie wczesny wybór wszystkich zaskoczył. Ponieważ jednak komitet selekcyjny irlandzkiej F. A. uzyskał bez trudności zwolnienia wszystkich graczy irlandzkich z klubów angielskich, a podczas niedzielnych meczów w formie reprezentantów nie winny zajść żadne wielkie skoki, reprezentacja ustalona została już w piątek.

Skład Irlandii dowodzi najlepiej jak wielką wagę przywiązują tu mecze z Polską. Nie zaniedbano żadnych starań, aby zestawić najsilniejszą jedenastkę. Sięgnięto nie tylko do klubów angielskich, ale również po raz pierwszy doszło do porozumienia z Ulsterem i uzyskano doskonałego obrońcę Hayesa, który grał dotychczas tylko w barwach Ulsteru. Można śmiało stwierdzić, że obecna drużyna Irlandii jest o klasę lepsza od drużyny pokonanej w Warszawie 6:0 drużyny, która w ostatniej chwili została zdezorganizowana na skutek kontuzji i kłopotów z uzyskaniem zwolnień.

Lista przeciwników z którymi walczyć będziemy 13 listopada przedstawia się następująco:

Bramka: Mac Kenzie (Southend United) — Uważany za jednego z najlepszych bramkarzy w lidze angielskiej. Grał pięć razy w reprezentacji, wykazując doskonałą formę na meczu ze Szwajcarią.

Prawy obrońca: W. Hayes (Huddersfield Town) — młody gracz irlandzki, który zrobił błyskawiczną karierę i występuje obecnie w pierwszoligowym klubie angielskim! Grał dwukrotnie w barwach Ulsteru.

Lewy obrońca: W. Gorman (Bury F.C.) — grał na prawej obronie w Warszawie. Wykazuje zawsze świetną formę w meczach międzynarodowych. Reprezentował Irlandię we wszystkich spotkaniach od trzech lat.

Prawa pomoc: J. O'Reilly (St. James's Gate) — jeden z najstarszych internacjonałów Irlandii. Gracz dobry technicznie.

Środek pomocy: M. O'Mahony (Bristol Rovers) — najwyższy gracz w drużynie irlandzkiej. Jeden z najbardziej obiecujących młodych pomocników w lidze angielskiej, gracz o stylu wybitnie ofensywnym. Grał przeciwko Czechosłowacji, Polsce i Szwajcarii.

Lewa pomoc: R. Lunn (Dundalk F.C.) — gra na pozycji weterana Turnera. Ma zaledwie 160 cm. wzrostu, ale jest najruchliwszym graczem na boisku. Mecz z Polską będzie jego drugim występem międzynarodowym.

Prawe skrzydło: K. O'Flanagan (Bohemians) — młody gracz ze słynnego klubu amatorskiego. Znajduje się obecnie w fenomenalnej formie. Łączy szybkość z niebezpiecznym strzałem.

Prawy łącznik: J. Dunne (Shamrock Rovers) — weteran drużyny, idealny partner dla O'Flanagana. Grał niegdyś w słynnym ataku Arsenalu z Jamesem i Davidem.

Środek napadu: P. Bradshaw (St. James's Gate) — nowy fenomenalny napastnik irlandzki, niezwykle szybki i niebezpieczny. Przypomina stylem Lawtona, leadera ataku Anglii.

Lewy łącznik: J. Carey (Manchester United) — jeden z najlepszych technicznie graczy w pierwszej lidze angielskiej. Ma zaledwie lat 19, a gra w reprezentacji Irlandii już od dwóch lat.

Lewe skrzydło: W. Fallon (Sheffield Wednesday) — niebezpieczny strzelec. Sheffield Wednesday zapłacił za niego 3.000 funt. szt.

A więc części graczy z klubów angielskich — dwóch z pierwszej ligi — Hayes i Carey, dwóch z drugiej ligi — Gorman i Fallon i dwóch z trzeciej ligi — Mac Kenzie i O'Mahony. Gra również pięciu „stuprocentowych" Irlandczyków, w porównaniu z czterema w Warszawie.

Komitet selekcyjny irlandzkiej F. A. zarzucił początkową myśl oparcia drużyny wyłącznie na graczach irlandzkich. W meczu z Polską — jak mi tu oświadczono — rozchodzi się o zbyt wielką stawkę, aby ryzykować jakiekolwiek eksperymenty. Wybrana drużyna składa się z graczy o bogatym doświadczeniu zyskanym w ciężkich bojach ligowych w Anglii i Irlandii, a jednocześnie oparta jest o niezwykle młode talenty. Wiek przeciętny drużyny wynosi zaledwie 22 lata.

Redaktor sportowy „Irish Press", najpopularniejszego dziennika dublińskiego, tak pisze o nowej drużynie irlandzkiej: „Gra Irlandii na meczu ze Szwajcarią była doskonała, ale możemy oczekiwać jeszcze wspanialszego pokazu na meczu z Polską, gdyż drużyna nasza została wzmocniona. Hayes jest obrońcą pierwszorzędnym, Gorman graczem niezwykle wszechstronnym. Tak więc obrona nasza na meczu z Polską, powinna być twarda jak skała. O'Flanagan jest naszym najlepszym strzelcem zrozumiałe więc, że wystawiony został na miejsce Donellyego. Pozostałych dziewięciu graczy wykazało tak doskonałe zgranie na meczu ze Szwajcarią, że wybór ich nie ulegał najmniejszej kwestii. Polska pokonała Irlandię 6:0 w Warszawie, lecz obecna reprezentacja Irlandii powinna jej się zrewanżować". Podobne głosy pojawiły się we wszystkich pismach irlandzkich. Wszędzie podkreślają tu wysoką klasę zespołu irlandzkiego i wszędzie wyrażają nadzieję na zwycięstwo.

Drużyna nasza przyjęta zostanie w Dublinie niezwykle gościnnie. Ekspedycja polska zamieszka w najlepszym hotelu — Shelbourne Hotel. W sobotę gracze zostaną przyjęci przez premiera Irlandii de Valerę, oraz lorda mera Dublinu. Na meczu niedzielnym obecny ma być prezydent Irlandii dr. W. Hyde. Po meczu odbędzie się bankiet w Royal Hibernian Hotel a w poniedziałek rano zorganizowana zostanie specjalna wycieczka dla zwiedzenia miasta i okolic.

Jerzy Sokołów

Pisarski chory!

Pisarski ma wyjątkowego pecha. Tak było przed wyjazdem do Wenecji na mecz z Włochami, tak jest dziś w przededniu wyjazdu do Wrocławia na mecz z Niemcami. Pisarski ma bardzo delikatną skórę, która zaognia się i powoduje czyraki w zetknięciu się ze smarami, specjalnie z oliwą. Już raz, właśnie przed obozem weneckim miał Pisarski poważne przejścia i znów teraz cała lewa ręka obrzucona jest czyrakami. Na łokciu Pisarski ma olbrzymie plastry. Pisarskim opiekują się lekarze. W stanie, w jakim ręka znajdowała się we wtorek w południe, Pisarski walczyć nie może. Jeżeli do czwartku rano nie będzie poprawy, Pisarski nie pojedzie, ale mimo tych przeciwności, Pisarski ani na chwilę nie przerwał treningów kondycyjnych. Pech jaki go prześladuje nie wpływa dodatnio na jego samopoczucie.

RZYM — ŁÓDŹ 6:1

Meczu tak niezrównanych przeciwników nie należało chyba w ogóle organizować. Włosi nawet nie wysilając się wcale, uporali się z Polakami z dziecinną łatwością i to bardzo szybko.

Łodzianie odnieśli tylko jedno zwycięstwo. Odniósł je piórkowiec Kulesza, świetnie tego dnia dysponowany. Wyższy o głowę Włoch Gavelli nie mógł sobie z nim absolutnie poradzić.

W wadze koguciej Bertoli już w niespełna dwie minuty położył na łopatki Łazarskiego. W lekkiej, Magni zwyciężył Kawala Wł. w 9 min. 50 sek. W półśredniej Repcioschi po 4 min. pokonał Kauca. W średniej Gallegati złamał most Hinca. W półciężkiej Silvestri z dziecinną łatwością sprowadził Dąbrowskiego do parteru, gdzie zastosował podwójny nelson i wygrał po 2 min. 10 sek. Wreszcie w ciężkiej Jakubowski przegrał z wyższym o dwie głowy Donatim.

IKP — KRUSCHENDER 10:6

Pabianiczanie mieli przed meczem handicap 4 punktów. IKP wystąpiło bowiem w szóstkę, na ringu zdobyli tylko 2 pkt. przez Grambo, który pokonał Popielatego. Punkty dla IKP zdobyli Szwed, Marciniakowski, Kowalewski, Taborek i Pietrzak. Ten ostatni przeżywał jednak w walce z Krawczykiem ciężkie chwile w trzeciej rundzie.

GEYER — ZJEDNOCZONE 8:8

Geyer wystąpił bez Usielskiego, Augustowicza, Wojciechowskiego II i Szatkowskiego, Zjednoczone w szóstkę. Niespodzianką tego meczu jest zwycięstwo młodego Dolaty nad doświadczonym Michalakiem, porażka Mikołajczyka (G) w spotkaniu z Kijewskim i wreszcie przegrana Ostrowskiego (G) z Bartosińskim.

KONTAKT WĘGIERSKO-POLSKI

Węgierski związek pływacki podał do wiadomości zarysy programu przyszłorocznego. Przewiduje on wzbogacenie oficjalnych kontaktów pływactwa węgierskiego. Do dotychczasowych [illegible] przeciwników, jakimi są Niemcy czy Szwedzi, dojdą w roku przyszłym Jugosłowianie, Włosi i... Polacy.

Największy węgierski dziennik sportowy „Nemzeti Sport" stwierdza, że pływactwo polskie zrobiło ostatnio wielkie postępy i w niektórych konkurencjach zrównało się z węgierskim. Kontakt ten — jak stwierdzają Węgrzy — powinien być interesujący.

W najbliższych dniach spodziewać się należy oficjalnej oferty pływaków węgierskich pod adresem P.Z.P.

GAŁECKI OJCEM

Późny wyjazd Gałeckiego do Warszawy na obóz piłkarzy spowodowany został tym, że oczekiwał on potomka. W niedzielę urodził mu się syn.

Anglia — Norwegia 4:0

NEWCASTLE, 9.11. — Tel. wł. — Dziś odbył się mecz piłkarski Anglia—Norwegia, zakończony łatwym zwycięstwem Anglików w stosunku 4:0. Bramki padły w pierwszej połowie, kiedy Norwegowie zupełnie nie umieli dać sobie rady z długimi podaniami i błyskawicznymi strzałami Brytyjczyków. Matthews, Lawton i Dix zdobyli gole. Po przerwie Anglicy już się nie wysilali i Norwegowie doszli do głosu, ale brak im było siły przebojowej.

Z Niemcami we Wrocławiu z Łotyszami w Toruniu

W ostatniej chwili Polski Związek Bokserski zaczęły trapić nieszczęścia. Kowalski okazał się w bardzo słabej formie, a że nadto miał rozbitą rękę — postanowiono go więc zastąpić Woźniakiewiczem. Tymczasem okazało się, że i ten także ma rozbitą (a może nawet złamaną) rękę.

Pomyślano wówczas o Chrostku, ale PZB doszedł do przekonania, że lepiej 12.000 widzów nie pokazywać jego stylu walki i zachowania się na ringu.

Ostatecznie więc wystawiono na mecz z Niemcami łodzianina Kowalewskiego z IKP., który szczyci się tym, że nie przegrał w tegorocznych mistrzostwach ani jednej walki.

Nie na tym koniec nieszczęść. Z Łodzi nadeszła bowiem wiadomość, że Pisarski jest chory i jeśli do czwartku nie nastąpi poprawa, to do Wrocławia nie pojedzie.

PZB. nie bierze jednak tej ewentualności pod uwagę.

Szczęściem w nieszczęściu jest to, że waga w której prześladuje nas pech, była i tak skazana na zagładę. Z Nuernbergiem zarówno Kowalski, jak Woźniakiewicz, czy Kowalewski mają znikome szanse, tak że nie zmienia to naszych horoskopów.

Liczymy nadal na pewno na punkty Czortka, Rotholca i Kolczyńskiego. Liczymy też że niespodzianki mogą sprawić zarówno Sobkowiak, jak Piłat, Klimecki czy Pisarski, jeśli będzie w pełni sił. Szczerze mówiąc oczekujemy jednak porażki w stosunku 6:10. Każdy punkt zarobiony, będzie radosną niespodzianką.

Zato nie wątpimy zupełnie, że z Łotwą w Toruniu wygramy w wysokim stosunku, choć w wadze lekkiej zamiast Woźniakiewicza startować będzie Kozłowski z Okęcia. Jeśli kto oddać może punkty, to właśnie on, ma przecież najsilniejszego przeciwnika. Wszyscy inni powinni wygrać.

Skład na Niemcy przedstawia się następująco: Rotholc, Sobkowiak, Czortek, Kowalewski, Kolczyński, Pisarski, Klimecki, Piłat.

Na Łotwę: Lendzin, Janowczyk, Skalecki, Kozłowski, Lelewski, Szulczyński, Leśniak, Białkowski.

Drużyna niemiecka jest we Wrocławiu już od niedzieli. Tylko Runge przyjechał dopiero we wtorek. Zorganizowano tam 8-dniowy obóz, na którym bokserzy intensywnie pracują pod kierunkiem Ziglarskiego.

Bokserzy są w formie doskonałej. Zdaniem Ziglarskiego Niemcy mogą wygrać nawet 16:0, gdyż Obermauer jest w znakomitej formie technicznej, Buettner szybki jak błyskawica i specjalnie nastawiony na Czortka, a Murach pała chęcią rewanżu i jest w formie lepszej niż kiedykolwiek.

Na mecz sprzedano do wtorku 10 tysięcy biletów i nie ulega już wątpliwości, że hala będzie wyprzedana. Stawi się m. in. burmistrz Friedrich ze swymi 30 radcami. „Wojewoda" Wagner kupił też dwa bilety.

Drużyna przyjedzie do Wrocławia w piątek o godz. 18.10: w sobotę o 12.30 odbędzie się przyjęcie na ratuszu, po południu objazd miasta autokarami. Wieczorem oba zespoły pójdą do kabaretu Liebicha. W poniedziałek ewentualnie bokserzy pojadą w Góry Olbrzymie.

Drużyna zabijaków z Rygi

Ryga, w listopadzie.

Pięściarze łotewscy, tak samo jak nieliczni tutejsi fachowcy, z wielkim zniecierpliwieniem i... trwogą oczekiwać będą wyniku I międzypaństwowego meczu bokserskiego z Polską. Ta nieliczna grupa ludzi wie doskonale na co stać pięściarstwo polskie, wie że Polska jest mistrzem bokserskim Europy, zna wspaniały zeszłoroczny sezon, obawia się bardzo o wynik meczu.

Opinia sportowa, za to spodziewa się nawet sukcesu Łotwy. Zawdzięczać to trzeba bokserom Wilna, którzy dosyć często goszczą w Rydze i zawsze mają wyniki marne. Widz łotewski, przychodzi na wieczór bokserski z udziałem „najlepszych zawodników polskich" (reklama!!!) i nie ma pojęcia o boksie polskim.

Boks na Łotwie w ostatnich latach bardzo zyskał na popularności i teraz po piłce nożnej i koszykówce cieszy się największą frekwencją. Zastępy ćwiczących wciąż rosną, tak że trener związkowy, były zawodowy pięściarz łotewski H. Vitols, ma dużo pracy. Charakterystyczną cechą pięściarzy łotewskich jest siła i szalona wytrzymałość, przy bardzo prymitywnej technice.

Skład na Polskę jest następujący:

waga musza Timmermanis, 25 letni ślusarz, 98 walk, z których przegrał zaledwie 5; o technice ma mało pojęcia, lecz jest bardzo bojowy i wytrzymały, w ciągu całej kariery nigdy nie był na deskach.

w. kogucia Trusis, 21 letni kolejarz, mimo swego wieku jest to czterokrotny mistrz Łotwy, z łatwością wytrzymuje wszystkie trzy rundy najgorętszej walki, używa chętniej lewą, gdyż z prawą ma ciągle kłopoty po dawnej kontuzji.

W. piórkowa Tregers 21 letni automonter, walczy bardzo uważnie, w bijatykę woli się nie wdawać; jeden z najbardziej zaawansowanych technicznie.

W. lekka — 22 letni żołnierz Knisis, jeden z najmocniejszych punktów Łotwy, stoczył dotychczas 111 walk, z których przegrał 28, silnie zbudowany, ulubieniec tutejszej publiczności. Bardzo lubi walkę w zwarciu, technicznie nie nadzwyczajny, ale dzięki swej agresywności i wytrzymałości, groźny dla każdego lepiej nawet wyszkolonego pięściarza.

W wadze półśredniej Tjasto, 25 lat, kolejarz, ma duże doświadczenie ringowe, walczył 245 razy, z tego przegrał 18, ma na rozkładzie między innymi Jańczaka i Mandiego (Węgry). Najlepszy technik Bałtyku. Stoczył kilka pięknych walk z Estończykiem Stepułowem, zawsze wygrywając. On jeden spośród drużyny łotewskiej nie sygnalizuje uderzeń, zadaje ciosy obu rękoma, lecz uderzenia nie są silne.

Waga średnia — Balodis, 25 lat, mistrz Bałtyku; nie zważając na głośny tytuł, pięściarz bardzo przeciętny, lecz szalenie silny i wytrzymały.

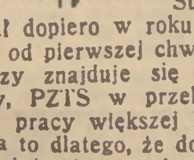
Szmits w wadze półciężkiej odbywający obecnie służbę wojskową, także nie jest orłem, jedzie z konieczności, gdyż najlepszy półciężki Żulters, do Polski jechać nie może.

W wadze ciężkiej mistrz Łotwy Lembergs, będzie chyba najsłabszym punktem drużyny. O technice nie ma pojęcia, polega jedynie na swych strasznych, lecz sygnalizowanych uderzeniach; bokser myślący i ruchliwy ma wszelkie dane, aby go zwyciężyć, czego zresztą dokonał Blum z Wilna.

Jak z powyższego wynika, zespół ten nie pokaże sztuczek technicznych, lecz wciąż trzeba będzie uważać, gdyż każdy z tych chłopców walczyć będzie do ostatniego i wykorzysta każdą okazję i każdy błąd przeciwnika; byliśmy tego świadkami na ostatnim meczu państwowym z Litwą, wygranym przez Łotwę 14:2, kiedy w czterech wypadkach Łotysze zwyciężyli przez k. o.!

W. Nalm.

Najmłodszy sport polski



Tenis stołowy jest jedną z najmłodszych gałęzi sportu polskiego. Polski Związek Tenisa Stołowego powstał dopiero w roku 1931 i siedziba jego od pierwszej chwili po dzień dzisiejszy znajduje się w Łodzi. Niestety, PZTS w przekroju ośmiu lat swej pracy większej kariery nie zrobił, a to dlatego, że do ping-pongistów poważnie się nie odnoszą, ani zarządy klubów, ani władze, którym powierzona jest opieka nad sportem. Ciągle pokutuje zastrzeżenie co do „sportowości" tenisa stołowego.

Dużo lepszą opinią, niż w kraju, cieszy się polski tenis stołowy na stołach całego świata. W r. 1933 na mistrzostwach w Paryżu zjawiła się „samozwańcza" reprezentacja Polski, która była sensacją turnieju, zajęła bowiem czwarte miejsce, na 12 państw. Reprezentację tę tworzyli wówczas przebywający we Francji na studiach lwowiacy Ehrlich i bracia Pohorylesowie.

Największą sensacją było wówczas zwycięstwo nad Czecho-Słowacją 5:1.

Na jesieni 1034 r. odbył się pierwszy i jedyny dotąd oficjalny międzypaństwowy mecz z Niemcami, wygrany w Gdańsku 7.2.

W lutym 1935 roku na mistrzostwach świata w Londynie Polska była bliska wicemistrzowskiego tytułu, zajmując ex equo z Austrią trzecie miejsce. Natomiast Ehrlich w turnieju indywidualnych zajął trzecie miejsce, o czym nadsyła nam specjalne wspomnienie. Na mistrzostwach w Pradze w r. 1935 — 36 o Swaythling Cup Polska znalazła się na czwartym miejscu wraz z takimi potęgami jak Węgry i USA. Ehrlich doszedł natomiast znowu do finału, który przegrał z Czechem Kolarem. W Badenie, Polska dzieli znów czwarte miejsce wespół z obrońcą Swaythling Cupu — Austria, a Ehrlich jest znów o krok od tytułu, przegrywa jednak finał z Austriakiem Bergmanem.

Na ostatnich mistrzostwach, w Londynie walczyła nienajlepsza drużyna i stąd w konkurencji zespołowej zajęliśmy dalekie — szóste miejsce, dzieląc je z słabeuszami, jak Niemcy, Litwa, Jugosławia, Francja. Jeszcze gorzej poszło w konkurencji jednostkowej, gdzie wszyscy Polacy zostali wyeliminowani już w pierwszym rzucie. Nie zmienia to faktu, że w rodzinie ping-pongistów świata zajmujemy czołowe [illegible] (L)

Saneczkarze pod opieką Krynicy

Saneczkarstwo należy do sportów najmniej skonsolidowanych. Pierwszych jego śladów należy szukać po wzgórzach i górkach, na których zimową porą uwijała się młodzież obojga płci, sprawiając niemało kłopotu władzom bezpieczeństwa. Tu i ówdzie spotykało się nazwisko polskie uczestników zawodów za granicą i to w czasie, gdy w kraju nieznano jeszcze saneczkarstwa jako zorganizowanego sportu.

Zasadnicza zmiana nastąpiła w chwili wybudowania pierwszego w Polsce zawodniczego toru w Krynicy. Zdrojowisko podkarpackie stało się też głównym ogniskiem polskiego saneczkarstwa, tu narodzili się pierwsi zawodnicy na miarę międzynarodową, tutaj też organizowano wielkie konkurencje.

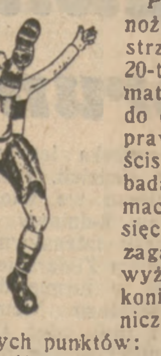
Punktem szczytowym były mistrzostwa Europy w r. 1935, które sprowadziły do Krynicy czołowych zawodników Europy Środkowej. Zawody te były też triumfem młodego polskiego saneczkarstwa. Walcząc z najsilniejszymi konkurentami zdobyło szereg cennych nagród, mimo że ustępowało przeciwnikom swym doświadczeniem a przede wszystkim gatunkiem sprzętu.

Niestety od czasu mistrzostw w Krynicy rozpoczął się powolny odwrót. wycieczki za granicę nie przyniosły spodziewanych sukcesów, bez echa mijały zawody krajowe i dzisiaj trudno było by określić właściwą pozycję naszego saneczkarstwa, które nie wyszło właściwie poza teren Krynicy.

Organizatorowie jego mieli zresztą daleko zakrojone plany. Chcieli przez saneczki dojść do bobslejów. Niestety marzenia te nie zostały do dzisiaj urzeczywistnione. Polska, dysponująca doskonałymi urządzeniami dla wszystkich rodzajów sportu, nie posiada po dzień dzisiejszy toru bobslejowego. Zakopane pretendujące do jednego z pierwszych placów zimowego sportu w Europie nie zrozumiało że do skompletowania inwestycji niezbędnym jest również tor bobslejowy. (N. S.)

Sport 100 tysięcy

Piłkarze spokojnie patrzą w przyszłość



Polska piłka nożna na przestrzeni ostatnich 20-tu lat — to temat nadający się do obszernej rozprawy, opartej o ścisłe, źródłowe badania. W ramach kilkudziesięciu wierszy — zagadnienie powyższe trzeba z konieczności ograniczyć do trzech zasadniczych punktów:

1) Rozwój i stan organizacyjny. 2) Pozycja wewnętrzna. 3) Z perspektywy międzynarodowej.

Rozwój polskiej piłki nożnej jest tak widoczny, że nie wymaga przeprowadzania dowodu. Ze skromnych zalążków w Małopolsce, Kongresówce i w Poznańskim rozrósł się potężny organizm, ogarniający wszystkie połacie kraju.

Olbrzymia popularność i prężność, jaką wciąż jeszcze wykazuje sport piłkarski pozwalają liczyć na dalsze postępy, a ich punkt kulminacyjny jest jeszcze bardzo odległy.

Polski Związek Piłki Nożnej, którego pierwsze fundamenty stanowiło (1921 r.) pięć Związków Okręgowych, stężał i wzmocnił się. Opiera on się dzisiaj na 14-tu Związkach Okręgowych, sięgających głęboko w teren przez liczne podokręgi. Rozrastający się z roku na rok sztab wykwalifikowanych działaczy ułatwia sprawne funkcjonowanie tego wielkiego aparatu, którego kółeczka sięgają niemal do najmniejszych osiedli.

O sile organizmu tego świadczy szczęśliwe przetrzymanie potężnego wstrząsu, jakim była tzw. rewolucja piłkarska w r. 1927, która w rezultacie doprowadziła do większych przemian strukturalnych i utworzenia ponadterytorialnej Ligi.

Jeżeli chodzi o przemiany wewnętrzne dotyczące roli jaką odgrywały poszczególne środowiska, to okres długotrwałej hegemonii Małopolski został stopniowo zniwelowany. Dziś można mówić co najwyżej o pewnej przewadze Śląska, ale zasadniczo nastąpiło zupełne wyrównanie poziomów wszystkich większych ośrodków piłkarskich.

W wielkiej społeczności piłkarskiej nie wszystko jest oczywiście idealne. Nie brak zgrzytów i poważnych zatargów, jednak jest to naturalna droga rozwojowa każdego zdrowego organizmu, który tężeje i wzmacnia się w ogniu długich doświadczeń i przemian.

Z kilkunastu klubów i kilkuset graczy w r. 1918 wyrosła szeroka sieć towarzystw i potężna armia piłkarzy, których liczymy dzisiaj już na dziesiątki tysięcy. Notujemy jednak nie tylko postęp ilościowy, ale i rozwój jakości. Wprawdzie nie brak głosów doszukujących się w przeszłości bardziej jasnych barw, jednak na kształtowanie się opinii tej wpływa w niemałej mierze „mgiełka sentymentu", przez której pryzmat spogląda się zazwyczaj na dawne, dobre czasy.

W tzw. okresie klasycznym polskiego piłkarstwa mieliśmy wprawdzie kilka drużyn o bardzo poważnym poziomie, może nawet lepszych od jednego czy drugiego czołowego zespołu doby obecnej, jednak przeciętny stan był bez porównania niższy. Wyraźną poprawę i to na bardzo szerokim froncie notujemy na polu techniki. Umiejętności klubów niższych wzrosły znacznie i dystans dzielący je od najlepszych — stanowczo się zmniejszył. Naturalnie nie można twierdzenia tego generalizować, gdyż w różnych okręgach sytuacja ta różnie się układa. W sumie jednak, kadry graczy o przeciętnie dobrych umiejętnościach powiększyły się wielokrotnie i śmiało twierdzić możemy o postępie ogólnym.

Lekki kryzys nastąpił natomiast w klasie czołowej, gdzie nie znajdujemy dziś drużyn na dobrą międzynarodową skalę, którą osiągnęły już w swoim czasie: Cracovia, Pogoń, a później może i Ruch.

Niemniej stwierdzić należy, że pozycja polskiego piłkarstwa na terenie międzynarodowym znacznie się wzmocniła, dzięki szeregowi doskonałych wyników, jakie uzyskiwała drużyna reprezentacyjna zarówno w kraju jak i za granicą.

Mimo wahań formy, co jest zjawiskiem normalnym, Drużyna Narodowa prześcignęła poziomem swym reprezentacje z dawnych, tzw. „tłustych lat". Gracze reprezentacyjni, rekrutujący się z różnych ośrodków, niemal niczym nie ustępują skromnej garstce byłych „wielkich" kolegów. Poprawiły się nie tylko umiejętności, ale wzrosła też ilość doborowych graczy i piłkarstwo polskie stać dzisiaj na wybór dwu zespołów, które klasą gry nie bardzo od siebie odbiegają, różniąc się co najwyżej sposobem jej ujmowania.

Obok drużyn o wysokich walorach technicznych stać nas też dzisiaj na dobór zespołów nawskroś bojowych.

Piłkarstwo polskie jest wciąż jeszcze w stadium krystalizacji. Dotychczas nie wyzyskało ono wszystkich możliwości. Stwierdzenie tego jest zarazem najlepszą zapowiedzią niezawodnych dalszych postępów. Ujawnią się one w chwili usprawnienia metod wychowawczych i wyzwolenia sił, z tych czy innych względów trzymanych dotąd zdala od dziedziny sportu, której wysokie walory znalazły niemal we wszystkich krajach jak najlepszą ocenę.

(N. S.)

Polski Związek Piłki Nożnej

Powołany do życia w Krakowie, w roku 1920, od 1928 roku przeniesiony do Warszawy. Adres: Warszawa, Hoża 30.

Prezesi: ś. p. dr Edward Cetnarowski (1919 — 27), gen. Władysław Bończa - Uzdowski (1928 — 35), płk dypl. Kazimierz Glabisz (1936 — 38).

16 okręgów. 898 klubów: 112287 członków.

FINAŁ PUCHARU W 1939 r.

Sprawa finału o puchar Polski znalazła nieoczekiwane rozstrzygnięcie. PZPN. odłożył mecz ten na rok przyszły, gdyż Kraków zaprotestował przeciwko grze we Lwowie, a prócz tego podniósł osłabienie swej drużyny przez brak Góry i Madejskiego, zabranych do reprezentacji Polski.



NARCIARZE W LAKE PLACID

Od lewej: And. Marusarz, Br. Czech, inż. Woyniewicz, Skupień, St. Marusarz i Z. Motyka

„Myśleliśmy, że zagrają w fezach"

— Czy pamięta pan jeszcze mecz Polska—Turcja 2:0, w r. 1924? — pytamy „wiecznie młodego", choć dźwigającego już piąty krzyżyk, a jeszcze czynnego, Władysława Karasiaka.

— Czy pamiętam? Ho, ho!... Ten mecz pamiętam lepiej niż późniejsze, wrył mi się dobrze w pamięć i to z trzech powodów: Przede wszystkim, był to mój debiut w reprezentacji, na który czekałem od dawna, po wtóre, było to pierwsze zwycięstwo naszych barw państwowych na własnym gruncie i wreszcie, pierwszy mecz międzypaństwowy w Łodzi. Kandydatem do reprezentacji byłem jeszcze rok wcześniej, ale jakoś tego zaszczytu nie mogłem się doczekać, ale kiedy nadeszła zapowiedź meczu reprezentacyjnego w Łodzi, w skrytości ducha przewidywałem swój udział.

Kombinowałem tak: mecz jest w Łodzi i z pewnością, tak, jak się to praktykuje, dla lepszej kasy, zagra ktoś z zawodników lokalnych. Rozumowanie było widać słuszne, bo p. Obrubański, ówczesny kapitan związkowy, wyznaczył nawet czterech łodzian, poza tym w rezerwie stało jeszcze dwóch.

Graliśmy w składzie? Zaraz, zaraz. W bramce Görlitz, (IFC) moim zdaniem, najlepszy bramkarz jakiego kiedykolwiek miała Polska. Moim partnerem był Wosio Cyll (ŁKS). W pomocy Karolek Hanke (ŁKS), Otto — „balonik" (ŁKS) i Maryś Spojda (Warta). W ataku nie pamiętam, tylko kto grał na lewym łączniku (Kowalski z Wisły, przyp. red.). Środek i skrzydła dała „Wisła": Reyman, Adamek i Balcer. Na prawym łączniku Janek Loth.

Graliśmy w czerwonych koszulkach z potężnie dużym „Białym Orłem" na piersiach. Turcy byli w białych koszulkach z półksiężycem na czerwonym tle. Gdy wyszli na boisko, było ogólne rozczarowanie, publiczność myślała bowiem, że zagrają w... fezach.

Pamiętam jak dziś, że noc przed meczem spałem niespokojnie, a humor popsuł nam wszystkim padający od dwóch dni deszcz. Na szczęście, tuż przed początkiem gry, wypogodziło się. Wygraliśmy 2:0, ale przeciwnik był wcale groźny. Po meczu, prezes PZPN-u, ś. p. dr Cetnarowski poklepał każdego z nas, dziękując za zwycięstwo.

Był też piękny bankiet, na którym, jak to się mówi, gracze obu drużyn zbliżają się do siebie. Z Turkami nie mogliśmy się jednak zupełnie porozumieć. Jedynie ich trener, jakiś Anglik (Hunter, przyp. red.), służył za tłumacza.

Przysłuchując się mowie Turków, myślałem wówczas o „tureckim kazaniu". Wprawdzie nie mogliśmy się porozumieć, ale... dokonaliśmy tranzakcji. Z bramkarzem Hamidem wymieniliśmy się znaczkami. Za dwa znaczki tureckich klubów: Galata Serail i Fener Bakcje otrzymał ode mnie znaczek... reklamowy mydła Kollontay, który mu się niesłychanie podobał.

Józef Kałuża

A. Ehrlich

Odrobina szczęścia a byłbym mistrzem świata

Dwukrotnie byłem już o krok od mistrzowskiego tytułu i w obu wypadkach, trzy tylko piłki dzieliły mnie od St. Bride Vase — pisze nam Aloyzy Ehrlich, wicemistrz świata w latach 1935-36 i 1936-37. Pech mój, zarówno w Pradze jak i w Badenie, był jedyny w swoim rodzaju. W Pradze, na dojście do finału nie musiałem się zbytnio wysilić. W ćwierćfinale obawiałem się serwisu Amerykanina Marshalla i pokonałem go 3:0, a w półfinale oddałem Austriakowi Bergmanowi jednego seta. Finału oczekiwałem w zdenerwowaniu, a to dlatego, że wiedziałem, że w Pradze ciężko będzie wygrać z Czechem.

Kolar, którego uprzednio już wielokrotnie zwyciężałem, miał nademną przewagę w postaci dopingu publiczności. To czego się obawiałem nastąpiło. Przy stanie setów 2:2, rozgorzała zacięta walka o każdą piłkę, walka najzupełniej wyrównana. Przegrałem 21:18.

W rok później, w Londynie zostałem przez los mocno pokrzywdzony! W mojej połówce znaleźli się najpoważniejsi przeciwnicy, podczas gdy w drugiej, nie było się kogo obawiać. Do Badenu przybyłem w ostatniej chwili. Wynikiem losowania byłem w najwyższym stopniu rozżalony i zdenerowowany. Protestowałem, na nic! To wyostrzyło moją ambicję. Wpadam m. in. na pięciokrotnego mistrza świata Barnę. Wygrywam 3:2. Jestem w półfinale, gdzie krzyżuję rakietę z Kolarem. Rewanż za Pragę udaje się w pełni. Kolar jest k. o., przegrywa 3:0! Teraz mam walczyć z Bergmanem, który dotąd nie wygrał jeszcze ze mną ani razu, a dwa dni przed tym w meczu drużynowym Polska — Austria pokonałem go decydująco. Niestety przegrałem 21:19, 23:25, 21:19, 14:21, 11:21.

W ping-ponga zacząłem grać mając 14 lat. Pierwszy zwrócił na mnie uwagę... Victor Barna, jeszcze w r. 1929.

Polski Związek Tenisa Stołowego

Założony został w 1931 r. w Łodzi, gdzie mieści się do chwili obecnej. Adres: Łódź, Lipowa 31.

Prezesi: Ryszard Kanenberg (1931—1933), Roman Tadeusiewicz (1934), Zygmunt Lange (1935), Kazimierz Wardęszkiewicz (1936—38).

128 klubów. 1.975 członków.



NACZELNIK PAŃSTWA JÓZEF PIŁSUDSKI

w gronie piłkarzy Pogoni i Wisły w Krakowie

Józef Kałuża

14 bramek na pożegnanie z Austrią

Szperanie po kronikach sportowych staje się w pewnym wieku przyzwyczajeniem dla tych, którzy przed laty ściślej byli ze sportem związani. Poprostu szuka się tam samego siebie, z okresu młodości, gdy było się smuklejszym, by jeszcze raz przeżyć górne i chmurne chwile zawodnika na boisku. Mimo woli natrafia się przy tym na wspomnienia, które mają nie tylko osobiste znaczenie, ale są także zwierciadłem chwili, zasługującej na odświeżenie.

Mija właśnie 20 lat od chwili powstania niezależnego, narodowego sportu polskiego, obejmującego cały obszar Zjednoczonej Polski. Trójzaborowy podział runął w listopadzie 1918, zwalniając sport polski z różnie pojmowanej opieki państw okupacyjnych. Żegnaliśmy się wówczas z nią oczywiście bez żalu, choć — co uczciwość każe przyznać — w Małopolsce, sport mógł się rozwijać bez większych przeszkód.

Przypadek zrządził, że Cracovia rozstała się ze Związkiem Austriackim w sposób, który zapisał ją dobrze w pamięci. Do tej chwili interesowano się nami, to prawda. Porażki drużyn wiedeńskich czy budapeszteńskich siłą rzeczy zwracały na nas uwagę, wyrobiły nam dobrą opinię na terenie „monarchii". Zwracano nawet uwagę na poszczególnych zawodników. Jednak dopiero ostatnie dni października 1918 poruszyły piłkarski Wiedeń. W dniach 26 i 27 października 1918 gościła u nas wiedeńska ligowa drużyna, popularny „Erster Simmeringer Sportclub" (1SSC). Nie było to zresztą nic nadzwyczajnego, bo Cracovia prawie każdej niedzieli przyjmowała u siebie obcych. Simmering przyjechał jednak w okresie podniecających wieści na temat rozpadania się Austrii oraz łączących się tym nadziei na odzyskanie wolności.

W takiej atmosferze odbyły się dwa spotkania, zakończone istnym pogromem Austriaków 9:1 i 8:1. Forma Cracovii, doskonała zresztą w tym roku, o czym świadczyły zwycięstwa nad wielu innymi drużynami zagranicznymi, w tym dniu osiągnęła szczytowy poziom. Wiedeńczycy nie znajdowali poprostu możności obrony przeciw wyrafinowanej grze ataku Cracovii, w którym dominowała dwójka Poznański — Kałuża. Ilość 14 bramek, uzyskanych przez nią całkowicie odzwierciardla jakość gry.

W następstwie tej katastrofy związek wiedeński wytoczył dochodzenia drużynie wiedeńskiej, przypuszczając, że zaszły jakieś przekroczenia, usprawiedliwiające nienotowane porażki ligowej drużyny. Na szczęście dla nich, zawody prowadził sędzia z Wiednia Veit i ten wyjaśnił istotne przyczyny wyniku. Momentalnie Związek Austriacki okazał ogromne zainteresowanie się nami, co nas już jednak nie obchodziło.

W trzy dni bowiem potym zawodnicy brali udział w rozbrajaniu wojsk austriackich. Byliśmy już obywatelami Wolnej i Niepodległej, a myśli nasze biegły ku chwili, w której moglibyśmy zrealizować marzenia o wdzianiu koszulki reprezentacyjnej z Białym Orłem.

Okres „austriacki" w kronice Cracovii zamknęła drużyna piłkarska w składzie: Kpt. Wittek, Dąbrowski II, architekt Gintel, ś. p. dr Wykret, dr Cikowski, śp. Majcherczyk, mjr. Dąbrowski, śp. kpt. Poznański, Kałuża, kpt. dr Mielech i mjr. Prochowski. W trzy lata później w pierwszej reprezentacyjnej drużynie Polski znaleźli się Gintel, Cikowski, Kałuża i Mielech. W Budapeszcie przypomnieliśmy sobie wtedy marzenia z listopada 1918.

M. Batsch

Najpiękniejszy dzień kibiców lwowskich

Na dzień przed meczem zjechało się bractwo z różnych stron Polski. Ze Lwowa przyjechaliśmy w licznym towarzystwie sympatyków - kibiców, którzy zawsze nam towarzyszyli, czy na reprezentacje, czy z Pogonią, nie szczędząc trudów i kosztów aby być świadkiem meczu a raczej gry swoich „grajków". Oni to potem opowiadali o naszych „bombach" i cudownych „fałszach", mając niewyczerpany temat na wiele dni i tygodni. My zaś mieliśmy w nich cudownych przyjaciół. Pomagali nam we wszystkim, skłonni nam buty sznurować w tej nadziei, że właśnie z tego buta padnie zwycięska bomba. A gdy tak rzeczywiście się stało, to kibic urastał do roli bohatera i słodko się wówczas „urzynał".

Kochany „kibic" taki był z nami wówczas w Poznaniu, nie odstępował na krok, miał najlepsze cukierki, papierosy, przynosił różne dzienniki, tygodniki, aby ten jego „najlepszy grajek kontynentu" czuł się dobrze i aby nie pętał się broń Boże po obcym niebezpiecznym mieście.

I dlatego my gracze odczuwaliśmy dla nich wiele wdzięczności i staraliśmy się dać im rewanż w swej grze. Oczywiście nie zawsze się to udawało, ale w tym pamiętnym meczu w Poznaniu w roku 1926, przeżyli „kibice lwowscy" jeden z najpiękniejszych dni.

Siedem bramek! A z tego cztery z lwowskiego buta tak mocno zasznurowanego, ręką kochanego kibica - przyjaciela.

Ten wynik ich rozzuchwalił. Wygrażali i przysięgali po meczu, że gdyby grał jeszcze „Kordecki" byłby wynik dwucyfrowy — napewno! (Czy byłoby tak Józiu?)

Dziś jeszcze, po dwunastu latach, gdy spotkam którego z Was, wracamy zawsze na ten temat meczu w Poznaniu. Ja, grajek ,niewiele pamiętam momentów, ale kibic wszystko przypomni, jak by to było wczoraj. Żywa kronika klubów.

Czym zwyciężyliśmy? I to tak wysoko?

Nasza wyższość polegała na grze bardzo skutecznej, szczególnie w ataku który podszedłszy szybko pod bramkę strzelał. Strzelał z każdej pozycji i to ostro.

Dziś obserwując mecze mało widzę strzałów ostrych i niespodziewanych, na które bramkarz nie ma czasu się przygotować.

Mecz ten był jednym z najlepiej udanych moich występów w reprezentacji.

Żal mi było Finów. Mili chłopcy. Po meczu na wspólnej kolacji ze smutkiem w oczach dziękowali za naukę pięknej i dżentelmeńskiej gry.

Po przyjeździe do klubu, wiele się o tym mówiło oczywiście przy pomocy kibiców, którzy z rozmaitymi recenzjami nie mogli się pogodzić

Żeglarze zaczęli wcześnie już na Olimpiadzie w Paryżu

Oficjalną datą powstania Polskiego Związku Żeglarskiego jest dzień 11-ty maja 1924 roku, miejscem — Tczew, organizatorami Pierwszy Polski Klub Yachtowy w Gdańsku, Klub Żeglarski w Chojnicach (najstarsza w Polsce organizacja czysto żeglarska, istniejąca od roku 1922-go), oraz sekcja żeglarska Wojskowego Klubu Wioślarskiego w Warszawie (późniejszy Oficerski Yacht - Klub R. P.) i stołecznego AZS-u.

Bezpośrednim bodźcem do stworzenia Związku była chęć umożliwienia żeglarzom wzięcia udziału w Olimpiadzie paryskiej.

Dochodzi on do skutku, lecz rezultat sportowy tej pierwszej próby jest dość nikły. (8-e miejsce na 16-tu startujących).

W tym pierwszym okresie w Polskim Związku Żeglarskim zarejestrowanych jest około 470 zawodników, kluby rozporządzają 106-cioma jednostkami (w tym 22 yachty morskie). Sprzęt ten nie jest jednakże pierwszorzędnej jakości.

Najbliższe lata to praca przeważnie techniczno - organizacyjna i rozrost wszerz. Powstaje coraz więcej zarówno samodzielnych klubów, jak i sekcyj żeglarskich przy klubach sportowych ogólnych. Operacja w „terenie" jest dość ograniczona i nosi charakter raczej turystyczny niż czysto sportowy. Przyczyną tego jest brak funduszów na zakup drogich, nowocześnie wyposażonych yachtów morskich.

Jednakże żeglarze biorą udział w Olimpiadach i to ze skutkiem coraz lepszym ,a w r. 1934 nawiązują kontakt z Niemcami, wysyłając kilku zawodników na doroczne regaty „Tygodnia Kilońskiego".

Podnoszenie się poziomu naszego żeglarstwa postępuje zresztą stale, a w roku 1938 zdobywają nawet Polacy mistrzostwo Prus Wschodnich.

Kontakt sportowy najściślejszy utrzymujemy z Niemcami, ale poza tym jeszcze z Italią (regaty w Trieście w roku 1937) oraz Estonią i Łotwą.

W roku 1936 do PZŻ przystępują: Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Strzelecki oraz Akademicki Związek Morski, tworząc t. zw. Wydział Młodzieży. W roku 1938 zgłasza akces również YMCA. Organizacje te jednakże mają odrębne zadania, żeglarstwo nie jest dla nich celem, lecz środkiem dla szerszej akcji wychowawczej.

Ostatnio powstał w łonie Związku wydział yachtingu lodowego. Młody ten sport rozwija się coraz pomyślniej

(eg)

15 dżentelmenów w smokingach debiutuje w Sztokholmie

Na ścianie pokoju wisi kilka fotografij sportowych, ładnie oprawionych w ramki. Na jednej widzimy dziwny obrazek. Na ziemi leży dwóch ludzi w kostiumach sportowych. Jeden z nich, chłopisko potężne, trzyma między kolanami głowę drugiego który skulony dzierży kurczowo w rękach piłkę.

— To właśnie jestem ja — objaśnia nas p. Mieczysław Wiśniewski — na meczu Polska—Szwecja w Sztokholmie. Środkowy napastnik Szwedów, chłop jak smok, skoczył na mnie i chwycił mnie kolanami, jak kleszczami. Jakoś się jednak z tego „uścisku" wydobyłem.

Jest to zdaje się jedyne, mniej przyjemne wspomnienie, jakie pozostało jeszcze w pamięci bramkarza ówczesnej reprezentacji. Poza tym słyszymy bowiem same pochwały.

— Pamiętam jak wybieraliśmy się w tę pierwszą wielką podróż. Towarzystwo było dobrane. Nie było tradycyjnego dziś „chrztu", gdyż wszyscy byli nowicjuszami...

Szwedzi wyobrażali sobie nas, jako gości ze wschodu. Myśleli, że ujrzą chłopów w futrzanych czapach i ogromnych buciskach. A tutaj stanęło piętnastu, czy siedemnastu kawalerów, z których każdy przywiózł z sobą smoking w walizce. Tak. W smokingu było się na bankiecie, czy na przyjęciu w Konsulacie i u państwa Brodatych.

Na meczu był szwedzki następca tronu, nastrój był świąteczny. Szwedzi byli wówczas wielką potęgą piłkarską w Europie, a w grze szczególnie groźni dla bramkarza, którego atakowali ostro ciałem. Myślę, że sędzia Meisl nie dałby wtedy napewno przeciw nim karnego, gdyby spodziewał się, jakim wynikiem mecz się zakończy.

Po meczu urządzaliśmy wycieczki morskie wzdłuż brzegów Szwecji. Naturalnie o jakichś dietach nie było mowy. Każdy dostał parę groszy na znaczek pocztowy.

Przypominam sobie wesoły moment z drogi powrotnej. Wracaliśmy sleepingami. My mieliśmy sleeping II-giej klasy, a prezes Cetnarowski chciał naturalnie jechać z nami. Okazało się jednak, że żadnym sposobem nie mógł wejść przez drzwi sleepingu II-giej klasy. Wkońcu musiał wykupić bilet I-szej klasy i tutaj odbył podróż.

W czasie postoju w Berlinie rozegrany został konkurs jedzenia. Kuchar został zwycięscą, gdyż spałaszował cztery kotlety z „przynależnościami". Ale i ja nie byłem gorszy. Też „wbiłem" cztery...

Wracając do kraju wysiadłem w Poznaniu, gdyż akurat był tutaj mecz Wisły, w której barwach grałem przeciw Warcie. Witano mnie wtedy osobno w Poznaniu — na dworcu i na boisku. (r. g.)



PIERWSZY MIĘDZYPAŃSTWOWY MECZ PIŁKARZY POLSKICH

Rok 1921, boisko w Budapeszcie, Węgrzy zwyciężają 1:0.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową w kraju oraz w Czechosłowacji i Węgrzech Zł 1.50 miesięcznie; kwartalnie Zł 4.—. W innych krajach europejskich oraz zamorskich Zł 2.20 miesięcznie. Kwartalnie Zł 6.—. Cena ogłoszeń, za wiersz wysokości 1 mm, jednoszp.: opisowe 3.— Zł, specj. 1.— Zł, w tekście 80 gr, reklamy 40 gr, zagraniczne o 50% drożej.

Wydawnictwo i druk.: „DOM PRASY" S. A., Warszawa, Marszałkowska 3. Centrala Tel. 8-02-40. Konto P. K. O. 13120. Przek. rozrach. Nr 55 Warszawa

Redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem sobót i niedziel od godz. 13 do 14. Filia: Jasna 10. tel. 693.72.

Redaktor naczelny: MARIAN STRZELECKI Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW ĆWIERCZAKIEWICZ